

ITALO CALVINO
ŚCIEŻKA PAJĘCZYCH GNIAZD

Przełożył WŁADYSŁAW MINKIEWICZ

Tytuł oryginału włoskiego „IL SENTIERO DEI NIDI DI RAGNO”

Wiersze przełożyła JADWIGA DACKIEWICZ
Obwolutę projektował ALEKSANDER STEFATSOWSKI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Aby dotrzeć na samo dno uliczki, promienie słońca muszą zniżyć się prostopadle tuż obok zimnych ścian ukrytych w cieniu luków przecinających skrawek ciemnoniebieskiego nieba.

Promienie słońca schodzą prostopadle, dotykając okien umieszczonych tu i ówdzie w murach kamienic, kiści powoju w garnkach na parapetach, rozwieszanej na sznurach bielizny, aż do bruku z kamiennych stopni, z rynsztokiem pośrodku, gdzie zbiera się uryna mułów.

Wystarczy jeden krzyk, którym Pin rozpoczyna piosenkę, stojąc z zadartą głową na progu warsztatu, lub który zdoła wydać, zanim karcąca ręka szewca Pietromagro spadnie na jego kark, aby okna odpowiedziały echem pretensji i obelg:

- Pin! Już znowu zaczynasz! Zaśpiewaj nam coś, Pin! Pin, biedaku, co ci zrobili? Pin, ty małpia mordo! Żeby ci wreszcie głos wysechł w gardle! A bodajże cię i tego twego majstra, co kradnie kury! Ciebie i tę twoją siostrę ścierkę!

Lecz Pin jest już na środku uliczki, z rękami w kieszeniach zbyt dużej dla niego kurtki, i z powagą spogląda po kolei w twarz każdego.

- Celestino, jak masz piękne nowe ubranie, to siedź cicho. Powiedz lepiej, czy ciągle jeszcze nie wiadomo, kto ukraść te materiały w Moli Nuovi? Zresztą, mniejsza z tym. Jak się masz, Garolina, udało ci się tym razem. Tak, udało ci się, że tym razem twój mąż nie zajrzał pod łóżko. A ty, Fasca, przecież to zdarzyło się właśnie w twojej wsi. Tak, kiedy Garibaldi przywiózł wam mydło, twoi ziomkowie je zjedli. Mydłożercy, Pasca, macie choć pojęcie, ile kosztuje mydło?

Pin ma ochrypliwy głos starego dziecka; wymawia każdą sylabę po cichu, poważnie, potem magle wybucha śmiechem, który przypomina gwizd, a rude i czarne piegi zbiegają mu się wokół oczu niczym rój os.

Pin jest zawsze skory do kpinek. Zna wszystkie wydarzenia swojej uliczki i nigdy nie wiadomo, co mu strzeli do głowy. Od rana do wieczora wydiera się śpiewając i wrzeszcząc pod oknami, podczas gdy u Pietromagro ogromna sarta butów przywała warsztat i wylewa się aż na ulicę.

- Pin! Ty małpia mordo! - woła do niego jakaś kobieta. - Podzieluj mi w końcu moje pantofle zamiast dręczyć nas cały dzień! Już od miesiąca leżą u was w tej kupie butów. Poczekał, powiem twemu majstrowi, jak tylko wypuszczą go na wolność!

Pietromagro spędza połowę roku w więzieniu, urodził się bowiem pod złą gwiazdą i wystarczy, że w okolicy zdarzy się jakaś kradzież, a kończy się na dym, że wsadzają właśnie jego. Wraca, zastaje stos dziurawych butów i sklepik otwarty, w którym nie ma nikogo. Siada wówczas przy warsztacie, bierze pierwszy z brzegu but, obraca go w rękach raz i drugi, z powrotem rzuca na kupę. Potem ujmuje zarośniętą twarz w kościiste dłonie i zaczyna kłąć. Pin nadchodzi pogwizdując i jeszcze o niczym nie wie. Aż nagle spostrzega przed sobą Pietromagro ze wzniesionymi już w górę rękoma, z tymi jego źrenicami w żółtej oprawie i twarzą czarną od nie golonego zarostu, krótkiego jak sierść psa. Pin krzyczy, lecz Pietromagro chwycił go i nie puszcza; dopiero gdy zmęczy się biciem, zostawia go w sklepie i wlecze się do gospody. Tego dnia nikt go już nie zobaczy.

Wieczorem, co drugi dzień, do siostry Pina przychodzi niemiecki marynarz. Za każdym razem Pin oczekuje go na ulicy, żeby poprosić o papierosa. Z początku Niemiec był hojny i dawał nawet i po trzy lub cztery na raz. Łatwo

jest drwić z niemieckiego marynarza, który nic nie rozumie i spogląda dokoła z twarzą tępą, bez zarostu, wygoloną aż po skronie. Później, kiedy odchodzi, można robić miny za jego plecami, mając pewność, że się nie odwróci. Gdy się patrzy na niego z tyłu, jest śmieszny z tymi dwiema czarnymi wstążkami, które spływają mu z marynarskiego beretu aż na siedzenie nie przykryte króciutką kurtką, mięsiste, kobiece siedzenie z wiszącym nad nim wielkim niemieckim pistoletem.

- Stręczyciel!... Stręczyciel!... - wołają za Pinem ludzie z okien, wołają półgłosem, gdyż z takimi typami lepiej nie żartować.

- Rogacze!... Rogacze!... - odpowiada Pin strojąc do nich miny i zaciągając się głęboko zbyt jeszcze ostrym i przykrym dla jego dziecięcego gardła dymem, którym jednak, nie wiadomo właściwie dlaczego, trzeba się zaciągać aż do wywołania łez w oczach i wściekłego kaszlu. Potem dobrze jest wejść do gospody z papierosem w zębach i powiedzieć: - Cholerny świat, kto mi postawi szklanę wina, temu powiem coś takiego, za co mi później podziękuję.

W gospodzie od lat są zawsze ci sami ludzie, siedzą tam cały dzień z łokciami na stole i głowami wspartymi na pięściach i patrzą na muchy spacerujące po ceracie oraz na fioletowe cienie na dnie szklanek.

- No cóż takiego? - mówi Michel Francuz. - Czyżby twoja siostra obniżyła ceny?

Wszyscy śmieją się i uderzają pięściami w stół.

- Tym razem, Pin, dostałeś dobrą odpowiedź!

Pin mierzy Michela wzrokiem od dołu ku górze poprzez kosmyk rozczochranych włosów, które spadają mu na czoło.

- Cholerny świat, właśnie o tym chciałem mówić. Zwróćcie uwagę, przecież on zawsze myśli o mojej siostrze. Ja wam mówię, on nie przestaje o niej myśleć: zakochał się. Zakochał się w mojej siostrze, patrzcie go, jaki odważny...

Ludzie śmieją się na całe gardło, pobłażliwie klepią go po głowie i nalewają mu wina. Pin nie lubi wina: jest cierpkie w smaku, wywołuje gęsią skórę oraz ochotę do śmiechu, wrzasków i złości. A jednak pije, wychyla jednym tchem szklanę, podobnie jak zaciąga się dymem, podobnie jak ze wstrętem śledzi siostrę w łóżku z nagimi mężczyznami, obserwowanie ich jest jak szorstka pieszczota, jak cierpki smak, jak wszystkie sprawy mężczyzn: dym, wino, kobiety.

- Śpiewaj, Pin! - wołają do niego. Pin śpiewa dobrze, z powagą, z napięciem, ochryplym dziecięcym głosem. Śpiewa *Cztery pory roku*:

Lecz kiedy myślę o przyszłości,

Wolności utraconej mojej,

Chcę pieścić ją pełen miłości,

Gdy ona z całym śpi spokojem.

Ludzie słuchają w milczeniu, ze spuszczonej oczyma, jakby słuchali kościelnej pieśni. Każdy z nich był w więzieniu - kto nigdy nie siedział, ten nie jest mężczyzną. A stara pieśń więźniów pełna jest tego smutku, który przenika aż do kości wieczorem w więzieniu, kiedy dozorczy przechodzą uderzając w kraty żelazną sztabą i zwolna milkną wszelkie spory, złorzeczenia i słycać już tylko czyjś głos śpiewający tę pieśń, jak teraz Pin, a nikt nie woła, żeby przestał.

Z rozkoszą nieraz nasłuchuję
Ostrych okrzyków straży nocą,
I lubię księżyc, gdy wędruje,
A jego blaski celę złocą.

Właściwie Pin nigdy nie był w więzieniu; wówczas kiedy chciano zaprowadzić go do domu poprawczego, zdołał umknąć. Co pewien czas straż miejska zatrzymuje go za wyprawy na targ warzyw, lecz dopóty wrzaskami i płaczem zadręcza strażników, dopóki go w końcu nie zwolnią. Siedział jednakże w areszcie policyjnym i wie, co to znaczy, dlatego też śpiewa dobrze, z uczuciem.

Pin zna wszystkie stare pieśni, których nauczyli go ludzie z gospody, pieśni opiewające krwawe czyny; zna *Wraca Caserio...* i pieśń o Peppino, co zabił porucznika. Potem, kiedy wszystkich ogarnia smutek i patrząc smętnie w dno szklanek, spluwają, Pin robi nagle pirueta pośród dymu wypełniającego gospodę i intonuje na całe gardło:

Dotknąłem włosków mej dziewczynki,
Lecz nie zrobiła miłej minki:
„Tej dolnej - rzekła - tknij czuprynki.
Jeżeli tylko kochasz mnie,
Dotknijże niżej, proszę cię!”

Wówczas mężczyźni wałą pięściami w stół, podczas gdy kelnerka pośpiesznie zbiera szklanki, krzyczą: „Hej!” i wybijają takt dłońmi. Siedzące zaś w gospodzie kobiety, stare pijaczki z czerwonymi twarzami, jak Bersagliera, ruszają tanecznym krokiem. A Pin, któremu krew uderza do głowy i wściekłość zaciska zęby, wydziera się w plugawej piosence aż do utraty tchu:

Dotknąłem uszka mojej małej,
A ona na to: „Oszalałeś!
Niżej ogródki ujrzysz całe,
Jeżeli tylko kochasz mnie,
Dotknijże niżej, proszę cię!”

Wszyscy, wybijając dłońmi takt tańczącej starej Bersaglierze, podejmują chórem:
Jeżeli tylko kochasz mnie,
Dotknijże niżej, proszę cię!

Tego dnia niemiecki marynarz przyszedł w złym humorze. Jego rodzinne miasto, Hamburg, codziennie rujnowały bomby, a on każdego dnia oczekiwał wiadomości od żony i dzieci. Niemiec był uczuciowy, miał temperament południowca, przeszczepiony w duszę człowieka Północnego Morza. Napęlił sobie dom dzieciarnią, a teraz odepchnięty daleko wskutek wojny, usiłował wyładować swój nadmiar ludzkiego ciepła w ramionach prostytutek z okupowanych krajów.

- Nic nie mieć papierosów - mówi do Pina, który wyszedł na spotkanie, żeby powiedzieć mu *Gutentag*.

Pin, spogląda nań a ukosa.

- Tak, kolego, dzisiaj. również i tutaj zapanowała tęsknota, co?

Teraz Niemiec spogląda z ukosa na Pina, nie rozumie.

- Czy przypadkiem nie przyszedłeś do mojej siostry? - mówi obojętnie Pin.

- Siostra nie w domu?

- Jak to, nic nie wiesz? - Twarz Pina jest pełna obłudy jak twarz księżego wychowanka. - Nie wiesz, że zabrali ją, biedaczkę, do szpitala? Paskudna choroba, ale wydaje się, że powinni ją teraz wyleczyć, jeśli wzięli się do tego w porę. Oczywiście, musiała już chorować od pewnego czasu... *W* szpitalu, pomyśl tylko, biedaczka!

Twarz Niemca przypomina zsiadłe mleko. Spotniały, jąka się:

- Szpi-tal? Cho-ro-ba?

Z na wpół otwartego okna wychyla się głowa młodej kobiety o końskiej twarzy i włosach Murzynki.

- Nie wierz mu, Fryc, nie wierz temu bezwstydnikowi! - krzyczy. - Zapłacisz mi potem za to, ty małpia mordo! Patrzcie go, jeszcze trochę, a doprowadziłby mnie do ruiny! Chodź tu, Fryc, nic mu nie wierz, on żartował, niech go diabli wezmą!

Pin robi do niej miny.

- Ale oblał cię zimny pot, kolego! - woła do Niemca i skręca w boczną uliczkę.

Niekiedy złośliwy żart pozostawia jakiś cierpki posmak i Pin błądzi samotnie po uliczkach wśród ogólnych złorzeczeń i wymyślań. Wtedy miałby ochotę iść razem z gromadą towarzyszy, którym mógłby pokazać miejsce, gdzie robią gniazda pająki, lub w fosie staczać z nimi bitwy na trzciny. Lecz dzieci nie lubią Pina: Pin jest przyjacielem dorosłych, potrafi mówić dorosłym rzeczy, które pobudzają ich do śmiechu lub złości, nie tak jak orne, co nic nie rozumieją, kiedy mówią dorośli. Czasami Pin chciałby zbliżyć się do chłopców w swoim wieku, prosić, żeby pozwolili zagrać z sobą w orła i reszkę i żeby pokazali mu drogę do podziemnego przejścia, które prowadzi aż do rynku. Lecz chłopcy nie dopuszczają go do swego grona, a niekiedy zdarza się nawet, że go biją. Bo Pin ma dwie chudziutkie rączki i jest najsłabszy ze wszystkich. Od czasu do czasu zwracają się do niego prosząc o wytłumaczenie spraw, jakie zachodzą pomiędzy kobietami i mężczyznami. Ale Pin zaczyna kpić z nich wrzeszcząc na całą ulicę i matki zaraz nawołują dzieci:

- Gostamzo! Giacmino! Ile razy powtarzałam ci, żebyś się nie zadawał z tym chłopakiem bez wychowania!

Matki mają słuszość: Pin potrafi jedynie opowiadać historie. o mężczyznach i kobietach w łóżku oraz o ludziach zamordowanych lub siedzących w więzieniu, historie, których nauczyli go dorośli, rodzaj bajek, jakie dorośli opowiadają między sobą i których przecież byłoby nawet przyjemnie posłuchać, gdyby Pin nie przeplatał ich kpinami i rzeczami, których niesposób odgadnąć.

I Pinowi nie pozostaje nic innego, jak tylko szukać schronienia w świecie dorosłych, którzy także odwracają się do niego plecami, dorosłych, którzy są niezrozumiali i dalecy dla niego, równie jak i dla innych chłopców, ale z których łatwiej jest jednak kpić, dzięki tej ich żądzy kobiet i tej ich obawie przed karabinierami, kpić, dopóki nie znudzą się i nie złączą go poszturchiwać.

Teraz Pin pójdzie do niebieskawej od dymu gospody i będzie mówił tym ludziom sprośne kawały, przekleństwa, jakich nie słyszeli nigdy, dopóki ich nie rozzłości, aż zaczną go bić. Będzie śpiewał wzruszające piosenki rozrzewniając się sam do łez i doprowadzając do płaczu innych i wymyśli nowe żarty i grymasy wzbudzając szaleńczy śmiech. Wszystko po to, aby rozwiać mgłę samotności, która zagęszcza się w jego piersi w wieczory takie jak ten.

Lecz w gospodzie ludzie tworzą mur pleców, który się przed nim nie otwiera; jest wśród nich nowy człowiek, bardzo chudy i poważny. Mężczyźni zerkają na wkraczającego Pina, potem spoglądają na nieznanego i wymieniają kilka słów. Pan widzi, że powiał tu jakiś nowy wiatr. Tym bardziej więc trzeba zbliżyć się z rękami w kieszeniach i powiedzieć:

- Cholerny świat, szkoda, że nie mogliście zobaczyć miny, jaką zrobił Niemiec.

Lecz ludzie nie odpowiadają tak jak zazwyczaj. Odwracają się powoli, jeden po drugim. Michel Francuz spogląda na niego najpierw, jakby go nigdy przedtem nie widział, potem mówi powoli:

- Jesteś parszywe stręczycielskie ścierwo.

Przez twarz Pina przebiega błysk, który natychmiast gaśnie, a potem Pin mówi spokojnie, ze zmrużonymi oczyma:

- Powiesz mi później dlaczego.

Żyrafa odwraca nieco głowę ku niemu i powiada:

- Wynoś się, nie chcemy mieć nic wspólnego z kimś, kto się zadaje z Niemcami.

- Skończy się ma tym - mówi Gian Szofer - że dzięki waszym stosunkom ty i twoja siostra zostanieiecie faszystowskimi dygnitarzami.

Pin usiłuje udawać, że nic sobie z nich nie robi.

- Wytlumaczycie mi to później - mówi. - Nigdy -nie miałem nic wspólnego z faszyzmem ani z Balillą, a moja siostra chodzi, z kim jej się podoba, i nikomu nie odmawia.

Michel drapie się po twarzy.

- Kiedy przyjdzie dzień, w którym się wszystko zmieni, każemy twojej siostrze chodzić nago i z ogoloną głową, jak oskubana kura, rozumiesz? A dla ciebie... dla ciebie szykujemy pracę, o jakiej nawet nie marzysz!

Pin nie daje się zbić z tropu, widać jednak, że w głębi duszy jest mu przykro; przygryza wargę i mówi:

- Kiedy przyjdzie dzień, że staniecie się bardziej pojętni, wytłumaczę wam, o co chodzi. Po pierwsze, ja i moja siostra nic o sobie wzajemnie nie wiemy, a stręczycielami jesteście właśnie wy, kiedy macie ma to ochotę. Po drugie, moja siostra nie chodzi z Niemcami dlatego, że trzyma ich stronę, tylko dlatego, że jest międzynarodowa, jak Czerwony Krzyż, i tak samo jak chodzi, z nimi, chodzić będzie później z Anglikami, Murzynami i z wszystkimi diabłami, które potem przyjdą. - (Wszystko to są zwroty, jakich Pin nauczył się słuchając dorosłych, tych samych nawet, którzy teraz z nim rozmawiają. Dlaczego z kolei on musi im to tłumaczyć?) - Po trzecie, z Niemcem mam tyle tylko wspólnego, że naciągam go na papierosy, a w zamian robię mu kawały takie jak ten dzisiejszy, którego już wam nie opowiem, bo zwracacie mi głowę.

Jednakże próby skierowania rozmowy na inne tory nie udają się. Gian Szofer mówi:

- Akurat czas na żarty! Byłem w Kroacji i tam wystarczyło, by jakiś głupi Niemiec łąził po wsi za dziewczynkami, żeby wsiąkł tak dokumentnie, że nie można było odnaleźć nawet jego trupa.

A Michel dodaje:

- Prędzej czy później znajdziesz go z wyciągniętymi kopytami, tego twojego Niemca.

Nieznanomy, który cały czas zachowywał milczenie, nie przytakując ani nie uśmiechając się, pociąga z lekka Michela za rękaw.

- Nie należy teraz o tym mówić. Pamiętajcie, co wam powiedziałem.

Pozostali zgadzają się, lecz patrzą jeszcze na Pina. Czegóż mogą od niego chcieć?

- Powiedz nam - mówi Michel - widziałeś, jaki pistolet ma marynarz?

- Ma cholerny pistolet - odpowiada Pin.

- Dobrze - mówi Michel - przyniesiesz nam ten pistolet.

- Ale jak mam to zrobić? - pyta Pin.

- Skombinuj.

- Ale jak mam to zrobić, jeżeli nosi go zawsze przyczepiony do siedzenia? Weźcie go sami!

- A więc dobrze, powiem ci: czy w pewnej chwili nie zdejmujesz spodni? A wtedy odpina również pistolet, możesz być tego pewny. Więc idź i zabierz mu go. Skombinuj.

- Jak będę chciał.

- Słuchaj - mówi Żyrafa - nie przyszliśmy tu, żeby żartować. Jeżeli chcesz być z nami, wiesz teraz, co powinieneś zrobić; jeżeli nie...

- Jeżeli nie?

- Jeżeli nie... Czy wiesz, co to jest Gap?

Nieznajomy szturcha łokciem Żyrafę i potrząsa przecząco głową: wydaje się, że jest niezadowolony z ich sposobu postępowania.

Dla Pina nowe słowa mają zawsze posmak tajemniczości, jakby nawiązywały do jakichś spraw zagadkowych i zakazanych. Gap? Go to jest Gap?

- Tak, wiem, co to jest - mówi.

- No co? - pyta Żyrafa.

- Coś, przez co mam w ... ciebie i całą twoją rodzinę.

Lecz ludzie nie zwracają już na niego uwagi. Nieznajomy dał im znak, żeby zbliżyli głowy, mówi do nich po cichu i wydaje się, że łaje ich za coś, a oni mu przytakują.

Pin jest poza tym wszystkim. Odejdzie teraz nie mówiąc ani słowa i nawet lepiej, że nie wspomina się już o tej historii z pistoletem: była to rzecz bez znaczenia i oni być może o niej zapomnieli.

Zaledwie jednak Pin znalazł się na progu, Francuz podnosi głowę i mówi:

- Pin, a więc porozumieliśmy się, jeśli chodzi o tamtą sprawę?

Pin chciałby znowu udać głupiego, lecz nagle czuje się dzieckiem pośród dorosłych i zatrzymuje się z ręką na framudze drzwi.

- Jeżeli nie, to więcej się tu nie pokazuj! - woła za nim Francuz.

Pin wychodzi na ulicę. Jest wieczór i w oknach zapalają się światła. Z daleka w strumieniu zaczynają rechotać żaby. O tej porze roku chłopcy wieczorami czyhają wokół sadzawek, żeby je schwytać. Żaby ściśnięte w dłoni są lepkie, śliskie i przypominają nagie, gładkie ciała kobiet.

Przechodzi chłopak w okularach i długich pończochach: Battistino.

- Battistino, wiesz, co to jest Gap? Battistino mruga oczyma i pyta ciekawie:

- Nie, powiedz mi, co to jest! Pin wybucha śmiechem.

- Idź zapytać twojej matki, co to jest Gap! Powiedz jej: mamó, czy dasz mi Gap? Powiedz jej tak, zobaczysz, on ci wytłumaczy!

Battistino odchodzi bardzo strapiiony.

Pin kroczy prawie już ciemną ulicą. Czuje się samotny i zgubiony w tej historii krwi i nagich ciał, jaką jest bycie mężczyzną.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gdy do pokoju jego siostry zajrzeć w ten sposób, zawsze wydaje się, że jest mgła: pionowa smuga, pełna przedmiotów, przyćmiona dokoła cieniem, a przy tym wszystko jakby zmieniało rozmiary, kiedy oko przybliży się lub oddala od otworu.

Pin ma wrażenie, że patrzy poprzez kobiecą pończochę, i nawet zapach jest ten sam: zapach jego siostry, który zaczyna się poza drewnianymi drzwiami i wydziela być może z tych zmiętych sukienek i nigdy nie zasłanego łóżka z rozrzuconą i nie wietrzoną pościelą.

Siostra Pina nigdy zanadto nie dbała o dom. Pin, z głową pełną strupów, od dziecka zanosił się płaczem w jej objęciach, a ona zostawiała go na przymurku pralni i biegła bawić się w klasy z ulicznikami. Co pewien czas powracał okręt ich ojca. Pin pamięta jedynie jego ramiona wielkie i obnażone, które unosiły go w górę, silne ramiona naznaczone czarnymi żyłami. Jednakże od czasu śmierci matki ojciec pojawiał się coraz rzadziej, aż wreszcie przestał pokazywać się zupełnie. Mówiono, że miał podobno inną rodzinę w jakimś mieście za morzem.

Teraz Pin mieszka nie tyle w pokoju, ile raczej w zakamarku, we wnęcie za drewnianym przepierzeniem, z oknem, które przypomina wybitą w murze strzelnicę, tak jest wąskie, wysokie i głębokie, wciśnięte w ścianę starego domu. Po drugiej stronie jest pokój jego siostry, pełen szczelin w przepierzeniu: aż oczy robią się zezowate, gdy się chce przez nie oglądać całe wnętrze. Tam, za przepierzeniem, jest wytłumaczenie wszelkich spraw świata. Pin od dziecka spędzał przy tych szczelinach całe godziny i doprowadził do tego, że jego oczy stały się jak ostrza szpilek. Zna wszystkie rzeczy, które dzieją się tam, wewnątrz, choć nie potrafi jeszcze zrozumieć ich przyczyn, i w końcu zwiija się każdej nocy w kłębek na swym posłaniu przyciskając ręce do piersi. Wówczas cienie wnęki przekształcają się w dziwaczne sny o nagich ciałach, które gonią się, biją, obejmują, dopóki nie nadejdzie coś wielkiego, ciepłego i nieznanego, co wznosi się nad nim, Pinem, pieści go, trzyma w swym cieple. I to jest wytłumaczenie wszystkiego, jakieś bardzo odległe przywołanie zapominanego szczęścia.

Teraz po pokoju krąży Niemiec w koszulce, ramiona ma różowe i mięsiste jak uda i od czasu do czasu wpada w pole widzenia Pina. Przez chwilę widać również kolana siostry, które migają w powietrzu i znikają pod prześcieradłem. Pin musi zrobić teraz wszystko, by wysledzić, gdzie został położony pas z pistoletem; wisi tam, na poręczy krzesła, niby jakiś osobliwy owoc, i Pin chciałby mieć rękę równie ciekłą jak spojrzenie, aby mogła przedostać się przez szczelinę, zdjąć broń i unieść ze sobą. W tej chwili Niemiec jest nagi, tylko w koszuli, i śmieje się. Śmieje się zawsze, gdy jest nagi, bowiem w głębi duszy jest wstydlivy jak dziewczyna. Wskakuje do łóżka i gasi światło. Pin wie, że minie tak jakiś czas w ciemności i ciszy, zanim łóżko zacznie skrzypieć.

Nadeszła właściwa chwila: Pin powinien wejść do pokoju boso, na czworakach, i nie robiąc hałasu ściągnąć pas z krzesła. A wszystko to ode dla żartów i nie po to, żeby później móc śmiać się i kpić, lecz dla czegoś poważnego i tajemniczego, co powiedzieli mu w gospodzie ludzie z utajonym błyskiem w oczach. Pewnie, Pin chciałby zawsze być przyjacielem dorosłych, chciałby, żeby żartowali z nim razem i darzyli go zaufaniem. Pin lubi dorosłych, lubi płatać im figle, tym silnym i głupim dorosłym, których zna wszystkie sekrety. Lubi też Niemca, a to, co uczyni teraz, będzie czymś nieodwracalnym. Może już potem nie będzie mógł żartować z Niemcem. A także z towarzyszami z gospody będzie jakoś inaczej, stanie się coś, co zwiąże go z nimi, coś, z czego nie można się śmiać i o czym nie można opowiadać sprośnych kawałów, oni zaś będą zawsze na niego patrzeć a tą pionową zmarszczką między brwiami i bę-

dą od niego żądać stłumionym głosem rzeczy coraz to dziwniejszych. Pin chciałby wyciągnąć się na swym posłaniu i z otwartymi oczyma snuć dalej marzenia, podczas gdy z tamtej strony Niemiec dyszy, a siostra wydaje odgłosy, jakby ją kto łaskotał pod pachami; snuć marzenia o gromadzie chłopców, którzy wybierają go swym wodzem, gdyż on wie o tyle więcej od nich; marzyć, że idą wszyscy razem przeciwko dorosłym i biją ich, i dokonują cudownych rzeczy, rzeczy, dzięki którym nawet dorośli będą zmuszeni go podziwiać i uznać za swego wodza, a zarazem polubią go i będą głaskać po głowie. Tymczasem jednak musi samotnie wyruszyć nocą naprzeciw nienawiści dorosłych i ukraść Niemcowi pistolet, dokonać rzeczy, jakiej nie robią inni chłopcy, którzy bawią się blaszanymi pistoletami i drewnianymi szablami. Kto wie, co powiedzieliby, gdyby jutro Pin stanął wśród nich i odsłaniając go stopniowo, pokazał im prawdziwy pistolet, lśniący i groźny, sprawiający wrażenie, że za chwilę sam wystrzeli. Być może, złękliby się, a także i Pin bałby się trzymać go ukrytego tak pod kurtką; wystarczyłby im może zwykły pistolet dziecinny, strzelający smugą czerwonych naboń, które tak przeraziłyby dorosłych, że padliby zemdleni prosząc o litość.

Lecz w tej chwili Pin znajduje się na progu pokoju, na czworakach, boso, z głową już po tamtej stronie przepierzenia, w tym zapachu mężczyzny i kobiety, który natychmiast uderza w nozdrza. Dostrzega w pokoju zarysy mebli, łóżko, krzesła, podłużny bidet o skrzyżowanych nogach. I oto od stromy łóżka słychać już ten dialog jęków; teraz można na czworakach posuwać się naprzód, starając się robić to jak najciszej. Być może jednak Pin byłby zadowolony, gdyby podłoga zaskrzypiała, Niemiec usłyszał to i w mgnieniu oka zapalił światło, i gdyby Pin musiał uciekać boso, a za nim jego siostra krzycząc do niego: „Świnia!”. I gdyby wszyscy sąsiedzi słyszeli, gdyby mówiono o tym również w gospodzie, a on mógł opowiadać o zdarzeniu Szoferowi i Francuzowi z tyloma szczegółami, iż uwierzono by w jego dobre chęci i powiedziano by mu: „Dość. Nie udało się. Nie mówmy o tym więcej.”

Podłoga skrzypi naprawdę, lecz wiele rzeczy skrzypi w tej chwili i Niemiec nie słyszy. Pinowi udało się już dotknąć pasa, a pas w dotknięciu jest rzeczą konkretną, wcale nie magiczną, i ześlizguje się z oparcia krzesła w sposób przerażająco łatwy, nie uderzając nawet o ziemię. Teraz rzecz stała się: strach, początkowo udany, staje się strachem prawdziwym. Trzeba pośpiesznie nawinąć pas dokoła kabury i ukryć wszystko pod koszulą, żeby mieć wolne ręce i nogi; potem wrócić na czworakach własnymi śladami, pomaleńku i nie wyjmując ani na chwilę języka spod zębów: może gdyby schował język, stałoby się coś strasznego?

Gdy się już wyszło, nie ma co myśleć o powrocie do łóżka i o ukryciu pistoletu pod materacem, jak to Pin zwykł robić z jabłkami skradzionymi na targu owoców. Za chwilę Niemiec wstanie, będzie szukał pistoletu i przewróci wszystko do góry nogami.

Pin wychodzi na ulicę. Nie dlatego, by pistolet palił mu ciało. Ukryty w ten sposób w jego ubraniu, jest takim samym przedmiotem jak każdy inny i można w ogóle zapomnieć, że się go posiada. Pinowi przykra jest nawet jego własna obojętność i chciałby, żeby przypominając sobie o nim, przenikał go dreszcz. „Prawdziwy pistolet. Prawdziwy pistolet. „ Pin usiłuje podniecić się tą myślą. Ktoś, kto ma prawdziwy pistolet, może wszystko, jest jak dorosły. Może kazać mężczyznom i kobietom zrobić, co tylko zechce, grożąc im śmiercią.

Pin ujmie go teraz w garść i już zawsze będzie chodził z pistoletem gotowym do strzału. Nikt nie będzie mógł mu go odebrać i wszyscy będą się jego, Pina, bali. Tymczasem jednak trzyma ciągle pistolet pod koszulą, owinięty w kłębek pasa, i nie może się zdecydować, żeby go dotknąć, ma nieomal nadzieję, że gdy zacznie go szukać, nie

znajdzie go już, że zniknie w ciepłe jego ciała.

Miejszem, gdzie obejrzy pistolet, jest ukryta pod schodami, służąca za kryjówkę przy grze w chowanego klitka, do której dociera blask zezującej latarni. Pin odwija pas, otwiera kaburę i wyciąga pistolet, tak jakby podnosił za kark kota. Jest naprawdę wielki i groźny i gdyby Pin miał odwagę się nim bawić, udawałby, że ma do czynienia z armatą. Lecz Pin manewruje nim, jakby to była bomba. Bezpiecznik, gdzie jest bezpiecznik?

Wreszcie decyduje się ująć pistolet w dłoń, ale chwytając mocno rękojeść uważa, żeby nie położyć palca na cynglu. Przecież i tak można go dobrze trzymać i wycelować we wszystko w co się zapragnie. Pin mierzy najpierw w rurę od ryny, z bardzo bliska w kawałek blachy, , potem w palec, w swój własny palec, i robi groźną minę, cofając głowę i mrużąc przez zęby: „Pieniądze albo życie!”; następnie znajduje stary but i mierzy w obcas, potem we wnętrze buta, a wreszcie kieruje otwór lufy na podeszwę. Jest to bardzo zabawne: but, przedmiot tak dobrze znany, zwłaszcza jemu, chłopakowi od szewca, i pistolet, przedmiot tak tajemniczy, nierealny niemal. Gdy postawi się je naprzeciw siebie, mogą nastąpić rzeczy, o których się nigdy nie marzyło, można zmusić je do opowiadania najcudowniejszych historii.

Lecz w pewnej chwili Pin nie może oprzeć się pokusie i przykładą pistolet do skroni: jest to coś, co przyprawia o zawrót głowy. Śmiała, aż dotknie skóry i poczuje zimno stali. Teraz można by położyć palec na cynglu. Nie, lepiej przycisnąć otwór lufy do kości policzkowej, aż do bólu, i poczuć żelazne kółko z próżnią wewnątrz, w której rodzą się strzały. Może, gdy oderwie nagle broń od skroni, ponowne wciągnięcie powietrza spowoduje wybuch strzału. Ale nie, nie wybucha. Teraz można włożyć lufę do ust i poczuć jej smak na języku. Później, rzecz najstraszliwsza ze wszystkich, zbliżyć ją do oczu i spojrzeć wewnątrz, w ciemną lufę, która wydaje się głęboka jak studnia. Kiedyś Pin widział chłopca, który strzelił sobie w oko z myśliwskiej fuzji. Widział w chwili, gdy niesiono go do szpitala: miał wielki skrzep krwi na połowie twarzy, a druga połowa pokryta była całą czarnymi punkcikami prochu.

Tale więc Pin bawił się prawdziwym pistoletem, bawił się nim do woli. Teraz może go dać tym ludziom, którzy o niego prosili, spieszy się, żeby go oddać. Kiedy pozbędzie się już pistoletu, będzie zupełnie tak, jakby go w ogóle nie ukradł. Niemiec może się wściekać na niego - a on będzie mógł znów z niego drwić.

Pierwszym jego impulsem było biec do gospody i oznajmić siedzącym tam ludziom: „Mam go i już mi nie ucieknie!” - wśród ogólnego entuzjazmu i okrzyków: „Ależ to niemożliwe!” Później wydaje mu się, że będzie dowcipnie zapytał: „Zgadnijcie, co przyniosłem?” - i wystawić na próbę ich cierpliwość. Ale ponieważ oni na pewno pomyślą natychmiast o pistolecie, więc chyba lepiej przystąpić od razu do rzeczy i rozpocząć od opowiadania całego zdarzenia na dziesięć rozmaitych sposobów, dając do zrozumienia, że się nie udało; a kiedy oni siedzieć będą jak na rozżarzonych węglach i nie będą się już mogli w tym wszystkim połapać, wtedy położyć pistolet; na stole, oznajmiając: „Patrzcie, co znalazłem w kieszeni” - i zobaczyć ich zdumione twarze.

Pin na palcach, po cichutku, wchodzi do gospody. Ludzie wciąż jeszcze szepecą między sobą, wsparci na łokciach, które jakby im przyrosły do stołu. Nie ma tylko nieznanego człowieka i krzesło jego jest puste. Pin stoi już za nimi, lecz dotąd go nie spostrzegli. Czeka, że ujrzą go nagle i zerwą się z miejsc, kierując ku niemu pytające spojrzenia. Ale nikt się nie odwraca. Pin potrąca krzesło. Żyrafa odwraca głowę, mierzy go wzrokiem, potem powraca do przerwanej rozmowy.

- Dziwni ludzie - mówi Pin. Spoglądają na niego.

- Ty małpia mordo - powiada przyjaźnie Żyrafa.

Nikt więcej się nie odzywa.

- Więc... - mówi Pin.

- Więc - powtarza Gian Szofer - cóż nowego nam powiesz?

Pin jest nieco speszony.

- Jesteś smutny? - pyta Francuz. - Zaśpiewaj nam jakąś piosenkę, Pin!

„Oni też udają Greków - myśli Pin - ale z ciekawości aż wylażą ze skóry. „

- No... - mówi. Lecz nie może zacząć: zaschło mu w gardle, jakby bał się, że za chwilę wybuchnie płaczem. -

No - powtarza - co wam zaśpiewać?

- Co? - pyta Michel. A Żyrafa:

- Cóż za nuda dzisiaj, chciałbym już spać. Pin ma dość zgrywania się.

- A ten człowiek? -- pyta.

- Który?

- Ten, który tu przedtem siedział.

- Ach! - wykrzykują pozostali i wzruszają

ramionami. Potem zaczynają znowu szeptać między sobą.

- Ja tam - mówi Francuz - nie wdawałbym się zanadto z tymi z komitetu. Nie mam wcale ochoty mieszać się w to wszystko dla ich pięknych oczu.

- A więc - powiada Gian Szofer - cośmy postanowili? Powiedzieliśmy sobie: zobaczymy. Tymczasem dobrze być z nimi w kontakcie, nie podejmując zobowiązań, i zyskać na czasie. Zresztą, jeśli o mnie chodzi, mam własne porachunki z Niemcami, od czasu jak się było razem na froncie, i gdyby przyszło co do czego, będę się bił chętnie.

- Dobrze - mówi Michel. - Ale pamiętaj, że z Niemcami nie ma żartów i nigdy nie wiadomo, jak się skończy. Komitet chce, żebyśmy robili Gap. Więc dobrze, róbmy Gap, ale na własny rachunek.

- Na razie - mówi Żyrafa - pokażmy im, że jesteśmy ich ludźmi, i zaopatrmy się w broń. Kiedy już będziemy uzbrojeni...

Pin już jest uzbrojony. Czuje pistolet pod kurtką i kładzie na nim rękę, jakby go chciał wyciągnąć.

- Wy macie broń? - pyta.

- Już ty się o to nie kłopotz - powiada Żyrafa. - Myśl lepiej o tym pistolecie Niemca, rozumiesz?

Pin nadstawia ucha. Teraz powie: „Zgadnijcie... „

- Uwważaj, żebyś nie stracił go z oczu, gdy nawinie ci się pod rękę.

Nie jest tak, jakby Pin pragnął. Dlaczego teraz obchodzi ich to wszystko tak niewiele? Wolałby wcale nie brać pistoletu, chciałby wrócić do Niemca i położyć broń na dawnym miejscu.

- Dla jednego pistoletu - mówi Michel - nie warto ryzykować. Zresztą, jest to model przestarzały: ciężki, zacina się.

- Jednakże - dodaje Żyrafa - trzeba pokazać komitetowi, że coś robimy, to jest ważne.

I dalej rozmawiają półgłosem.

Pin nie słucha już więcej. Teraz jest pewien, że nie odda im pistoletu. Ma łzy w oczach i zaciśnięte gniewem

szczęki. Dorośli są rasą niepewną i zdradziecką, nie mają tej strasliwej powagi w zabawach właściwej dzieciom, choć i oni też mają swoje gry; coraz to poważniejsze, jedna gra w drugiej, tak że nie można nigdy zrozumieć, która z nich w końcu jest prawdziwa. Początkowo wydawało się, że razem a nieznajomym będą prowadzili grę przeciwko Niemcom, teraz sami podejmują grę przeciwko niemu. Nigdy nie można mieć zaufania do tego, co mówią.

- A więc zaśpiewaj nam coś - mówią do Pina jakby nigdy nic, jakby nie stała pomiędzy nim i nimi najsurowsza umowa, umowa uświęcona tajemniczym słowem Gap.

- Eh! - woła drżącymi wargami poblady Pin. Wie, że nie może śpiewać. Chce płakać, ale zamiast tego wybucha wrzaskiem, od którego pękają bębenki, i kończy stekiem obelg: - Bękarty, synowie zapowietrzonej suki waszej matki, wstrętnej krowy, parszywej kurwy!

Ludzie dziwią się, co mu się stało, lecz Pin wybiegł już z gospody.

Teraz pierwszym jego impulsem jest odszukać tego człowieka, którego nazywają Komitetem, i oddać mu pistolet. W tej chwili jest to jedyna osoba, dla której Pin czuje szacunek, mimo iż z początku, cichy i poważny, wzbudzał jego nieufność. Ale teraz jedynie on potrafiłby go zrozumieć, podziwiać jego czyn, a może wzięłby Pina ze sobą i walczyliby z Niemcami tylko we dwóch, uzbrojeni w pistolet, czyhając na rogach ulic. Lecz któż może wiedzieć, gdzie jest obecnie Komitet? Nikogo w pobliżu nie można się o to zapytać, nikt go tutaj przedtem nie widział.

Pistolet zostanie więc przy Pinie a Pin nie odda go nikomu i nikomu nie powie, że go posiada. Da jedynie do zrozumienia, iż wyposażony jest w strasliwą siłę, i wszyscy będą mu posłuszni. Kto ma prawdziwy pistolet, powinien by się wspaniale bawić, jak nie bawił się jeszcze nigdy żaden inny chłopiec, ale Pin jest dzieckiem, które nie umie się bawić, które nie potrafi wziąć udziału ani w zabawach dorosłych, ani w zabawach dzieci. Jednakże teraz Pin pójdzie sobie daleko, z dala od wszystkich, i będzie się bawił zupełnie sam swoim pistoletem, i wymyśli zabawy, jakich nikt inny nie zna i o jakich nikt inny nigdy się nie dowie.

Jest noc. Pin omija z dala grupę starych domów idąc drózkami, które wiją się wśród ogrodów warzywnych i tarasujących przejście zwalisk śmieci. W ciemnościach metalowe siatki, okalające szkółki drzewek, rzucają cień swych kółek na szaro-księżycową ziemię. Kury śpią teraz rzędem na grzędach kurników, a żaby powyłaziły wszystkie z wody i słuchać ich chóry wzdłuż całego strumienia, od źródła aż do ujścia. Kto wie, co by się stało, gdyby tak strzelić do żaby? Może zostałaby tylko zielona plama rozlana na kamieniu.

Pin kroczy ścieżkami wijącymi się wzdłuż strumienia po urwistych brzegach, których nikt nie uprawia. Są to drogi znane tylko jemu, inni chłopcy wylaziliby ze skóry, żeby je poznać. Jest jedno miejsce, gdzie robią gniazda pająki, i -tylko Pin je zna; miejsce jedyne w całej dolinie, a może i w całej okolicy. Żaden chłopiec, a wyjątkiem Pina, nie słyszał nigdy o pająkach, które robią gniazda.

Może kiedyś Pin znajdzie przyjaciela, prawdziwego przyjaciela, który go zrozumie i którego Pin będzie mógł zrozumieć, a wówczas jemu, tylko jemu, pokaże miejsce pajęczych gniazd. Jest kamienista ścieżka, która zbiega ku strumieniowi pomiędzy dwiema ścianami ziemi i trawy. Tam, pośród traw, pająki robią swe kryjówki, tunele wyłożone cementem zeschniętej trawy. Lecz najdziwniejsze z wszystkiego jest to, że kryjówki mają drzwiczki, również z tej papki z zeschniętej trawy, okrągłe drzwiczki, które można otwierać i zamykać.

Kiedy Pin zrobi jakąś większą złośliwość i po nadmiarze wesołości pierś jego wypełnia tłumiony smutek,

błądzi samotnie po ścieżkach fosy i szuka miejsca, gdzie pająki mają swe gniazda. Przy pomocy długiej, suchej gałązki można dotrzeć aż do dna kryjówki i nakłuć pająka, małego pająka czarnego z szarymi deseniami jak na letnich sukniach starych dewotek.

Pina bawi, gdy może niszczyć drzwi kryjówek i nakłuwać pająki na gałązki, bawi go również, gdy bierze świerszcza, żeby popatrzeć z bliska w jego nedorzeczny pyszczek zielonego konika, a potem rozrywa go na kawałki i układa dziwaczne mozaiki z jego łapek na gładkim kamieniu.

Pin jest niedobry dla zwierząt: są to istoty potworne i niezrozumiałe, podobnie jak ludzie. To chyba okropne być takim małym, zielonym zwierzęciem i robić kaku kropelkami, i ciągle się bać, że przyjdzie istota ludzka, taka jak on, z ogromną twarzą pełną czerwonych i czarnych plamek i z palcami zdolnymi rozrywać na kawałki świerszcze.

Pin jest teraz sam pośród pajęczych kryjówek, a wokół niego noc bezbrzeżna jak chór żab. Jest sam, lecz ma ze sobą pistolet i oto nakłada pas umieszczając kaburę na siedzeniu, jak to robił Niemiec. Tylko że Niemiec jest gruby, a Pin mógłby sobie przewiesić pas przez ramię, jak pasy wojaków, których widział w kinie. Teraz może wyciągnąć pistolet szerokim ruchem, jakby obnażał szpadę, i zawołać: „Naprzód, zuchy!”, jak chłopcy, gdy bawią się w robójków. Lecz nie wiadomo, co za przyjemność znajdują ci smarkacze, kiedy mówią i robią te rzeczy. Pin, zrobiwszy z wyciągniętym pistoletem kilka skoków po łące mierząc do cieni oliwnych drzewek, znudził się już i sam nie wie, co dalej począć z bronią.

Pająki, niewidoczne pod ziemią, pożerają w tej chwili robaki lub parzą się, samce z samicami, snując nici ze śliny. Są to istoty ohydne, jak ludzie, i Pin kieruje lufę pistoletu w otwór kryjówki pragnąc je zabić. Kto wie, co by się stało, gdyby padł strzał: domy są daleko i nikt nie zorientowałby się, skąd pochodzi. A zresztą, Niemcy i ci z milicji strzelają często do ludzi, którzy chodzą po godzinie policyjnej.

Pin trzyma palec na cynglu i celuje w kryjówkę pająka; trudno jest oprzeć się pokusie pociągnięcia za cyngiel, ale pistolet jest na pewno zabezpieczony, a Pin nie wie, jak się go odbezpiecza.

Nagle wybuch strzał tak niespodziewanie, że Pin ani się spostrzegł, iż pociągnął za cyngiel. Pistolet w jego dłoni odrzuca do tyłu, dymiący i brudny od ziemi. Zapadł się tunel kryjówki, z góry zwisa małe osypisko ziemi, trawa wokoło jest osmalona.

Pina ogarnia najpierw strach, a potem radość: wszystko było tak piękne, a 'zapach prochu tak przyjemny. Jest jednak coś, co przeraża go naprawdę: oto żaby milkną nagle i nie słychać już nic, jakby ten strzał zabił całą ziemię. Później jedna żaba, bardzo daleka, wznawia swój rechot, a potem druga, bliższa, i inne jeszcze bliższe, aż wreszcie cały chór podejmuje pieśń i Pinowi zdaje się, że rechoczą głośniejsze, o wiele głośniejsze niż przedtem. Od strony domostw szczeka pies i jakaś kobieta woła przez okno. Pin nie będzie więcej strzelał, bowiem ta cisza i te hałasy napawają go lękiem. Ale powróci tu innej nocy i wówczas nic nie zdoła go przestraszyć, i wystrzela wszystkie naboje z pistoletu nawet do nietoperzy i kotów, które o tej porze krążą wokół kurników.

Teraz trzeba znaleźć miejsce, gdzie można by ukryć pistolet: w dziupli oliwnego drzewa albo lepiej zakopać go, a może jeszcze lepiej wygrzebać wnękę w trawiastej ścianie, gdzie znajdują się pajęczce gniazda, i przykryć wszystko ziemią i trawą? Pin grzebie paznokciami w miejscu, gdzie ziemia jest całkowicie zryta gęstymi tunelami pająków, kładzie do środka pistolet w kaburze odczepiwszy od niej pas i przykrywa wszystko ziemią i trawą oraz

kawałkami ścianek przeżutych zębami pajaków. Następnie układa kamienie w taki sposób, żeby tylko on mógł rozpoznać miejsce, i odchodzi smagając krzaki rzemieniem pasa. Droga powrotna wiedzie przez małe kanaliki nad fosą, z równą linią kamieni służących jako chodnik.

Pin idąc ciągnie za sobą koniec pasa po wodzie i pogwizduje, żeby nie słyszeć skrzeczenia żab, które zdaje się wzmagać z każdą chwilą.

Petem zaczynają się ogrody, śmietniki, domy i zbliżając się tam Pin słyszy głosy w obcym języku. Jest godzina policyjna, lecz on często krąży samotnie nocą, gdyż jest dzieckiem i patrole go nie zaczepiają. Ale tym razem Pin boi się: być może Niemcy szukają sprawcy strzału. Idą w jego stronę i Pin chciałby umknąć, ale oni krzyczą już coś do niego i dopędzają go. Pin skulił się w obronnym geście, trzymając rzemień pasa jak bicz. Lecz Niemcy patrzą właśnie na pas, chcą mu go zabrać. I nagle chwytają Pina za kark i prowadzą ze sobą. Pin mówi mnóstwo rzeczy: prosi, lamentuje, rzuca obelgi, ale Niemcy nic nie rozumieją. Są gorsi, o wiele gorsi od straży miejskiej.

Na ulicy są uzbrojone patrole niemieckie i faszystowskie oraz ludzie zatrzymani i zaaresztowani, wśród nich także Michel Francuz. Panowi, kroczącemu uliczką pod górę, kazano wejść w środek. Jest ciemno, tylko u szczytu kamiennych stopni jest miejsce oświetlone blaskiem latarni, stłumionym wskutek zaciemnienia.

W świetle zezującej latarni, w górze ulicy, Pin widzi pełną wściekłości tłustą twarz marynarza, który wskazuje na niego palcem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Niemcy są gorsi od straży miejskiej. Ze strażą można było w każdym razie żartować: „Jeżeli mnie puścicie, zrobię tak, że pójdziecie za darmo do łóżka z moją siostrą.”

Tymczasem Niemcy nie rozumieją tego, co się do nich mówi, faszyci zaś to ludzie obcy, ludzie, którzy nie wiedzą nawet, kim jest siostra Pina. Są to dwie odrębne rasy: o ile Niemcy są czerwonawi, mięśniści, bez zarostu, o tyle faszyci są czarni, kościści, z niebieskawymi twarzami i z wąsami jak u szczurów.

W niemieckiej komendzie rano przesłuchują Pina jako pierwszego. Stoi przed obliczem niemieckiego oficera o twarzy dziecka i tłumacza-faszysty z bródką. Dalej, w kącie, siedzi marynarz i siostra Pina. Wszyscy mają zakłopotane miny. Zdaje się, że marynarz zmyślił całą historyjkę ma temat tego skradzionego pistoletu, być może dlatego, by nie obwiniano go o to, że pozwolił go sobie zabrać; musiał zeznać wiele fałszywych rzeczy.

Na stole oficera leży pas, i pierwsze pytanie, jakie skierowują do Pina, brzmi: jakim sposobem pas znalazł się w jego rękach? Pin jest ma wpół śpiący. Spędzili noc leżąc na podłodze w korytarzu, a Michel Francuz ułokował się w pobliżu Pina i gdy tylko ten zasypiał, Michel] dawał mu łokciem szturchańca aż do bólu i mówił szeptem:

- Jeżeli powiesz, zedrzemy z ciebie skórę.

- A Pin:

- Żebyś pękł!

- Nawet gdyby cię bito, rozumiesz? nie wolno ci powiedzieć ani słowa o mas.

A Pin:

- Żebyś zdechł!

- Postanowiliśmy, że jeśli towarzysze stwierdzą, że nie wróciłem do domu, i obedną cię ze skóry.

A Pin:

- Żeby cię jasna cholera...

Michel przed wojną pracował we Francji w hotelach i powodziło mu się dobrze, mimo że czasami nazywano go *macaroni* lub *cochon fasciste*. Później, w 1940, dostał się do obozu i od tego czasu wszystko obróciło się na złe: bezrobocie, repatriacja, wykolejone życie.

Kiedy w pewnej chwili strażnicy zauważyli rozmowę pomiędzy Pinem i Francuzem, zabrali chłopca gdzie indziej, ponieważ on był głównym podejrzanym i nie powinien kontaktować się z nikim. Pin nie mógł zasnąć. Do bicia był przyzwyczajony, więc nie bał się zbytnio, dręczyły go jednak wątpliwości co do stanowiska, jakie powinien zająć na śledztwie: z jednej strony, chciałby się zemścić na Michelu oraz na wszystkich innych i od razu powiedzieć niemieckim oficerom, że oddał pistolet tym z gospody i że była tam mowa także i o Gapie. Lecz sypanie innych byłaby czynem nie do naprawienia, podobnie jak kradzież pistoletu, raz na zawsze uniemożliwiłoby picie na cudzy rachunek w gospodzie, śpiewanie i przysłuchiwanie się nieprzyzwoitym rozmowom. A poza tym być może musiałby zostać w tę sprawę wmieszany Komitet, zawsze taki smutny i z czegoś niezadowolony, co byłoby dla Pina wielką przykrością, bo Komitet był jedynym dobrym człowiekiem wśród nich wszystkich. Pin pragnąłby teraz, żeby zjawił się Komitet otulony w swój płaszcz, żeby wszedł do pokoju, w którym odbywa się śledztwo, i powiedział: „To ja kazałem mu zabrać pistolet.” Byłby to piękny czyn, godny jego, i nawet nie stałoby mu się nic, gdyż właśnie w chwili gdy esesmani usiłowaliby go aresztować, rozległby się okrzyk, zupełnie jak w kinie: „Nasi idą!”, i

wkroczyliby ludzie Komitetu, i uwolniliby wszystkich.

- Znalazłem go - odpowiada Pin niemieckiemu oficerowi, który go pytał o pas. Wtedy oficer podnosi pas w górę i z całej siły uderza nim Pina w twarz. Pin pada na ziemię, czuje jakby mnóstwo igieł wbijało mu się w piegi i krew spływającą z puchnącego już policzka.

Siostra wydaje okrzyk. Pin nie może nie pomyśleć, że często biła go przecież niemal równie mocno, jak biją go teraz, i że tylko udaje tak wrażliwą. Faszysta wyprowadza siostrę, marynarz mówi coś bardzo skomplikowanego po niemiecku, wskazując na Pina, lecz oficer każe mu milczeć. Pytają Pina, czy zdecydował się powiedzieć prawdę: kto mu kazał ukraść pistolet?

- Wziąłem pistolet, żeby strzelić do kota, a potem chciałem go oddać - mówi Pin, lecz nie udaje mu się przybrać naiwnego wyrazu twarzy; czuje, że jest cały spuchnięty, i podświadomie pragnie pieczy.

Nowe uderzenie w drugi policzek, jednak nie tak silne. Lecz Pin, przypominając sobie swój system, jaki stosował wobec straży miejskiej, wydaje 'przeraźliwy krzyk, zanim jeszcze dotknął go rzemień, i odtąd nie przestaje już wrzeszczeć. Rozpoczyna się scena, w której Pin krzycząc i płacząc biegnie po pokoju, Niemcy zaś gonią go chcąc go schwytać i bić dalej, a Pin krzyczy, szlocha, wymyśla i na padające bez przerwy pytania udziela coraz to bardziej niedorzecznych odpowiedzi.

- Gdzie schowałeś pistolet?

Teraz Pin może nawet powiedzieć prawdę.

- W pajęczych gniazdach.

- Gdzie one są?

W gruncie rzeczy Pin wolałby być przyjacielem tych ludzi; strażnicy miejscy też go zawsze bili, ale potem zaczynali żartować na temat jego siostry. Gdyby doszli do porozumienia, byłoby pięknie wytłumaczyć im, gdzie pająki robią gniazda, żeby zaciekawieni poszli razem z nim, a wtedy ona pokazałaby im wszystkie te miejsca. Później poszliby do gospody, żeby kupić wina, a następnie udaliby się wszyscy do pokoju jego siostry pić, palić i patrzeć, jak ona tańczy. Ale Niemcy i faszyci to rasy ludzi bezwąsych i niebieskawych, z którymi nie można się porozumieć; nie przestają go bić, a Pin nie powie im nigdy, gdzie są pajęczce gniazda; nie powiedział tego żadnemu przyjacielowi, czy zatem mógłby powiedzieć im?

Więc płacze płaczem ogromnym, przesadnym, bezbrzeżnym jak płacz noworodka, płaczem zmieszany z wrzaskami, z wymyślaniami, z łupaniem nogami, tak że słychać go w całym gmachu niemieckiego dowództwa. Nie zdradzi Michela, Żyrafy, Szofera i innych: są jego prawdziwymi towarzyszami. Teraz Pin jest pełen podziwu dla nich, gdyż są nieprzyjaciółmi obu tych ras bękarcich. Michel może być spokojny, Pin go nie zdradzi, z pewnością usłyszy stąd jego krzyki i powie: „Żelazny chłopak z tego Pina, wytrzymuje i nie sypie nikogo!”

Istotnie, piekielny hałas spowodowany przez Pina daje się słyszeć wszędzie. Oficerowie z innych biur zaczynają się denerwować: niemieckie dowództwo jest zawsze pełne ludzi, którzy przychodzą w sprawie różnych zezwoleń i dostaw, niedobrze, żeby wszyscy słyszeli, że biją nawet dzieci.

Oficer o dziecięcej twarzy otrzymuje rozkaz przerwania badań: wznowi się je później i w innym miejscu. Ale uspokojenie Pina nie jest teraz wcale sprawą łatwą. Chcą mu wytłumaczyć, że wszystko już skończone, lecz głosy ich giną w jego wrzaskach. Zbliżają się, żeby go uspokoić, on jednak ucieka im, szamoce się i szlocha jeszcze

bardziej rozpaczliwie. Wprowadzają jego siostrę, żeby go pocieszyła, lecz w jednej chwili Pin rzuca się na nią i chce ją gryźć. W końcu wokół Pina gromadzi się grupka żołnierzy i Niemców, którzy usiłują go udobruchać. Ktoś głaszcze go, ktoś inny próbuje otrzeć mu łzy.

Wreszcie, kompletnie wyczerpany, Pin uspokaja się, dyszy ciężko, nie mogąc już wydobyć głosu. Teraz jeden z żołnierzy odprowadzi go do więzienia, a jutro przyprowadzą go znów na przesłuchanie.

Pin wychodzi z biura w towarzystwie uzbrojonego żołnierza. Pod zmierzwionymi włosami twarz ma maleńką, mrugające oczy i piegi zmyte płaczem.

W drzwiach spotykają Michela Francuza, który wychodzi wolny.

- Cześć, Pin! - woła. - Idę do domu. Jutro zgłaszam się na służbę.

Pin spogląda ma niego małymi, zaczerwienionymi oczyma, szeroko otworzywszy usta.

- Tak. Poprosiłem o przyjęcie mnie do czarnej brygady. Wyjaśniono mi, jakie to daje korzyści i jaką się bierze pensję. Poza tym, wiesz, w czasie obław możesz łązić po domach i brać, co ci się podoba. Jutro umundurują mnie i dadzą broń. Trzymaj się, Pin!

Żołnierz, który odprowadza Pina do więzienia, ma czarny beret z wyhaftowaną czerwoną *fascio*, jest chłopakiem bardzo niskim, niższym od karabinu, który dźwiga. Nie należy do niebieskawej rasy faszystów.

Idą już tak z pięć minut, a żaden z nich nie powiedział jeszcze ani słowa.

- Jeśli zechcesz, będziesz mógł także i ty wejść do czarnej brygady - mówi żołnierz do Pina.

- Jak zechcę, to wejdę do.... tej krowie twojej prababce - odpowiada z niezmałym spokojem Pin.

Żołnierz jest urażony.

- Cóż to? Myślisz, że z kim masz do czynienia? Kto cię tego wszystkiego nauczył? - pyta zatrzymując się.

- Dalej, prowadź mnie do więzienia, pośpiesz się! - napomina go Pin.

- Myślisz, że w więzieniu będziesz miał spokój? Co chwila będą cię brać na przesłuchania i spuchniesz jak beczka. Lubisz zbierać guzy?

- Za to ty lubisz zbierać... - mówi Pin.

- Właśnie, że ty! - woła żołnierz.

- Ty, twój ojciec i twój dziadek - odpowiada Pin.

Żołnierz jest niezbyt rozgarnięty i z każdej takiej utarczki wychodzi przegrany.

- Jeżeli nie chcesz, żeby cię bili, wstąp do czarnej brygady.

- A co potem? - pyta Pin.

- Będziesz robił obławy.

- A ty robisz obławy?

- Nie. Ja jestem przydzielony do dowództwa.

- Nie gadaj! Kto wie, ilu partyzantów zabiłeś, i nie chcesz się do tego przyznać.

- Daję ci słowo. Nigdy nie brałem udziału w obławach.

- Nigdy, z wyjątkiem tych wypadków, kiedy brałeś.

- Z wyjątkiem jednego wypadku, kiedy mnie wzięli.

- Wzięli także ciebie podczas obławy?

- Tak. To była piękna obława, naprawdę dobrze zrobiona. Kompletna czystka. Wzięli wtedy także i mnie. Schowałem się w kurniku. Naprawdę piękna obława.

Pin czuje żal do Michela nie dlatego, by uważał, że popełnił brzydki uczynek, że stał się zdrajcą. Złości go tylko fakt, że za każdym razem myli się i nigdy nie potrafi przewidzieć, co zrobią dorośli. Wydaje mu się, że ktoś myśli w pewien określony sposób, a tymczasem okazuje się, że myśli właśnie zupełnie inaczej, w sposób, którego Pin nigdy by się nie spodziewał.

W gruncie rzeczy także i Pin chciałby być w czarnej brygadzie, chodzić cały obwieszony trupimi czaszkami i nabojami do karabinów maszynowych, wzbudzać lęk wśród ludzi i obcować ze starszymi jako jeden z nich, związany z nimi tą barierą nienawiści, która oddziela ich od innych ludzi. Może, gdy się zastanowi, zdecyduje się wstąpić do czarnej brygady, przynajmniej będzie mógł odzyskać swój pistolet, a może nawet pozwoli mu zachować go i otwarcie nosić przy mundurze. I będzie mógł również zemścić się na niemieckim oficerze i tym tłumaczu-faszyście jakimś złośliwym kawałem i powetować sobie śmiechem swój płacz i krzyki.

Jest taka piosenka czarnych brygad, w której się śpiewa: „A my Mussoliniego jesteście nicponie...” i dalej są już nieprzyzwoite słowa. Czarne brygady mogą śpiewać na ulicach sprośne piosenki, ponieważ są nicponiami Mussoliniego - to właśnie jest cudowne. A przecież Kołnierz, który go prowadzi, jest głupi i denerwujący i dlatego na wszystko, co mówi, Pin odpowiada złośliwie.

Więzienie mieści się w wielkiej, zarekwirowanej angielskiej willi, gdyś w starej fortecy nad portem Niemcy ustawili artylerię przeciwlotniczą. Jest to willa dość osobliwa, położona w parku, i przypuszczalnie już przedtem przypominała więzienie, z wieloma wieżami, tarasami, strażakami na kominach obracającymi się na wietrze oraz z żelaznymi kratami, które były tu już uprzednio oprócz tych dodanych później.

Teraz pokoje zostały przerobione na cele, dziwne cele z podłogą drewnianą lub pokrytą linoleum, z wielkimi murowanymi kominkami, z umywalkami i bidetami pozatykanymi szmatami. Na wieżyczkach siedzą uzbrojeni strażnicy, na tarasach zaś aresztowani stają w kolejce do kotłów ze strawą i odbywają codzienny spacer.

Pin przybył w porze posiłku i od razu przypomniał sobie, że jest bardzo głodny. Również i jemu wydano miskę i ustawiono go w kolejce.

Wśród aresztowanych jest wielu uchylających się od służby wojskowej, jak również wielu siedzących za dawne sprawy, za potajemny ubój, paskarzy, handlarzy benzyną i czarnogiełdziarzy. Teraz, kiedy nikt nie ściga złodziei, przestępców pospolitych jest w więzieniu niedużo. Są to przeważnie ludzie, którzy mają do odsiedzenia dawne wyroki i są już za starzy, żeby prosić o wcielenie ich do wojska i darowanie w ten sposób reszty kary. Politycznych można odróżnić po sińcach na twarzy oraz po szczególnym sposobie poruszania się: na ogół mają połamane w czasie śledztwa kości.

Pin także jest „polityczny”, widać to od razu. Właśnie w chwili gdy zajada swoją zupę, zbliża się do niego rosły i tęgi chłopak, o twarzy jeszcze bardziej spuchniętej i posiniaczonej niż jego własna, z ostrzyżonymi włosami, w czapce z daszkiem.

- Wygarbowali ci skórę nielicho, towarzyszu - mówi.

Pin spogląda na niego, nie wie jeszcze, jak go ma traktować.

- A tobie może nie? - pyta.

- Codziennie prowadzą mnie na przesłuchania i biją bykowcem - odpowiada ostrzyżony.

Mówi to z bardzo ważną miną, zupełnie jakby czynili mu w ten sposób specjalne honory.

- Jeżeli chcesz moją zupę, to masz - mówi do Pina. - Ja nie mogę jeść, bo gardło mam pełne krwi.

I pluje na ziemię czerwoną śliną. Pin spogląda na niego z zaciekawieniem: zawsze był pełen szczególnego podziwu dla każdego, komu się uda splunąć krwią, bardzo lubił patrzeć, jak plują gruźlicy.

- Więc masz gruźlicę - mówi.

- Możliwe, że wpędzili mnie w gruźlicę - zgadza się z dumą ostrzyżony.

Pin patrzy na niego z podziwem, może zostaną prawdziwymi przyjaciółmi? Oddał mu przecież swoją zupę, którą Pin przyjął z wdzięcznością, gdyż jest głodny.

- Jeśli tak dalej pójdzie. - mówi ostrzyżony - zrujną mi zdrowie na całe życie.

- A dlaczego nie zapiszesz się do czarnej brygady? - pyta Pin.

Ostrzyżony wstaje i wpija w niego zapuchnięte oczy.

- Powiedz ino, czy ty wiesz, kim ja jestem?

- Nie, a kim jesteś? - pyta Pin.

- Nie słyszałeś nigdy o Czerwonym Wilku? Czerwony Wilk! Któż by o nim nie słyszał? Po każdym ciosie zadanym faszystom, po każdej bombie, która wybucha w willach zajętych przez niemieckie komendy, po każdym szpiclu, który znika i nie wiadomo, gdzie skończył życie, ludzie wymawiają po cichu imię: Czerwony Wilk. Pin wie również, że Czerwony Wilk ma szesnaście lat i że przedtem pracował jako mechanik w organizacji „Todt”. Starsi chłopcy, którzy pracowali w „Todt”, żeby mieć zwolnienie od służby wojskowej, opowiadali o nim, że nosił rosyjską czapkę i ciągle mówił o Leninie, tak że przezwano go Gepeu. Poza tym miał prawdziwą manię na punkcie dynamitu oraz bomb zegarowych i zdaje się, że zapisał się do „Todt”, by nauczyć się robić miny. Aż pewnego dnia wyleciał w powietrze most kolejowy i Gepeu nie pokazał się już więcej w „Todt”: siedział w górach i schodził do miasta nocą, z biało-czerwano-zieloną gwiazdą na rosyjskiej czapce i z wielkim pistoletem. Zapisał sobie długie włosy i nazwał się Czerwonym Wilkiem.

Teraz Czerwony Wilk stoi przed nim w rosyjskiej czapce, już bez gwiazdy, z wielką ostrzyżoną głową, podbitymi oczyma i pluje krwią.

- Słyszałem, to ty? - pyta Pin.

- Ja - mówi Czerwony Wilk.

- A kiedy cię złapali?

- We czwartek na moście del Borgo, z bronią w ręku i gwiazdą na czapce.

- I co ci zrobią?

- Może - mówi Czerwony Wilk ze swą ważną miną - rozstrzelają mnie.

- Kiedy?

- Może jutro. - A ty?

Czerwony Wilk spluwa na ziemię.

- Kto ty właściwie jesteś? - pyta Pina. Pin mówi swoje imię. *Zawsze pragnął spotkać Czerwonego Wilka,*

zobaczyć go wyłaniającego się z zaułków Starego Miasta, lecz zarazem lękał się go trochę z powodu swojej siostry, która chodzi z Niemcami.

- Dlaczego tu jesteś? - pyta Czerwony Wilk. Ton jego pytań jest niemal równie natarczywy jak ton faszystów prowadzących śledztwo.

Teraz z kolei Pin może przybrać ważną minę.

- Zabrałem pistolet jednemu Niemcowi.

Czerwony Wilk spogląda na niego przychylniej.

- Jesteś w oddziale? - pyta z powagą. Pin odpowiada:

- Ja? Nie.

- Nie jesteś zorganizowany? Nie jesteś w Gapie?

Pin jest bardzo zadowolony, że znów słyszy to słowo.

- Tak, tak - wykrzykuje - Gap!

- Z kim jesteś?

Pin zastanawia się przez chwilę, potem mówi:

- Z Komitetem.

- Z kim?

- Z Komitetem, nie znasz go? - Pin chce przybrać ton wyższości, lecz niezupełnie mu się to udaje. - Chudy, w jasnym nieprzemakalnym płaszczu...

- Pleciesz bzdury: komitet jest złożony z tylu osób, że nikt ich wszystkich nie zna, i komitet przygotowuje powstanie. O niczym nie masz pojęcia.

- Jeżeli nikt ich nie zna, to ty też nie możesz ich znać.

Pin nie lubi rozmawiać z chłopcami w tym wieku, bo zawsze chcą okazać swą wyższość, nic mają do niego zaufania i traktują go jak dziecko.

- Ja ich znam - mówi Czerwony Wilk - należę do Simu.

Nowe tajemnicze słowo: Sim! Gap! Któż wie, ile ich jeszcze będzie, tych słów. Pin chciałby je znać wszystkie.

- Ja też wiem wszystko - mówi. - Wiem, że ty nazywałeś się także Gepeu.

- Nieprawda - mówi Czerwony Wilk - nie trzeba mnie tak nazywać.

- Dlaczego?

- Dlatego, że my nie robimy rewolucji społecznej, lecz dążymy do wyzwolenia narodowego. Kiedy lud uwolni Włochy, pociągniemy burżuazję do odpowiedzialności.

- Jak? - pyta Pin.

- Tak. Pociągniemy burżuazję do odpowiedzialności. Wytłumaczył mi to komisarz brygady.

- Wiesz, kim jest moja siostra? - Jest to pytanie nie mające nic wspólnego z tematem, ale Pin ma już dość rozmów, z których nic nie rozumie, i woli przejść do zwykłych spraw.

- Nie - odpowiada Czerwony Wilk.

- Jest Czarną z Carrugio Lungo.

- A kto to jest?

- Jak to kto? Wszyscy znają moją siostrę. Czarna z Carrugio Lungo.

To nie do wiary, żeby taki chłopak jak Czerwony Wilk nigdy nie słyszał o jego siostrze! Na Starym Mieście nawet sześćoletni chłopcy już o niej mówią i tłumaczą dziewczynkom, jaka jest i co robi, kiedy jest w łóżku z mężczyznami.

- Naprawdę, on nie wie, kto to jest moja siostra! To dobre...

Pin chciałby zawołać również innych aresztantów i zacząć się przed nimi zgrywać.

- Ja na razie na kobiety nawet nie patrzę - mówi Czerwony Wilk. - Kiedy zrobimy powstanie, będzie na to czas...

- A jak ciebie jutro rozstrzelają? - zapytuje Pin.

- Zobaczymy, co będzie pierwej: czy oni rozstrzelają mnie, czyja. powystrzelam ich.

- W jaki sposób?

Czerwony „Wilk zastanawia się przez chwilę, a potem pochyła się do ucha Pina.

- Mam pewien plan i jeśli mi się uda, dziś jeszcze ucieknę, a wtedy wszystkie te faszystowskie bękartki zapłacą po kolei za wszystko, co mi zrobili.

- Uciekniesz i gdzie pójdziesz?

- Pójdę do oddziału. Do Blondyna. I przygotujemy akcję, że ani się spostrzegą.

- Weźmiesz mnie z sobą?

- Nie.

- Bądź dobry, Wilku, zabierz mnie z sobą.

- Nazywam się Czerwony Wilk - precyzuje ostrzyżony. - Kiedy komisarz wyjaśnił mi, że Gepeu to zła nazwa, zapytałem go, jak powinienem się nazywać, a on mi powiedział: „Nazywaj się Wilk.” Wtedy powiedziałem, że wolałbym imię z czymś czerwonym, bo wilk jest zwierzęciem faszystowskim. A on mi na to: „Nazywaj się więc Czerwony Wilk.”

- Czerwony Wilku - mówi Pin - słuchaj, Czerwony Wilku, dlaczego nie chcesz zabrać mnie z sobą?

- Bo jesteś dzieckiem.

Z początku wydawało się, że dzięki sprawie skradzionego pistoletu można będzie znaleźć w Czerwonym Wilku prawdziwego przyjaciela. Później jednak zaczął go znowu traktować jak dziecko, a to jest denerwujące. Wobec innych chłopców w tym wieku Pin *może* przynajmniej wykazać swą wyższość opowiadając im, jak wyglądają kobiety, ale Czerwonego Wilka te sprawy nie interesują. A przecież jakże byłoby pięknie iść razem z Czerwonym Wilkiem, wysadzać w powietrze mosty i schodzić do miasta zasypując gradem kul patrole. Może byłoby to jeszcze piękniejsze niż czarna brygada? Tylko że czarna brygada ma trupie czaszki, które robią o wiele większe wrażenie niż trójkolorowe gwiazdy.

Finowi wydaje się to rzeczą nieprawdopodobną niemal, że jest tu, na tym (tarasie wypełnionym ludźmi, którzy jedzą przykucnąwszy na ziemi, pośród poruszających się na wietrze strażaków, wśród strażników więziennych siedzących z wycelowanymi (karabinami na wieżyczkach, i rozmawia z kimś, kto może jutro będzie rozstrzelany. A cały park z czarnymi cieniami drzew araukarii wydaje się jakby zaczarowaną dekoracją. Pin zapomniał niemal o ciosach, które mu się dostały, i nie jest zupełnie pewien, czy to wszystko nie było snem.

Ale oto strażnicy więzienni ustawiają ich w szereg i każą wracać do cel.

- W której celi siedzisz? - pyta Pina Czerwony Wilk.
- Nie wiem, gdzie mnie wsadzą - mówi Pin - nie byłem jeszcze w żadnej celi.
- Chciałbym wiedzieć, gdzie będziesz - mówi Czerwony Wilk.
- Dlaczego? - pyta Pin.
- Dowiesz się później.

Pina irytują ci, którzy zawsze mówią: dowiesz się później.

Nagle wydaje mu się, iż w szeregu przesuwających się więźniów dostrzega twarz znajomą, bardzo znajomą.

- Czerwony Wilku, czy znasz tego tam na przedzie, który idzie w ten sposób?...
- To pospolity więzień. Zostaw go w spokoju. Na więźniów pospolitych nie ma co liczyć.
- Dlaczego? Ja go znam!
- To proletariat bez świadomości klasowej - oświadcza Czerwony Wilk.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Pietromagro!

- Pin!

Strażnik odprowadził go do celi i ledwie zdążył otworzyć drzwi, Pin wydaje okrzyk zdumienia; dobrze zauważył na tarasie: więzień, który z takim wysiłkiem stawiał kroki, to właśnie Pietromagro.

- Znasz go? - pyta strażnik.

- Pewnie, że go znam! To mój majster! - mówi Pin.

- No, widzę, że przenosi się tutaj cała firma - powiada strażnik i zamyka celę.

Pietromagro siedzi dopiero od kilku miesięcy, lecą Pinowi, w chwili gdy go zobaczył, wydała się, że minęły lata. Nie zostało z niego nic prócz skóry i kości; skóry poźółkłej, która zwisa mu u szyi fałdami obrośniętymi szczecina nie golonej brody. Siedzi na wiązce słomy w kącie celi, z wyciągniętymi po bokach, jakby wyschłymi rękoma. Dostrzega Pina i podnosi ramiona. Stosunki pomiędzy Pinem i jego majstrem ograniczały się dotąd do krzyków i kuksańców. Ale teraz, spotykając go tu, i to w takim stanie, Pin jest zarazem uradowany i wzruszony.

Pietromagro nawet mówi do niego inaczej: - Pin, jesteś tu także, Pin! - mówi już bez przekleństw, ochryplym i żalonym głosem. Widać, że i on również jest zadowolony ze spotkania. Chwyta Pina za ręce, lecz nie tak jak niegdyś, żeby je wykręcać; patrzy na niego żrenicami w żółtej oprawie: - Jestem chory - mówi - jestem bardzo chory, Pin. Te bękarty nie chcą mnie wysłać na izbę chorych. Tutaj już w niczym nie można się połapać: teraz są tu tylko więźniowie polityczni, i prędzej czy później skończy się na tym, że i ze mnie zrobią politycznego i postawią pod ściankę.

- Bili mnie - mówi Pin i pokazuje ślady.

- Więc jesteś polityczny - stwierdza Pietromagro.

- Tak, tak - potakuje Pin - polityczny. Pietromagro pogrąża się w myślach.

- Pewnie, pewnie, że polityczny. Zaraz, jak tylko cię tu zobaczyłem, pomyślałem sobie, że zacząłeś objąć się po więzieniach. Bo kto raz wpadnie do więzienia, ten już się nie podniesie: ile razy wypuszczą go na wolność, tyle razy wróci. Pewnie, jak jesteś polityczny, to inna Sprawa. Widzisz, gdybym to był wiedział, również i ja od szczeniaka przystałbym do politycznych. Bo z przestępstwa pospolitego nic się nie ma; kto kradnie mało, ten idzie do więzienia, a kto kradnie dużo - ma wille i pałace. Za przestępstwa polityczne idzie się do więzienia tak jak za pospolite, każdy, kto coś zmajestruje, kończy w więzieniu, ale zawsze masz nadzieję, że pewnego dnia świat stanie się lepszy, już bez więzień. Zapewniał mnie o tym jeden polityczny, który wiele lat temu siedział ze mną w więzieniu, jeden taki z czarną brodą, już umarł. Bo znałem pospolitych, znałem paskarzy, znałem przestępców skarbowych, znałem wszystkie rodzaje ludzi... Ale nikt nie jest tak dzielny jak polityczni.

Pin niezupełnie rozumie sens tych wynurzeń, czuje jednak litość dla Pietromagro i siedzi cichutko, patrząc na drgającą na jego szyi tętnicę.

- Widzisz, teraz ja mam taką chorobę, że nie mogę siusiać. Powiniennem się leczyć, a tymczasem muszę tu leżeć na ziemi. W żyłach nie mam już krwi, tylko żółty moc. I nie mogę już pić wina, a miałbym taką ochotę chlać choćby przez cały tydzień. Tak, Pin, cały kodeks karny - to wielka omyłka. Jest w nim napisane to wszystko, czego w życiu nie można robić: kradzieży, zabójstwa, paserstwa, przywłaszczenia, ale nie jest w nim napisane, co zamiast

tych wszystkich rzeczy powinien zrobić człowiek, kiedy się znajdzie w pewnych okolicznościach. Słuchasz mnie, Pin?

Pin patrzy w żółtą twarz Pietromagro, zarośniętą jak u psa, i czuje jego dyszący oddech.

- Ja umrę, Pin. Musisz mi coś przyrzec. Po tym, co powiem, musisz powtórzyć: przysięgam. Przysięgam, że przez całe moje życie będę walczył, żeby nie było więcej więzień i żeby został zmieniony kodeks karny. Powiedz: przysięgam.

- Przysięgam - mówi Pin.

- Czy będziesz o tym pamiętał, Pin?

- Tak, Pietromagro.

- A teraz pomóż mi łapać wszy - mówi Pietromagro - mam ich mnóstwo. Umiesz tłuc wszy?

- Tak - mówi Pin.

Pietromagro zagląda pod koszulę, a potem jeden jej brzeg podaje Pinowi.

- Szukaj dobrze w szwach - mówi. Wyłapywanie insektów Pietromagro nie jest czymś zabawnym, lecz Pietromagro z żyłami pełnymi żółtego moczu wzbudza litość i być może pozostało mu już niewiele z życia.

- A w warsztacie jak tam idzie? - pyta Pietromagro.

Ani majster, ani jego uczeń nigdy nie lubili zbyt pracować, ale teraz zaczynają rozprawiać o zaległej robocie, o cenie skóry i dratew, o tym, kto będzie reperował obuwie w okolicy teraz, kiedy obaj znaleźli się w więzieniu. Siedzą na słomie w kącie celi, łapiąc wszy, i rozmawiają o żelowaniu, szyciu, reperacjach, po raz pierwszy w życiu nie narzekają na swą pracę.

- Powiedz, Pietromagro - mówi Pin - dlaczego w więzieniu nie zakłada się warsztatu szewskiego, żeby robić buty dla więźniów?

Pietromagro nigdy o tym nie myślał. Niegdyś chętnie szedł i do więzienia, gdyż dawali tam jeść, a nic się nie robiło. Teraz jednak ten projekt podoba mu się: może gdyby mógł pracować, nie czułby się taki chory.

- Można spróbować złożyć prośbę. A ty chciałbyś?

Tak, Pin chciałby, praca w tych warunkach byłaby czymś nowym, czymś odkrytym przez nich, przyjemnym jak zabawa. A także nie byłoby przykro siedzieć w więzieniu razem z Pietromagro, który już by go nie bił, i śpiewać piosenki więźniom i strażnikom.

W tej chwili strażnik otwiera drzwi i Pin widzi Czerwonego Wilka, który wskazuje na niego i mówi:

- Tak, to jest ten typ, o którym mówiłem. Wtedy strażnik wywołuje go na korytarz i zamyka celę zostawiając w niej Pietromagro samego. Pin nie rozumie, czego od niego chcą.

- Chodź - mówi Czerwony Wilk - pomożesz mi wynieść beczkę ze śmieciami.

Istotnie, nieco dalej, w korytarzu, stoi żelazna beczka pełna śmieci. Pin myśli, że to okrucieństwo zmuszać do ciężkiej pracy Czerwonego Wilka, który przeszedł takie ciężki, podobnie jak używać do pomocy jego, który jest przecież dzieckiem. Beczka sięga Czerwonemu Wilkowi aż do piersi i jest tak ciężka, że podnosi się ją z wysiłkiem. W chwili gdy unoszą beczkę, Czerwony Wilk szepce Pinowi na ucho: - Trzymaj się, wszystko na dobrej drodze - a potem głośno: - Szukałem cię po wszystkich celach, potrzebuję twojej pomocy.

Jest to coś wspaniałego, coś, czego Pin nie oczekiwał w najśmielszych marzeniach. Chociaż z drugiej strony,

Pin przywiązuje się szybko do otoczenia i nawet więzienie jest miejscem, które ma swój powab; może nawet wolałby pozostać tu jeszcze jakiś czas i dopiero później uciec z Czerwonym Wilkiem, a nie tak od razu, ledwie tu przyszedł.

- Dam sobie radę - mówi Czerwony Wilk do więźniów, którzy pomagają mu włądować beczkę na plecy. - Wystarczy, jak chłopak będzie podtrzymywał beczkę z tyłu, żeby się nie wywróciła.

I ruszają w ten sposób: Czerwony Wilk zgięty we dwoje pod ciężarem, a za nim Pin mocno trzymając wzniesionymi rękoma dno beczki.

- Znasz drogę na dół? - wołają za nimi więźniowie. - Uważaj, nie spadnij ze schodów!

Zaledwie zeszli do pierwszego półpiętra, Czerwony Wilk mówi Pinowi, żeby pomógł mu postawić beczkę na parapecie okna - czyżby był już zmęczony? Nie, Czerwony „Wilk musi z nim pomówić.

- Uważaj, teraz jak zejdziemy na taras, idź przodem i wdaj się w rozmowę ze strażnikiem. Musisz przykuć jego uwagę w taki sposób, żeby nie odrywał od ciebie oczu. Jesteś mały i trzeba zrobić tak, żeby rozmawiając z tobą trzymał głowę pochyloną; ale nie stój zbyt blisko niego, rozumiesz?

- A ty co będziesz robił?

- Ja mu założę hełm. Zobaczysz. Założę mu hełm Mussoliniego. Zrozumiałeś, i co masz robić?

- Tak - mówi Pin, choć właściwie nic jeszcze nie rozumie - a potem?

- Powiem ci później. Chwileczkę: pokaż ręce!

Czerwony Wilk wyciąga kawałek wilgotnego mydła i smaruje nim dłonie Pina, potem wewnętrzną stronę nóg, a szczególnie kolana.

- Po co to? - pyta Pin.

- Zobaczysz - mówi Czerwony Wilk - plan opracowałem w najdrobniejszych szczegółach.

Czerwony Wilk należy do pokolenia, które wychowało się na ilustrowanych kolorowych wydawnictwach opisujących awanturnicze przygody. Tylko że on brał wszystko poważnie, a życie, jak dotychczas, nie zadało mu kłamu. Pin pomaga Wilkowi włądować beczkę na ramiona, a kiedy już doszli do drzwi tarasu, wysuwa się naprzód, żeby porozmawiać ze strażnikiem.

Strażnik stoi przy balustradzie i smętnie spogląda na drzewa. Pin zbliża się z rękami w kieszeniach, czuje się w swoim żywiole: wrócił mu dawny humor dziecka ulicy.

- Hm... - zaczyna.

- Hm... - odpowiada strażnik.

Jest to jakaś nieznaną gęba: smutny południowiec z policzkami poszatkowanymi brzytwą.

- Cholerny świat, patrzcie no, kogo ja widzę? - woła Pin. - Właśnie niedawno myślałem, gdzie się podział ten stary łajdak, i tu go znajduję!

Smutny południowiec spogląda na niego, usiłując podnieść współprzymknięte powieki.

- Kto? Ktoś ty?

- Cholerny świat, może mi jeszcze powiesz, że nie znasz mojej siostry?

Strażnik zaczyna coś węszyć.

- Ja nikogo nie znam. Jesteś więźniem? Nie mogę rozmawiać z więźniami.

A ten Czerwony Wilk dotychczas nie nadchodzi!

- Nie zwracaj głowy - mówi Pin. - Może mi (powiesz, że odkąd pełnisz tu służbę, nigdy nie chodziłeś do jednej brunetki z kręconymi włosami?

Strażnik przez chwilę się waha.

- Tak, chodziłem. Więc co z tego?

- Do takiej, co mieszka na ulicy, do której skręca się na prawo idąc z placu za kościołem, do którego prowadzą schody?

Strażnik mruga oczyma.

- Jak?

Pin myśli: „Wygląda na to, że chodził właśnie do niej!”

W tej chwili Czerwony Wilk powinien by już nadejść. A może nie ma siły sam unieść beczki?

- Zaraz ci wytłumaczę - mówi Pin. - Wiesz, gdzie jest plac targowy?

- Hm... - mruczy strażnik i spogląda w inną stronę. Nie wychodzi, trzeba wymyślić coś ciekawszego, ale jeśli Czerwony Wilk nie przyjdzie, cały trud pójdzie na marne.

- Zaczekaj - mówi Pin. Strażnik od niechcienia kieruje ku niemu spojrzenie. - Mam w kieszeni fotografię. Zaraz ci ją pokażę. Ale pokażę ci tylko kawałek. Głowę. Tak, bo jakbym ci pokazał wszystko, to nie spałbyś całą noc.

Strażnik pochyla się nad nim i wreszcie udaje mu się całkowicie otworzyć oczy, dwoje oczu jaskiniowego zwierzęcia. Właśnie wtedy z otwartych drzwi wyłania się Czerwony Wilk. Ugina się pod ciężarem beczki ze śmieciami, lecz skrada się na palcach. Pin wyciąga z kieszeni dwie złączone dłonie i kręci nimi w powietrzu, jakby w nich coś ukrywał.

- He, he! Chciałbyś, co?

Czerwony Wilk zbliża się długimi, cichymi krokami. Pin zaczyna powolutku przesuwając jedną dłoń po drugiej. Czerwony Wilk jest już za plecami strażnika. Strażnik wpatruje się w ręce Pina: są namydlone, ale po co? A tej fotografii jakoś wcale nie widać! Nagle lawina śmieci wali mu się na głowę. Nie tylko lawina, ale i coś, co przygniata go z góry i więzi w stosie śmieci. Dusi się, lecz nie może się uwolnić. Został złapany w potrzask wraz ze swym karabinem. Pada i ma wrażenie, że stał się walcem, który toczy się po tarasie.

Tymczasem Czerwony Wilk i Pin przesadzili już balustradę.

- Tutaj! - woła Czerwony Wilk do Pina. - Trzymaj się tego i nie puszczaj - i wskazuje na rurę od rynny.

Pin boi się, lecz Czerwony Wilk niemal popycha go w przepaść, musi więc uchwycić się rury. Ale oto namydlone ręce i nogi ślizgają się doskonale i wszystko to przypomina nieco zjeżdżanie po poręczy od schodów, tylko wywołuje o wiele większy lęk i nie można przy tym patrzeć w dół ani odrywać rąk od rury.

Czerwony Wilk skoczył w próżnię. Czyżby chciał sobie kark skrócić? Nie, chce spadając dosięgnąć gałęzi pobliskiej araukarii i uczeplić się ich. Lecz łamię mu się w rękach i spada wśród trzasku gałązek i deszczu małych, podłużnych listków. Pin czuje, że zbliża się do ziemi, i sam już nie wie, czy więcej obawia się o siebie, czy o Czerwonego Wilka, który może się zabił. Skacze w dół, ryzykując połamanie nóg, i nagle u stóp araukarii dostrzega Czerwonego Wilka, wyciągniętego na ziemi na stosie gałązek.

- Wilku, potłukłeś się? - pyta. Czerwony Wilk podnosi głowę: nie można już odróżnić, które zadraśnięcia na

jego twarzy są pozostałością śledztwa, a które wynikiem upadku. Rozgląda się dokoła. Słysząc strzały.

- W nogi! - woła.

Podnosi się kulejąc nieco, a jednak biegnie.

- W nogi! - powtarza. - Tędy!

Czerwony Wilk zna tu każde miejsce i prowadzi teraz Pina przez zapuszczony park pełen dzikich pnączy i ciernistych traw. Strzelają do nich z wieżyczki, lecz w parku jest tyle żywopłotów i drzew iglastych, że można biec bezpiecznie. A jednak Pin nie jest wcale pewien, czy nie został trafiony. Wie, że z początku zwykle nie odczuwa się bólu, dopóki nagle nie zwali się człowiek na ziemię. Czerwony Wilk przeprowadził go przez jakąś furtkę, przez starą oranżerię i kazał przeskoczyć mur.

Cienie parku rzadną nagle i oto przed ich oczyma ukazuje się widok pełen blasku, o żywych kolorach przypominających świeżo odbitą kalkomanię. Przez chwilę ogarnia ich lęk i natychmiast padają na ziemię: przed nimi rozciąga się nagle wzgórze, a wszędzie dookoła ogromne, spokojne morze.

Weszli na pole goździków, pelzając, żeby nie dostrzegły ich kobiety w ogromnych kapeluszach ze słomy, które znajdują się pośrodku pola o prostokątnym kształcie i podlewają kwiaty. Za wielkim cementowym zbiornikiem na wodę ciągnie się głęboka jama, a nie opodal leży sterta mat, które w zimie służą do przykrywania goździków, chroniąc je przed mrozem.

- Tu - mówi Czerwony Wilk. Ukrywają się za zbiornikiem i niepostrzeżenie ściągają maty. - Musimy tu doczekać nocy.

Pin przypomina sobie nagle ucieczkę po rynnie, strzały strażników i oblewa go zimny pot. Są rzeczy, które wydają się niemal jeszcze straszniejsze, gdy się je przypomina, niż wówczas gdy się je przeżywało. Ale przy Czerwonym Wilku nie można się bać. Jest w tym coś niezmiernie pięknego, gdy siedzi się tak razem z Czerwonym Wilkiem za zbiornikiem na wodę: przypomina to zabawę w chowanego. Tylko, że teraz nie ma różnicy pomiędzy zabawą a życiem i z konieczności trzeba się bawić poważnie, tak jak Pin lubi.

- Czy potłukłeś się, Czerwony Wilku?

- Nie bardzo - mówi Czerwony Wilk dotykając poślinionym palcem świeżych zadraśnięć. - Gałęzie, łamiąc się, zahamowały upadek. Przewidziałem wszystko. A tobie jak poszło z mydłem?

- Cholerny świat, Czerwony Wilku, naprawdę jesteś nadzwyczajny. Jak ty to robisz, że wszystko wiesz?

- Komunista musi wiedzieć wszystko - odpowiada Czerwony Wilk - komunista musi dawać sobie radę ze wszystkimi trudnościami.

„On jest nadzwyczajny - myśli Pin. - Szkoda tylko, że nie może się obejść bez robienia z siebie ważniaka.”

- Jedno tylko mnie martwi - mówi Czerwony Wilk - że nie mam broni. Nie wiem, co dałbym za stena.

Sten, znowu tajemnicze słowo. Sten, Gap, Sini, jak można to wszystko spamiętać? Ale uwaga ta nappełniła Pina radością. Teraz także i on może być ważny.

- Ja tam nie mam takich zmartwień - mówi. - Mam własny pistolet i nikt mi go nie odbierze.

Czerwony Wilk zerka na niego i stara się nie okazywać zbytniego zainteresowania.

- Masz pistolet?

- Mhm - potakuje Pin.

- Jakiego kalibru, jakiej marki?
- Prawdziwy pistolet. Pistolet niemieckiego marynarza. Zabrałem mu go. Dlatego mnie zamknęli.
- Powiedz, jaki on jest.

Pin usiłuje mu wytłumaczyć, a Czerwony Wilk opisuje wszystkie rodzaje pistoletów, jakie tylko istnieją, i dochodzi do wniosku, że pistolet Pina jest P38. Pin jest zachwycony: pe trzydzieści osiem, jaka piękna nazwa, pe trzydzieści osiem!

- Gdzie go trzymasz?
- W jednym miejscu - mówi Pin.

Teraz Pin musi się zdecydować: powiedzieć czy nie powiedzieć Czerwonemu Wilkowi o pajęczych gniazdach. Pewnie, że Czerwony Wilk jest wyjątkowym chłopcem, który potrafi robić niezwykle rzeczy. Ale miejsce pajęczych gniazdz jest wielką tajemnicą i wyjawić je można tylko prawdziwemu przyjacielowi, takiemu na śmierć i życie. A może, pomimo wszystko, Pin nie lubi tak bardzo Czerwonego Wilka: jest zbyt różny od wszystkich, dorosłych i dzieci, zawsze mówi o poważnych sprawach i nie interesuje się jego siostrą. Gdyby zainteresował się pajęczymi gniazdami, wydałby się Pinowi z pewnością o wiele sympatyczniejszy, nawet gdyby go nie obchodziła jego siostra. W gruncie rzeczy Pin nie rozumie, dlaczego wszyscy mężczyźni tak się nią interesują: ma końskie zęby i czarne włosy pod pachami, ale zawsze, gdy Pin rozmawia z dorosłymi, kończy się na tym, że wypytują o nią, i dlatego jest przekonany, że to najważniejsza sprawa na świecie i że on sam jest ważną osobą, bo jest bratem Czarnej z Carrugio Lungo. Mimo to uważa, że pajęcze gniazda są ciekawsze niż jego siostra i niż wszystkie sprawy mężczyzn i kobiet, tylko że nie może znaleźć nikogo, kto by to rozumiał. Gdyby takiego spotkał, wybaczyłby mu nawet brak zainteresowania Czarną.

- Znam miejsce, gdzie pająki robią gniazda - mówi do Czerwonego Wilka.
- Chcę wiedzieć, gdzie masz P38 - odpowiada Czerwony Wilk.

Na to Pin:

- Właśnie tam.
- Wytłumacz mi jaśniej.
- Chcesz wiedzieć, jak wyglądają pajęcze gniazda?
- Chcę, żebyś mi dał ten pistolet. - Dlaczego? On jest mój.
- Ty jesteś dzieciak, który interesuje się pajęczymi gniazdami, po co ci pistolet?
- Jest mój, cholerny świat, jak będę chciał, to go wrzucę do wody!
- Jesteś kapitalistą - mówi Czerwony Wilk - tak rozumują kapitaliści.
- Żebyś zdechł - mówi Pin. - Żeby cię... zadusiła!
- Czyś zgłupiał, żeby tak głośno gadać? Jeśli nas usłyszą, zginieemy.

Pin odsuwa się od Czerwonego Wilka i przez pewien czas siedzą w milczeniu. Nie będzie już jego przyjacielem. Czerwony Wilk pomógł mu uciec z więzienia, ale i tak nie uda im się nawiązać przyjaźni. Jednakże Pin boi się zostać sam, a ta sprawa z pistoletem wiąże go podwójnymi węzłami z Czerwonym Wilkiem i dlatego nie można palić za sobą mostów.

Widzi, że Czerwony Wilk znalazł kawałek węgla i pisze coś na murze zbiornika. Pin również podnosi kawałek

węgla i zaczyna rysować nieprzyzwoite obrazki. Kiedyś zamalował w ten sposób mury wszystkich domów uliczki tak nieprzyzwoitymi rysunkami, że proboszcz od Świętego Józefa protestował w Zarządzie Miejskim i doprowadził do tego, że musiano pokryć mury świeżym tynkiem. Ale Czerwony Wilk pochłonięty jest swoją pracą i nie zwraca na niego uwagi.

- Co piszesz? - pyta Pin.

- Śmierć faszystom - mówi Czerwony Wilk. - Nie powinniśmy tracić czasu. Możemy tu uprawiać propagandę. Ty też weź węgiel i pisz.

- Ja już napisałem - mówi Pin i wskazuje swoje obrazki.

Czerwony Wilk wpada w złość i zaczyna je zamazywać.

- Zwariowałeś? Ładną propagandę robimy!

- Co za propagandę chcesz robić? Czy myślisz, że przyjdzie tu ktoś czytać do tego gniazda jaszczurek?

- Cicho bądź! Zrobię strzałki na zbiorniku, a potem na murze aż do ulicy. Ktoś, kto pójdzie za strzałkami, przyjdzie tu i przeczyta.

Oto jeszcze jedna z tych zabaw, które potrafi urządzać tylko Czerwony Wilk: zabawy niesłychanie skomplikowane, które pasjonują, ale nie śmieszają.

- A co trzeba pisać? Niech żyje Lenin? Przed laty był na murach ulicy jeden napis,

który się ciągle pojawiał: Niech żyje Lenin! Przychodzili faszyci i zamazywali go, lecz następnego dnia zjawiał się znowu. Aż pewnego dnia zaarrestowano stolarza Franse i napisu już więcej nie widziano. Mówiono, że Franse zmarł na jakiejś wyspie.

- Pisz: Niech żyją Włochy! Niech żyją Narody Zjednoczone! - mówi Czerwony Wilk.

Pin nie lubi pisać. W szkole bito go po łapach, a nauczycielka, gdy się na nią spojrzęło spod ławki, miała krzywe nogi. Poza tym N jest literą, która się zawsze myli. Lepiej poszukać jakiegoś łatwiejszego słowa. Pin zastanawia się chwilę, a potem zaczyna: najpierw d, potem u, następnie p...

Dni zaczynają już być długie i zmrok wcale nie nadchodzi. Od czasu do czasu Czerwony Wilk spogląda na swoją dłoń. Ta dłoń jest jego zegarkiem: za każdym razem gdy ma ją patrzy, widzi, że jest coraz ciemniejsza, kiedy zaś zamiast niej zobaczy tylko czarny cień, będzie to znaczyło, że jest już zupełnie ciemno i można wyjść. Pogodził się z Pinem i Pin zaprowadzi go ma ścieżkę pajęczych gniazd, żeby wykopać pistolet. Czerwony Wilk wstaje: jest już dostatecznie ciemno.

- Idziemy? - pyta Pin.

- Zaczekaj tu - mówi Czerwony Wilk. - Pójdę zbadać teren, a potem wrócę i wezmę cię ze sobą. Samemu jest bezpieczniej niż we dwóch.

Pin nie chce zostać sam, lecz z drugiej strony bałby się wyjść nie wiedząc, co jest na zewnątrz.

- Czerwony Wilku, powiedz - mówi Pin - chyba nie zostawisz mnie tu samego?

- Możesz być spokojny - mówi Czerwony Wilk - daję ci słowo, że wrócę. A potem pójdziemy po P38.

Pin jest teraz sam i czeka. W tej chwili, kiedy nie ma już Czerwonego Wilka, wszystkie cienie przybierają dziwaczne kształty i wydaje się, że każdy szmer to odgłos zbliżających się kroków. Oto marynarz, który wrzeszczy coś po niemiecku w górze uliczki, a teraz przyszedł go szukać aż tu; jest nagi, tylko w koszulce, i mówi, że Pin

ukradł mu także spodnie. Potem przychodzi oficer o twarzy dziecka, z psem policyjnym na smyczy, którego bije pasem od pistoletu. A policyjny pies ma twarz tłumacza z wąsami jak u szczura. Zbliżają się 'do kurnika i Pin boi się, że to on ukrył się w tym kurniku. Lecz oni wchodzi i zamiast niego znajdują tam żołnierza, który odprowadza go do więzienia, nie wiadomo dlaczego skurczonego jak zmokła kura.

Ale za to w kryjówce Pina ukazuje się jakaś znana twarz, która się do niego uśmiecha: to Michel Francuz! Lecz Michel nakłada czapkę, a jego uśmiech zamienia się w szyderczy grymas: ta czapka to beret czarnej brygady z trupa czaszką na wierzchu! Oto nadchodzi Czerwony Wilk, nareszcie! Dogania go jednak jakiś człowiek w jasnym nieprzemakalnym płaszczu, chwyta za łokieć i robi przeczący znak wskazując na Pina z niezadowolonym wyrazem twarzy: to Komitet. Dlaczego nie chce, żeby Czerwony Wilk do niego poszedł? Wskazuje mu rysunki na zbiorniku, olbrzymie rysunki, które przedstawiają siostrę Pina w łóżku z Niemcem. Za zbiornikiem jest pełno śmieci. Przedtem Pin tego nie zauważył. Chce teraz wygrzebać sobie kryjówkę wśród śmieci, ale dotyka jakiejś ludzkiej twarzy: to człowiek żywcem. pogrzebany w śmieciach, strażnik z tą swoją smutną twarzą z bliźniami od brzytwy!

Pin otrząsa się nagle. Kiedy zdążył zasnąć? Wokół niego jest głęboka noc. Dlaczego Czerwony Wilk dotychczas nie wrócił? Może natknął się na patrol i został wzięty? A może już wrócił, wołał go, podczas gdy on spał, i poszedł sobie, myśląc, że go już nie ma? Lub może patrole krążą dookoła, szukając ich obu, i nie można się stąd ruszyć ani na krok?

Pin wychodzi zza zbiornika. Głośnie rechotanie żab wznosi się zewsząd ku niebu, w ciemnościach nocy morze jest jak wielka, połyskująca szpada. Gdy znalazł się na otwartej przestrzeni, ogarnęło go poczucie małości, które nie jest strachem. Teraz Pin jest sam, sam na całym świecie. Idzie przez pole pełne goździków i kalandul. Trzyma się stoku wzgórze, żeby obejść tereny wojskowe. Później zejdzie do fosy, a tam są już dobrze mu znane miejsca.

Jest głodny. O tej porze roku i dojrzewają czereśnie. Oto drzewo odległe od wszelkich domostw: czyżby wyrosło tu dzięki jakimś czarom? Pin wspina się na nie i zaczyna skwapliwie zrywać owoce. Spłoszony wielki ptak, który spał na jednej z gałęzi, przelatuje nieomal między jego dłońmi. Pin czuje się w tej chwili przyjacielem wszystkich i przykro mu, że go spłoszył.

Zaspokoiwszy nieco głód, wypełnia czereśniami kieszenie, schodzi z drzewa i rusza dalej, wypluwając po drodze pestki. Potem przychodzi mu na myśl, że faszyci mogą iść śladami pestek czereśni i dopędzić go. Ale przecież nikt nie może być aż tak przebiegły, żeby wpaść na ten pomysł, nikt z wyjątkiem jednej osoby na świecie: Czerwonego Wilka! Tak, jeżeli Pin zostawi za sobą ślady pestek, Czerwony Wilk na pewno zdoła go odnaleźć, gdziekolwiek by nie był! Wystarczy rzucać jedną pestkę co dwadzieścia kroków. Tak, gdy okrąży ten murek, zje jedną czereśnię, później drugą przy tej starej prasie do oliwek, trzecią mijając drzewo nieszpułki i tak dalej, aż do ścieżki pajęczych gniazd. Nie zdołał jednak dojść do fosy, gdy spostrzegł, że czereśnie się skończyły. Zrozumiał wówczas, że Czerwony Wilk nie odnajdzie go już nigdy.

Pin idzie dnem suchego niemal rowu, po wielkich białych kamieniach, wśród szelestu trzciny. W kałużach śpią długie jak ramię człowieka węgorze, które gdy opadnie woda, można łapać rękoma. Tam gdzie jest ujście potoku, na Starym Mieście, zamkniętym w sobie jak szyszka, śpią pijani mężczyźni i kobiety syte miłości. Siostra Pina śpi sama albo z kimś i zapomniała już o Pinie, nie zastanawia się, czy żyje, czy może już umarł. W swej celi, na słomie, czuwa jedynie jego majster Pietromagro bliski śmierci, z krwią, która staje się coraz to bardziej żółta od krążącego w

żyłach moczu.

Pin doszedł do swoich miejsc: oto rów, oto ścieżka na przełaj, przy której są gniazda. Poznaje kamienie, patrzy, czy ziemia nie została poruszona. Nie, wszystko jest nietknięte. Grzebie paznokciami w przyjemnym podnieceniu: dotknięcie kabury wywołuje słodkie wzruszenie, jak za dzieciennych lat zabawka pod poduszką. Wyciąga pistolet i przesuwając palcem wzdłuż otworu lufy, żeby oczyścić ją z ziemi. Z lufy szybko wybiega pajęczek: włożył do środka, żeby tam sobie zrobić gniazdo!

Piękny jest pistolet Pina: jest jedyną rzeczą na świecie, która mu została. Pin ujmując go w dłoń i wyobraża sobie, że jest Czerwonym Wilkiem, zastanawia się, co zrobiłby Czerwony Wilk, gdyby miał w ręku broń. Ale te rozmyślenia przypominają mu, że jest sam, że nie może spodziewać się pomocy od nikogo, ani od ludzi z gospody, tak niezrozumiałych i pełnych dwuznaczności, ani od swojej siostry-zdrajczyni, ani od siedzącego w więzieniu Pietromagro. Z tym pistoletem także nie wie, co robić, nie wie nawet, jak się go nabija. Jeśli znajdzie go z bronią w ręku, na pewno zostanie zabity. Wkłada pistolet z powrotem do kabury i ponownie przykrywa kamieniami, ziemią i tratwą. Teraz nie pozostaje nic innego, jak tylko ruszyć w drogę przed siebie, gdzie oczy poniosą. Zupełnie nie wie, co robić.

Postanawia iść wzdłuż ściekowego rowu. Gdy kroczy się po ciemku jego brzegiem, łatwo jest stracić równowagę i wleźć nogą w wodę lub potknąć się i upaść. Pin skupia całą uwagę, żeby nie stracić równowagi. Wydaje mu się, że w ten sposób powstrzyma łzy, które cisną mu się do oczu. Lecz płacz już go ogarnia, przysłania mgłą źrenice i zwilża rzęsy. Najpierw popłakuje cichutko, potem wybucha rzewnym płaczem, szlochając na całe gardło. Gdy kroczy tak, tonąc we łzach, nagle naprzeciw niego wyłania się z ciemności wielki cień mężczyzny. Pin zatrzymuje się, mężczyzna zatrzymuje się również.

- Kto idzie? - pyta mężczyzna.

Pin nie wie, co odpowiedzieć, łzy dławią mu gardło, i pogrąża się w rozpaczliwym, żalnym łkaniu.

Człowiek zbliża się: jest wysoki i silnie zbudowany, ubrany po cywilnemu, ze zrolowanym płaszczem przewieszonym przez ramię i uzbrojony w automat.

- Powiedz no, dlaczego płaczesz? - pyta. Pin spogląda na niego: jest to człeczysko z twarzą spłaszczoną, jak u maskaronów przy fontannach, ma obwisłe wąsy i niewiele zębów w ustach.

- Co tu robisz o tej porze? -- mówi człowiek. - Zabłądziłeś?

Najdziwniejszą rzeczą u niego jest czapka, wełniana czapeczka nie wiadomo jakiego koloru, z czerwonymi haftami i pomponem na wierzchu.

- Zabłądziłeś, a ja nie mogę cię odprowadzić do domu, z domami mam niewiele wspólnego, nie mogę odprowadzać zabłąkanych dzieci!

Mówi to wszystko, jakby się chciał usprawiedliwić, bardziej do siebie niż do Pina.

- Ja nie zabłądziłem - mówi Pin.

- A więc? Po co się tu włóczysz? - mówi człowiek w wełnianej czapeczce.

- Powiedz mi najpierw, co ty tu robisz?

- Brawo - mówi człowiek. - Jesteś cwaniak. No, widzisz, jesteś cwaniak i płaczesz? Ja idę zabijać ludzi nocą. Boisz się?

- Nie, czy jesteś mordercą?

- Patrzcie no, nawet dzieci nie boją się już morderców! Nie jestem mordercą, ale mimo to zabijam.

- Idziesz teraz zabić człowieka?

- Nie. Wracam.

Pin nie boi się, bo wie, że są tacy, którzy zabijają ludzi, a mimo to są dobrzy. Czerwony Wilk ciągle mówi o zabijaniu, a jednak jest dobry; malarz, który mieszkał od frontu w jego domu, zabił swoją żonę, a (przecież był dobry; Michel Francuz również będzie teraz zabijał ludzi i zawsze zostanie Michelelem Francuzem. Poza tym, człowiek w wełnianej czapeczce mówi o zabijaniu ze smutkiem, jakby to robił za karę.

- Czy znasz Czerwonego Wilka? - pyta Pin.

- Pewnie, że go znam; Czerwony Wilk jest od Blondyna. Ja jestem od Prostego. A ty skąd go znasz?

- Byłem razem z nim i zgubiłem go. Zwialiśmy z więzienia. Nałożyliśmy strażnikowi fajny hełm. Przedtem bili mnie pasem od pistoletu. Za to, że ukradłem pistolet marynarzowi mojej siostry. Moją siostrą jest Czarna z Carrugio Lungo.

Człowiek w wełnianej czapeczce gładzi palcami wąsy.

- Tak, tak, tak, tak... - mówi starając się z wysiłkiem zrozumieć od razu całą historię. - A teraz dokąd chcesz iść?

- Nie wiem - mówi Pin. - A ty dokąd idziesz?

- Ja idę do oddziału.

- Weźmiesz mnie z sobą? - pyta Pin. - Chodź. Jadłeś?

- Czerwień - mówi Pin.

- Dobra. Masz chleb - wyciąga z kieszeni chleb i daje go Pinowi.

Idą teraz przez gaj oliwek. Pin gryzie chleb. Łzy ciekną mu jeszcze po policzkach i połyka je razem z chlebem. Mężczyzna wziął go za rękę; ręka jego jest ogromna, ciepła, miękka, jakby zrobiona z chleba.

- Więc teraz opowiedz mi, jak to wszystko było... Powiedziałeś, że na początku była kobieta...

- Moja siostra, Czarna z Carrugio Lungo - mówi Pin.

- Oczywiście. Na początku wszystkich historii, które się źle kończą, jest zawsze kobieta, zgadza się. Jesteś młody, zapamiętaj, co ci powiem: wojna jest wyłącznie z winy kobiet...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pin budząc się dostrzega pomiędzy gałęzmi drzew skrawki nieba tak jasne, że patrząc na nie doznaje nieomal bólu. Jest dzień, piękny, pogodny dzień pełen śpiewu ptaków.

Mężczyzna wstał i właśnie roluje płaszcz, którym w nocy przykrył mu plecy.

- Idziemy, szybko, bo już jest dzień - mówi.

Szli prawie całą noc. Szli przez gaje oliwek, później przez łąki, wreszcie *przez* ciemne lasy sosnowe. Po drodze widzieli sowy, lecz Pin nie bał się wcale, gdyż człowiek w wełnianej czapeczce trzymał go cały czas za rękę.

- Upadasz ze snu, mój chłopcze - mówił mu mężczyzna ciągnąc go za sobą - czy nie chciałbyś przypadkiem, żebym cię wziął na ręce?

Istotnie, Pin czynił nadludzkie wysiłki, żeby nie zamknąć oczu, i chętnie pogrążyłby się w morzu paproci leśnego podszycia. Był już prawie rano, kiedy dotarli do węglami i mężczyzna powiedział:

- Tu możemy odpocząć.

Pin wyciągnął się na ziemi czarnej od sadzy i jak przez sen widział, że mężczyzna przykrywa go swym płaszczem, a potem przynosi gałęzie, łamie je na drobne kawałki i roznieca ogień.

Teraz jest dzień i mężczyzna robi siusiu na wygasły popiół. Pin wstaje i robi to samo obok niego. Jednocześnie [przygląda się twarzy mężczyzny: nie widział jej jeszcze dobrze w dziennym świetle. Powoli rzedną cienie lasu i Pin oczyma zamglonymi od snu stopniowo odkrywa w nim nowe właściwości: jest młodszy, niż mu się zdawało, a także wymiary jego są bardziej normalne, ma rudawe wąsy i niebieskie oczy i przypomina maskarona dzięki tym wielkim, szczerbatym ustom i spłaszczonemu nosowi.

- Stąd imamy już niedaleko - mówi do Pina co pewien czas, kiedy tak idą lasem. Nie potrafi prowadzić długich rozmów, a Pin cieszy się, że może iść razem z nim w milczeniu. W głębi duszy czuje pewną uległość wobec tego człowieka, który krąży samotnie nocą, żeby zabijać ludzi, a dla niego jest taki dobry i opiekuńczy. Dobrzy ludzie zawsze wprawiali Pina w zakłopotanie: nigdy nie wiadomo, jak z nimi postępować, i mimo woli chciałoby się im dokuczyć, żeby zobaczyć, jak na to zareagują. Ale z człowiekiem w wełnianej czapeczce jest jakoś inaczej, dlatego że jest to ktoś, kto zabił nie wiadomo ilu ludzi, a mimo to może sobie pozwolić, żeby być dobrym.

Nie potrafi mówić o niczym innym, jak tylko o wojnie, która się nigdy nie skończy, i o sobie, że po siedmiu latach służby w strzelcach alpejskich wciąż jeszcze musi chodzić z bronią; kończy zaś stwierdzając, że w tych czasach dobrze mają się tylko kobiety oraz że obszedł wszystkie kraje i przekonał się, że są one najgorszą rasą, jaka w ogóle istnieje. Tego rodzaju rozmowy nie interesują Pina, są to zwykłe rzeczy, jakie wszyscy teraz głoszą. Jednakże nigdy nie słyszał, żeby w ten sposób mówiono o kobietach, i gdy się nad tym zastanawia, dochodzi do wniosku, że mężczyzna ma rację. Nie jest taki jak Czerwony Wilk, który kobietami w ogóle się nie interesuje. Wygląda na to, że kobiety zna dobrze i że zrozumiał to, co Pin rozumiał zawsze: że są ohydne i nie wiadomo co za przyjemność znajdują ci, co się z nimi zadają.

Wyszli już z lasu sosnowego i idą teraz wśród kasztanów.

- Niedługo dojdziemy naprawdę - mówi mężczyzna.

Istotnie, wkrótce potem spotykają muła w uprzęży, lecz bez juków, który chodzi sobie swobodnie, obgryzając liście.

- Jak można tak puszczać muła na kurwy, niespełanego - mówi człowiek. - Chodź tu, Korsarz, chodź, mój śliczny.

Bierze go za uzdę i prowadzi za sobą. Korsarz jest starym mułem z poobcieraną sierścią, jest łagodny i uległy.

Tymczasem przybyli na polanę, na której stoi samotna chałupa z rodzaju tych, w których piecze się kasztany. Dookoła nie widać żywej duszy. Mężczyzna zatrzymuje się i Pin zatrzymuje się również.

- Co się stało? - mówi mężczyzna - czyżby poszli sobie wszyscy?

Pin rozumie, że być może są powody do obawy, lecz nie wie dobrze, o co chodzi, i strach jakoś go nie ogarnia.

- Hej! Kto tam? - woła mężczyzna, lecz niezbyt głośno, i zdejmuje automat z pleców.

Wówczas z chaty wychodzi jakiś mały człowieczek z workiem w ręku. Spozstrzega przybyłych, rzuca worek na ziemię i zaczyna klaskać w dłonie.

- Hola, cześć, Kuzynie! Ale mamy dzisiaj wesoły dzień! - woła ochrypłym głosem.

- Mańkut! - mówi towarzysz Pina - gdzież, u diabła, są wszyscy pozostali?

Człowieczek idzie ku nim zacierając dłonie.

- Trzy samochody, trzy pełne samochody jechały w góry drogą. Zauważyliśmy je dziś rano i cały batalion wyszedł im na spotkanie. Za chwilę zacnie się zabawa.

Człeczyna jest w marynarskiej kurtce i w kapturze z króliczej skórki ma łysej czaszce. Pin myśli, że to karzełek, który mieszka w tej chatce wśród lasu.

Wysoki mężczyzna gładzi wąsy.

- Dobrze - mówi - trzeba, żebyśmy i ja się ruszył i dołożył coś od siebie.

- Jeżeli zdążysz - mówi człowieczek. - Ja zostałem, żeby przygotować jedzenie. Jestem pewien, że w południe będzie już po wszystkim i wkrótce wrócą.

- Mógłbyś też uważać na muła, jeżeli już tu jesteś - mówi tamten - gdybym go nie spotkał, byłby już nad brzegiem morza.

Człowieczek pęta muła, a później spogląda na Pina.

- A ten to kto? Dorobiłeś się syna, Kuzynie?

- Raczej dałbym się pokrajać w kawałki, niżbym miał dorobić się syna - mówi wysoki. - To jest chłopak, który chodzi ma akcje z Czerwonym Wilkiem i zabłąkał się.

Niezupełnie to odpowiada prawdzie, ale Pin jest zadowolony, że przedstawiono go w ten sposób, i być może wysoki mężczyzna powiedział tak naumyślnie, żeby przedstawić go w lepszym świetle.

- Widzisz, Pin - mówi wysoki - to jest Mańkut, kucharz oddziału. Musisz go szanować dlatego, że jest stary, i dlatego, że gdybyś go nie szanował, nie dałby ci dolewki.

- Słuchaj no, rekrucie rewolucji - mówi Mańkut - potrafisz obierać kartofle?

Pin chciałby mu odpowiedzieć jakimś ordynarnym żartem, tak sobie, żeby zawrzeć przyjaźń, ale jakoś nic nie może wymyślić i odpowiada:

- Umiem.

- Dobrze, właśnie był mi potrzebny ktoś do pomocy w kuchni - mówi Mańkut. - Poczekaj, zaraz pójde po noże.

- I znika w drzwiach chaty.

- To jest twój kuzyn? - pyta Pin wysokiego mężczyznę.

- Nie, Kuzyn to ja, wszyscy mnie tu tak nazywają.

- Ja też?

- Co ty też?

- Czy ja też mogę cię nazywać Kuzynem?

- Ma się rozumieć, to takie samo imię jak każde inne.

Pin jest zadowolony. Natychmiast próbuje:

- Kuzynie! - mówi.

- Czego chcesz?

- Kuzynie, po co tu jechały samochody?

- Żeby nam wygarbować skórę. Ale my wyszliśmy im na spotkanie i sami wygarbujemy im skórę. Tak to w życiu bywa.

- Ty też idziesz, Kuzynie?

- Pewnie, trzeba, żebym poszedł.

- A nie jesteś zmęczony drogą?

- Już od siedmiu lat tak chodzę i śpię nie zdejmując butów. A kiedy mi przyjdzie umierać, to także umrę w butach.

- Siedem lat nie zdejmujesz butów, cholerny świat, Kuzynie, i nie śmierdzą ci nogi?

Tymczasem wrócił Mańkut. Ale niesie nie tylko noże do obierania kartofli. Na ramieniu siedzi mu wielki ptak, który bije przyciętymi skrzydłami i umocowany jest na łańcuszku za łapę, jakby to była papuga.

- Co to jest? Co to jest? - wola Pin i już

podsuwa mu palec tuż pod dziób. Ptak toczy dokoła żółtymi oczyma i nagle dziobie go w palec.

- Ha, ha - śmieje się szyderczo Mańkut - ani się obejrzysz, jak oddziobie ci palec, kolego! Uważaj, bo Babeuf to mściwy sokół!

- Skąd go wzięłeś, Mańkucie? - pyta Pin, który wciąż się uczy, że nie można ufać ani dorosłym, ani ich zwierzętom.

- Babeuf to stary weteran partyzantki. Wybrałem go małego z gniazda, a teraz jest maskotą naszego oddziału.

- Byłoby lepiej, gdybyś go puścił na wolność i pozwolił mu być ptakiem drapieżnym - mówi Kuzyn. - To taka maskota, co przynosi więcej padliny niż ksiądz.

Lecz Mańkut przykładą dłoń do ucha i daje znak, żeby byli cicho.

- Ta-tata... słyszeliście?

Zaczynają nasłuchiwać. Z głębi doliny słychać strzały. Całe serie ta-pum i kilka wybuchów ręcznych granatów.

Mańkut uderza pięścią w dłoń i z tym swoim nieprzyjemnym chichotem mówi:

- Mamy ich, mamy ich, ja wam mówię, że wykończymy ich wszystkich. Rozwalimy im tu czaszki jednemu po drugim.

- Dobra. Ale jeżeli zostaniemy tutaj, to niewiele zdziałamy. Idę zobaczyć - mówi Kuzyn.

- Zaczekaj - mówi Mańkut. - Nie zjadłbyś trochę kasztanów? Dziś rano zebrane. Giglia!

Kuzyn nagłym ruchem podnosi głowę.

- Kogo wołasz? - pyta.

- Moją żonę - mówi Mańkut. - Jest tutaj od wczorajszego wieczora. W mieście czarna brygada urządzała na nią obławę.

Istotnie na progu chaty zjawiała się kobieta z utlenionymi włosami, młoda jeszcze, choć już trochę przekwitła. „Kto by przypuszczał, że Mańkut może mieć żonę tak młodą i o tak delikatnym wyglądzie” - myśli Pin.

Kuzyn zmarszczył brwi i gładzi sobie wąsy.

- Cześć, Kuzynie! - mówi kobieta. - Przyszłam tu do was w góry! - i zbliża się z rękami w kieszeniach; ma na sobie długie spodnie i męską koszulę.

Kuzyn zerka na Pina. Pin zrozumiał: nawet tu, w górach, nie można się uwolnić od tych przeklętych bab; jak się zacznie sprowadzać kobiety, to się może źle skończyć. I dumny jest, że pomiędzy nim i Kuzynem istnieją sekrety, co do których mogą się porozumiewać oczyma, sekrety dotyczące kobiet.

- Przyniosłaś piękną pogodę - mówi oschle Kuzyn unikając jej spojrzenia i wskazując na dolinę, i skąd nadal dochodzą odgłosy strzałów.

- A jakaż pogoda może być lepsza od dzisiejszej? - pyta Mańkut. - Słyszysz, jak gra cekaem, słyszysz, jak hałasuje miotacz ognia? Giglia, daj mu miskę kasztanów, bo chce schodzić.

Giglia patrzy na Kuzyna z dziwnym uśmiechem. Pin zauważył, że oczy ma zielone i że porusza szyją jak kot grzbietem.

- Nie mam czasu - mówi Kuzyn. - Muszę już iść. Przygotujcie jedzenie. Trzymaj się, Pin.

I oddala się z tym swoim zrolowanym, przewieszonym przez ramię płaszczem i jak zwykle z automatem w garści.

Pin chciałby dogonić Kuzyna, iść z nim i teraz razem, ale jest strasznie połamany po tylu przeżyciach, strzały zaś dochodzące z głębi doliny wzbudzają w nim niejasne uczucie strachu. Zresztą przyjemnie będzie tu zostać z tym dwojgiem ludzi. Pin chciałby, żeby to był karzełek i jego żona, którzy żyją samotnie w domku wśród lasu, i żeby on był ich przybranym synem, i żeby mógł rozmawiać z wrózkami. Lecz człowieczek w marynarskiej kurtce ma wygląd złośliwy i złowrózny, podobnie jak smutny i zły sokół, którego nosi na ramieniu; a na ustach żony człowieczka pojawiają się ukradkowe uśmiechy, których mąż nawet nie spostrzega, i Pin chciałby mu powiedzieć: „Cholerny świat, uważaj, Mańkut, na twoim miejscu nie ufałbym zbyt kobiecie.”

- Kim jesteś, dziecko? - mówi Giglia przesuwając dłonią po jego zjeżonej czuprynie, pomimo że Pin się wzdryga, gdyż nigdy nie znosił kobiecych pieszczot. Poza tym nie lubi, jak nazywają go dzieckiem.

- Jestem twoim synem: czyżbyś nie spostrzegła, że tej nocy kogoś urodziłaś?

- Świetna odpowiedź! Świetna odpowiedź! - kracze Mańkut ostrząc noże jeden o drugi i drażniąc sokoła, który wpada w szal. - Partyzanta nie powinno się nigdy pytać, kim jest. Jestem synem proletariatu, odpowiedz jej, moją ojczyzną jest Międzynarodówka, moją siostrą jest rewolucja.

Pin patrzy na niego z ukosa, mrugając porozumiewawczo okiem.

- Co? Ty też znasz moją siostrę?

- Nie słuchaj go - mówi Giglia. - Tą swoją wieczną rewolucją zanudza cały oddział, a nawet komisarze nie

przyznają mu racji: trockista, oto, co o nim mówią, trockista!

Trockista - znowu nieznane słowo!

- Co to znaczy? - pyta.

- Sama nie bardzo wiem, co to znaczy - mówi Giglia. - Na pewno jakieś słowo, które do niego pasuje: trockista!

- Głupia! - krzyczy Mańkut. - Ja nie jestem trockistą! Jeżeli tu przyszedłeś, żeby mnie denerwować, to wracaj zaraz do miasta, do czarnej brygady, niech cię złapią!

- Wstrętny egoista! - mówi Giglia. - Z twojej winy...

- Cicho! - woła Mańkut. - Pozwól mi posłuchać: dlaczego cekaem przestał grać?

Rzeczywiście, cekaem, który do tej pory siekł gęsto, nagle zamilkł.

Mańkut z niepokojem spogląda na żonę.

- Co się stało? Zabrakło amunicji?

- Albo zabili celowniczego... - mówi z obawą Giglia.

Przez chwilę oboje nasłuchują, potem spoglądają na siebie, a na ich twarze powraca gniew.

- A więc? - pyta Mańkut.

- Mówiłam - krzyczy znowu Giglia - że przez ciebie całe miesiące żyłam z sercem w gardle ze strachu, i jeszcze masz mi za złe, że się tu schroniłam?

- Suka! - wrzeszczy Mańkut. - Suka! Jeśli ja poszedłem w góry, to dlatego... Uwaga! Znowu zaczyna!

Cekaem podejmuje ogień, słychać krótkie, przerywane serie.

- Nieźle - mówi Giglia.

- ... to dlatego - krzyczy Mańkut - że nie mogłem z tobą wytrzymać w domu, z tym wszystkimi, co wyprawiałaś!

- Ach tak? Ale jak skończy się ta wojna i znów wyruszą okręty, a ja będę cię widywała nie więcej niż dwa lub trzy razy do roku?... Słuchaj, co to za strzały?

Mańkut zatroskany nasłuchuje.

- Chyba moździerz...

- Nasz czy ich?

- Daj mi posłuchać: to wystrzał z tamtej strony... To oni!

- Z tej: bardziej z doliny, to nasi...

- Ty zawsze, żeby mi tylko zaprzeczyć. Przeklęty dzień, w którym cię poznałem! Tak, to rzeczywiście nasi... nieźle, Giglia, nieźle...

- Powiedziała ci, że jesteś trockistą, widzisz, że jesteś trockistą!

Pin bawi się znakomicie, nareszcie czuje się jak u siebie. Na jego ulicy bywały kłótnie pomiędzy małżeństwami, które trwały nieraz całe dni, i Pin spędzał długie godziny podsłuchując pod oknami, zupełnie jak przy radio, nie przepuszczając ani jednego słowa. Niekiedy wtrącał się w te spory jakimś żartem, który wykrzykiwał, ile miał tchu w płucach, tak że kłócący się przerywali czasami swój spór i wychylali się oboje z tego samego okna, obrzucając Pina wyzwiskami.

Tutaj wszystko odbywa się o wiele piękniej: wśród lasu, przy akompaniamencie strzałów i z wżyciem nowych,

soczystych słów.

Teraz jest zupełnie cicho. Wydaje się, że bitwa w głębi doliny wygasła. Małżonkowie patrzą na siebie wrogo, nie mogąc już wydobyć głosu z gardła.

- Cholerny świat, nie macie chyba zamiaru kończyć tak prędko? - mówi Pin. - Czy straciliście wątek?

Oboje spoglądają ma Pina, potem jedno patrzy na drugie, żeby widzieć, czy któreś z nich się nie odezwie, i żeby mu wówczas natychmiast zaprzeczyć.

- Śpiewają! - wykrzykuje Pin. Rzeczywiście z głębi, doliny dochodzi echo niewyraźnej pieśni.

- Śpiewają po niemiecku... - mruczy kucharz.

- Głupiś! - krzyczy kobieta. - Nie słyszysz, że to *Bandiera rossa* ?

- *Bandiera rossa*? - Mały człowieczek skacze z uciechy do góry, klaszcząc w dłonie, a sokół odważa się na lot na swych podciętych skrzy-

dłach ponad jego głową. - Tak, to *Bandiera rossa*!

Zbiega w dół poprzez urwiska, śpiewając *Bandiera rossa la trionfera*... i dopada aż na skraj drogi, gdzie znów nadstawia ucha.

- *Tak. To Bandiera rossa!*

Wraca skacząc z okrzykiem radości, z sokołem, który przywiązany na łańcuszku, szybuje niczym północny wicher. Całuje żonę, daje szturchańca Pinowi i wszyscy troje, trzymając się za ręce, śpiewają: *Bandiera rossa la trionfera*.

- Widzisz - mówi Mańkut do Pina - nie wierzyłeś chyba, że kłóciliśmy się naprawdę, to były tylko żarty.

- Oczywiście - mówi Giglia. - Mój mąż jest trochę głupi, ale jest najlepszym mężem na świecie.

To mówiąc odchyła kaptur z króliczej skórki i całuje go w łysinę. Pin nie wie, jak jest naprawdę: dorośli są zawsze niezrozumiali i ciągle kłamią; w każdym razie i tak bawił się doskonale.

- Prędeż, obierać kartofle? - woła Mańkut. - Za dwie godziny wrócą i nie będzie jeszcze nic gotowe!

Wysypują kartofle z worka, siadają obok, obierają je, a potem wrzucają do kotła. Kartofle są zimne i marzną od nich palce; mimo to przyjemnie jest obierać kartofle razem z tym dziwnym typem, przypominającym gnoma, o którym nie wiadomo, czy jest dobry, czy zły, i z jego bardziej jeszcze niezrozumiałą żoną. Giglia zamiast obierać kartofle zaczyna się cesać. Denerwuje to Pina, który nie lubi pracować, gdy w pobliżu ktoś próżnuje, ale Mańkut dalej spokojnie skrobie kartofle - być może przyzwyczał się do tego, bo w stosunkach pomiędzy nimi jest tak zawsze.

- Co będzie dzisiaj do jedzenia? - pyta Fin.

- Koźlina z kartoflami - odpowiada Mańkut. - Lubisz koźlinę z kartoflami?

Pin wie tylko, że jest głodny, więc mówi, że tak.

- Ty, Mańkut, potrafisz dobrze gotować? - pyta.

- Też pytanie! - mówi Mańkut. - Przecież to mój zawód. Dwadzieścia lat spędziłem na statkach jako kucharz.

Na statkach wszelkiego rodzaju i wszelkich narodowości.

- Na statkach pirackich także? - pyta Pin.

- Na statkach pirackich także.

- Na statkach chińskich także?

- Na statkach chińskich także.

- Znasz chiński?

- Znam wszystkie języki. I potrafię gotować na wszelkie sposoby używane we wszystkich częściach świata: znam kuchnię chińską, kuchnię meksykańską, kuchnię turecką...

- Jak zrobisz dzisiaj koźlinę z kartoflami?

- Po eskimosku. Lubisz po eskimosku?

- Cholerny świat, Mańkut, po eskimosku! Gdy przybywają pierwsi ludzie, woda już się gotuje.

Pin zawsze pragnął zobaczyć partyzantów.

Stoi teraz z otwartymi ustami na środku polany, przed chatą, i nie może skupić całej uwagi na jednym, bo zaraz nadchodzi dalszych dwóch czy trzech, każdy inny, a wszyscy objuczeni bronią i pasmami naboju.

Można ich równie dobrze wziąć za żołnierzy, za kompanię żołnierzy, która zablądziła podczas jakiejś wojny sprzed wielu lat i błąka się wciąż jeszcze po lasach, nie znajdując drogi powrotu, w postrzępionych mundurach, podartych butach, z włosami i brodami w nieładzie, z bronią, która służy już tylko do zabijania dzikich zwierząt.

Są zmęczeni i pokryci warstwą potu zmieszanego z kurzem. Pin spodziewał się, że będą wracać śpiewając, tymczasem są cisi i poważni i w milczeniu rzucają się na słomę.

Mańkut stara się święcić zwycięstwo, jak tylko umie, i wali pięścią w dłoń zanosząc się od śmiechu.

- Ale daliśmy im łupnia tym razem! Jakżeśmy to zrobili? Opowiedzcie mi!

Ludzie potrząsają głowami, zagrzebują się w słomie i nic nie mówią. Dlaczego są niezadowoleni? Zupełnie jakby wrócili po klęsce.

- A więc nie udało się? Mielіśmy zabitych? - Mańkut krąży od jednego do drugiego i nie daje za wygraną.

Przyszedł również Prosty, dowódca. Jest to człowiek młody, szczupły, o dziwnie' ruchliwych nozdrzach i spojrzeniu spoza czarnych rzęs. Krąży dokoła, pokrzykuje na ludzi i ma pretensje, że jedzenie nie jest gotowe.

- Mówcie wreszcie, co się stało? - nalega kucharz. - Nie odnieśliśmy zwycięstwa? Jeżeli mi nie wytłumaczycie, nie będę szykował jedzenia.

- Ależ tak, ależ tak, zwyciężyliśmy - mówi Prosty. - Rozbiliśmy dwa samochody, około dwudziestu Niemców zabitych, bogata zdobycz.

Mówi niechętnie, jakby to wszystko stało się wbrew jego woli.

- Więc co, czy mieliśmy dużo zabitych? My również?

- Było dwóch rannych z innych oddziałów. My, ma się rozumieć, wszyscy wyszliśmy cało.

Mańkut spogląda na niego: zaczyna jakby coś pojmować.

- Czyż nie wiesz - krzyczy Prosty - że kazano nam zająć pozycje po drugiej stronie doliny, tak że nie mogliśmy oddać ani jednego strzału? Trzeba, żeby wreszcie w brygadzie zdecydowali: albo nie mają zaufania do naszego oddziału i wówczas go rozwiązują, albo uważają nas za partyzantów takich samych jak inni i wysyłają nas na akcje. Jeżeli nie, to następnym razem nie zgodzimy się, żeby być tylko ubezpieczeniem. A ja podam się do dymisji. Jestem chory.

Spluwa i kieruje się w stronę chaty. Przyszedł również Kuzyn i woła Pina:

- Pin, chcesz zobaczyć przemarsz batalionu? Chodź na dół, na skraj urwiska, skąd widać drogę.

Pin biegnie i wychyla się spoza krzaków. Pod nim ciągnie się droga, którą idą pod górę ludzie.

Lecz są to ludzie inni niż wszyscy ci, których dotychczas widywał: ludzie kolorowi, lśniący, brodaci, uzbrojeni aż po zęby. Mają najdziwniejsze mundury, kapelusze o szerokich rondach, hełmy, skórzane kurtki, nagie torsy, czerwone szarfy, mundury faszystowskie i broń jakąś całkiem inną, zupełnie nieznaną. Idą również jeńcy, przygnębieni i pobladli. Finowi wydaje się, że wszystko to jest nieprawdziwe, że jest to jakaś słoneczna zjawia wśród kurzu drogi.

Nagle jednak przechodzi go dreszcz: ta twarz jest mu znajoma, ależ tak, bez wątplenia, to Czerwony Wilk. Woła go i w jednej chwili są już obok siebie. Czerwony Wilk dźwiga na ramieniu niemiecką broń i kuleje, bo ma spuchniętą kostkę. Jak zawsze ma swoją rosyjską czapkę, lecz tym razem znowu z gwiazdą, czerwoną gwiazdą, która ma w środku białe i zielone koncentryczne kółka.

- Brawo - mówi do Pina - przyszedłeś tu sam, jesteś zuch!

- Cholerny świat, Czerwony Wilku - woła Pin - w jaki sposób się tu znalazłeś? Tak na ciebie czekałem!

- Widzisz, kiedy wyszedłem stamtąd, chciałem zajrzeć do miejsca postoju niemieckich samochodów, które jest tam w dole. Wlazłem do sąsiedniego ogrodu i z muru zobaczyłem żołnierzy w pełnym rynsztunku, którzy stawali na zbiórkę. Powiedziałem sobie: tu się przygotowuje uderzenie na naszych. Jeżeli zaczynają się teraz przygotowywać, to znaczy, że będą chcieli przybyć w góry o świcie. Wtedy postanowiłem zrobić całą wyprawę, żeby uprzedzić naszych, i udało mi się w porę. Ale sforsowałem sobie kostkę, która mi spuchła wtedy, kiedy upadłem, i teraz kuleję.

- Jesteś nadzwyczajny, Czerwony Wilku, psia kość - mówi Pin - ale świnia to z ciebie też jest, że zostawiłeś mnie samego, chociaż dałeś mi słowo honoru.

Czerwony Wilk poprawia sobie na głowie rosyjską czapkę.

- Najważniejszy honor - mówi - to honor sprawy.

Tymczasem przybyli do obozu Prostego. Czerwony Wilk ogląda wszystkich od stóp do głów i na pozdrowienia odpowiada oziębło.

- Ale trafiło ci się dobre miejsce - mówi.

- Dlaczego? - pyta Pin z pewnym niepokojem: przywiązał się już do tych ludzi i nie chce, żeby Czerwony Wilk go stąd zabierał.

Czerwony Wilk przybliży się i szeptem mu na ucho:

- Nie mów tego nikomu, ja wiem o tym... Do oddziału Prostego odsyła się najgorsze łajzy z brygady. Ciebie przydzielili prawdopodobnie dlatego, że jesteś dzieckiem. Ale jeżeli chcesz, mogę się postarać, żeby cię przenieśli.

Pinowi jest przykro, że trzymają go tu, bo jest dzieckiem. Ale przecież ci, których zna, to nie łajzy.

- Powiedz mi, Czerwony Wilku, czy Kuzyn jest łajzą?

- Kuzyn to taki człowiek, któremu trzeba pozwolić działać na własną rękę. Chodzi zawsze sam, jest śmiały i odważny. Dowódcą jest tutaj Prosty, ale on to odchodzi, to znów wraca i nikt się z nim poważnie nie liczy.

- A Mańkut? Powiedz mi, czy to prawda, że on jest trockistą?

„Może mi teraz wyjaśni, co to znaczy” - myśli Pin.

- On jest ekstremistą, powiedział mi to komisarz brygady. Chyba się z nim nie zgadzasz?

- *Nie*, nie - odpowiada Pin.

- Towarzyszu Czerwony Wilku - woła Mańkut zbliżając się z sokołem na ramieniu - zrobimy cię komisarzem
sowietu Starego Miasta!

Czerwony Wilk nawet na niego nie spojrział.

- Lewicowość, dziecięca choroba komunizmu! - mówi do Pina.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nisko, pośród lasu, ciągną się łąki całe pokryte łupinami kasztanów i wyschłe moczary pełne zwiędłych liści. Wieczorem smugi oparów przenikają pomiędzy drzewa i otulają pnie z czerwonarwymi brodami mchu i niebieskimi deseniami porostów. Obozowiska można się domyśleć, pierwaj jeszcze zanim się do niego dotrze, dzięki dymowi unoszącemu się ponad wierzchołkami drzew i przyciszonemu śpiewowi chóru, który narasta w miarę zagłębiania się w las. Stoi tu samotny dom z kamienia, o dwu piętrach: piętro na dole dla bydła, gdzie za podłogę służy ziemia, i górne piętro z gałęzi, na którym sypiają pasterze.

Teraz ludzie sypiają na górze i na dole, na posłaniach ze świeżej paproci i siana, a dym z palącego się na dole ogniska, nie mając ujścia przez okno, wciska się pod łupki dachu i gryzie ludzi w oczy i gardła powodując kaszel. Każdego wieczora wszyscy tłoczą się wokół ogniska, zakrytego, żeby nie widział go nieprzyjaciel, wata się jedni na drugich, a Pin pośrodku, oświetlony blaskiem ognia, śpiewa na całe gardło jak dawniej w gospodzie na jego uliczce. I ludzie są tacy sami jak ci z gospody: wsparci na łokciach, z twardym spojrzeniem, tylko nie patrzą z rezygnacją w fiolet szklanek - w dłoniach ściskają broń i jutro wyjdą strzelać do ludzi, do wroga.

Jest to coś, co różni ich zupełnie od wszystkich innych ludzi: mają wrogów, nowe i nieznane pojęcie dla Pina. Na jego uliczce dzień i noc słyhać było wrzaski, przekleństwa i kłótnie pomiędzy mężczyznami i kobietami, nie było jednak tej gorzkiej żądz wroga, tego pragnienia, które nie pozwala nocą zmruzzyć oka. Pin nie wie jeszcze, co to znaczy mieć wrogów. We wszystkich istotach ludzkich widzi coś równie ohydneho jak w robakach, ale zarazem coś dobrego i ciepłego, co przyciąga innych.

Tymczasem ci tutaj nie potrafią myśleć o niczym innym, zupełnie jak zakochani, a kiedy wymawiają niektóre słowa, drżą im brody, oczy połyskują i palce pieszczą celownik karabinu. Nie proszą, żeby Pin śpiewał miłosne lub wesołe piosenki, wołają swoje pieśni, pełne krwi i burzy, albo pieśni o więzieniach i zbrodniach, których nikt inny poza nimi nie zna, lub wreszcie piosenki bardzo sprośne, które trzeba śpiewać zachłystując się nienawiścią. Oczywiście Pin jest pełen podziwu dla tych ludzi, bardziej niż dla wszystkich innych na świecie: znają historie o samochodach pełnych zmasakrowanych ludzi, historie o szpiegach, którzy umierają nago w rowach wygrzebanych w ziemi.

Nie opodal chaty las rzednieje ustępując miejsca pasmu łąki; powiadają, że leżą tam pogrzebani szpiedzy, i Pin boi się trochę przechodzić tamtędy nocą, żeby ręce wyrosłe spośród trawy nie chwyciły go za pięty.

Pin jest już jednym z oddziału, jest w zażyłych stosunkach ze wszystkimi i z każdego potrafi tak zakpić, że potem aż ścigają go, chcąc połaskotać i dać mu szturchańca.

- Cholerny świat, komendancie - zaczyna Prosteo - mówiono mi, że kazałaś już zrobić sobie mundur, żeby, jak idziesz do miasta, wkładać go wraz ze wszystkimi odznakami, z ostrogami i z szablą.

Pin żartuje z dowódcami, ale zawsze stara się być z nimi w dobrych stosunkach, żeby pozyskać ich przyjaźń i żeby dzięki temu móc niekiedy uchylić się od przypadającej na niego służby lub prac porządkowych.

Prosty, syn wychodźców z Południa, jest szczupłym, młodym człowiekiem, z cierpkim uśmiechem i wiecznie opuszczonymi powiekami o długich rzęsach. Z zawodu jest kelnerem; dobre zajęcie: żyje się w pobliżu bogatych i pracuje w jednym sezonie, a w drugim odpoczywa. Ale on wolałby przez cały rok leżeć wyciągnięty na słońcu, z tymi swoimi nerwowymi rękoma pod głową. Tymczasem jednak, wbrew jego woli, tkwi w mim jakieś szaleństwo,

które każe mu być w ciągłym ruchu, wprawia jego nozdrza w ustawiczne drgania i narzuca mu podświadomie pragnienie manipulowania bronią. W dowództwie brygady mają co do niego zastrzeżenia z powodu niezbyt dobrej opinii, jaką o nim przysłał komitet, i ponieważ podczas akcji zawsze chce działać ma własną rękę i za bardzo lubi komenderować, a za mało świecić własnym przykładem. Jednakże, kiedy chce, potrafi być odważny, a dowódców jest niewielu. Dlatego też powierzono mu oddział, na który nie można zbyt liczyć i który służy raczej do odizolowania ludzi mogących wywierać zły wpływ na innych. Z tego powodu Prosty obrażony jest na dowództwo i działa trochę na własną rękę, a trochę próżnuje. Od czasu do czasu mówi, że jest chory, i spędza całe dnie w chacie, wyciągnięty na posłaniu ze świeżych paproci, z rękami pod głową i długimi rękawami opuszczonymi na przymknięte oczy.

A żeby go zmusić do wypełniania obowiązków, trzeba by komisarza oddziału, który znalazłby się na rzeczy! Lecz komisarza Giacinto wykańczają wszy, którym pozwolił rozmnożyć się do tego stopnia, że nie może już sobie z nimi dać rady, tak samo jak nie potrafi zdobyć sobie autorytetu u dowódcy i wśród ludzi z oddziału. Co pewien czas wzywają go do dowództwa batalionu lub brygady i każą dokonać krytycznej oceny sytuacji oraz przestudiować sposoby jej rozwiązania. Jest to jednak daremny trud, gdyż za każdym razem gdy wraca do swego oddziału, drapie się od rana do wieczora i udaje, że nie wie, co robi dowódca i co mówią o nim ludzie.

Prosty, uśmiechając się cierpko i poruszając nozdrzami, pozwala Pinowi na żarty i powiada, że Pin jest największym zuchem w oddziale, że on sam jest chory i chce się wycofać, a dowództwo mogą powierzyć Pinowi, jeśli sprawy będą iść nadal tak kulawo. Wówczas wszyscy próbują nabierać Pina i zapytują go, kiedy zarządzi jakąś akcję i czy zdobyłby się na to, żeby wycelować do Niemca i wystrzelić. Pin złości się, gdy słyszy takie słowa, gdyż w gruncie rzeczy bałby się znaleźć w ogniu bitwy i być może nie miałby odwagi strzelić do człowieka. Lecz kiedy znajduje się wśród towarzyszy, pragnie uwierzyć w to, że jest jednym z nich, i wówczas zaczyna opowiadać, co zrobi, jak wezmą go ze sobą na bitwę, i udaje, że w rękach ma karabin maszynowy, trzymając dłonie blisko siebie, na wprost oczu, tak jakby strzelał.

Podnieca się wtedy, myśli o faszystach, o tym, jak go bili, o niebieskawych i pozbawionych zarostu twarzach tych ze śledztwa; ta-tatata - oto wszyscy już zabici i krwawiącymi dziąsłami gryzą dywan, pod biurkiem niemieckiego oficera. Tak więc i w nim rodzi się ostra i nieugięta żądza zabijania, chęć zabicia ukrytego w kurniku żołnierza, mimo że jest głupi, a nawet właśnie dlatego, że jest głupi; zabicia również smutnego strażnika więziennego właśnie dlatego, że jest smutny i że na twarzy ma blizny od brzytwy. Jest to żądza tak stara jak tkwiące w nim pragnienie miłości, ma smak nieprzyjemny i podniecający jak dym i wino; żądza, która z niezrozumiałych powodów ogarnia wszystkich mężczyzn i której zaspokojenie musi z sobą nieść zagadkowe i tajemnicze rozkosze.

- Gdybym był takim chłopcem jak ty - mówi Długi Zena, zwany Drewnianą Czapką - nie zastanawiałbym się wiele, tylko zszedłbym do miasta, zastrzeliłbym oficera, a potem uciekłbym tu z powrotem. Ty jesteś dzieciak, nikt nie zwróciłby na ciebie uwagi i mógłbyś podejść im aż pod sam nos. I uciekać też byłoby ci łatwiej.

Pin skręca się ze złości; wie, że mówią mu to wszystko tylko po to, żeby go nabrać, a potem i tak nie dadzą mu broni i nie pozwolą oddalić się od oddziału.

- Wyślijcie mnie - mówi - a zobaczycie, że pójde.

- Dobrze, idź jutro - odpowiadają.

- O co się założymy, że któregoś dnia pójdę do miasta i zakatrupię niemieckiego oficera? - pyta Pin.

- Idź - odpowiadają. - Dasz mu broń, Prosty?

- Pin jest pomocnikiem kucharza - mówi Prosty - jego broń to nóż do obierania kartofli i warząchew.

- Po diabła mi cała wasza broń! Cholerny świat, mam niemiecki marynarski pistolet, jakiego nikt z was nie ma!

- Do licha - mówią - a gdzie go trzymasz: w domu? Marynarski pistolet to musi być taki, co strzela wodą!

Pin przygryza wargi; przyjdzie taki dzień, że odkopie swój pistolet i dokona cudownych rzeczy, rzeczy, które zadziwią wszystkich.

- O co się założymy, że mam pistolet P38 ukryty w takim miejscu, którego nikt poza mną nie zna?

- Co z ciebie za partyzant, jeżeli trzymasz broń w ukryciu? Powiedz nam, jakie to miejsce, a pójdziemy go przynieść.

- Nie. To takie miejsce, które znam tylko ja i nikomu nie mogę o nim powiedzieć.

- Dlaczego?

- Bo pająki robią tam gniazda.

- Ale co ty bredzisz! Odkąd to pająki robią gniazda? To przecież nie są jaskółki.

- Jeżeli mi nie wierzycie, dajcie mi waszą broń.

- Myśmy sobie broń zorganizowali. Skonfis-ko-wa-li-śmy ją.

- Ja swoją też skonfiskowałem. W pokoju mojej siostry, podczas kiedy ten...

Ludzie śmieją się, nie rozumieją nic z tych rzeczy. Pin chciałby sobie odejść i prowadzić partyzantkę zupełnie sam ze swoim pistoletem.

- O co się założymy, że ja znajdę ten twój P38?

Pytanie to zadał Skóra, szczupły chłopak, wiecznie zaziębiony, z ledwie zarysowanym puszką wąsów nad spieczonymi wargami. *W* tej chwili starannie czyści szmatką zamek karabinu.

- Mogę się założyć nawet z twoją rodzoną ciotką, że nie znasz miejsca, gdzie pająki robią gniazda - mówi Pin.

Skóra przestaje trzeć szmatką.

- Ty gówniarzu, ja znam każdy najdrobniejszy zakątek fosy, nawet sobie nie wyobrażasz, z iloma dziewczynami spałem na tamtych zboczach.

Skóra ma dwie namiętności, które go pochłaniają: broń i kobiety. Zyskał sobie prawdziwy podziw Pina rozprawiając ze znawstwem o wszystkich prostytutkach z miasta i wydając opinię o jego siostrze, Czarnej, co pozwalało przypuszczać, że zna dobrze również i ją. Pin żywi uczucie sympatii pomieszanej ze wstrętem dla tego szczupłego i wiecznie zaziębnionego chłopca, który zawsze opowiada historie o dziewczętach uwodzonych podstępnie, gdzieś ma łąkach, lub o nowych i skomplikowanych rodzajach broni, w jaką wyposażona jest czarna brygada. Skóra jest młody, lecz objechał już całe Włochy z obozami awangardystów, zawsze miał do czynienia z bronią i zwiedził domy publiczne we wszystkich miastach, mimo że nie był jeszcze pełnoletnim.

- Nikt nie wie, gdzie są gniazda pająków - mówi Pin.

Skóra śmieje się ukazując dziąsła.

- Ja wiem - mówi. - Idę teraz do miasta zabrać karabin z domu pewnego faszysty, to poszukam również i twego pistoletu.

Skóra od czasu do czasu wyrusza do miasta powraca obładowany bronią. Zawsze zdoła się wywieźć, gdzie jest ukryta lub kto trzyma ją w domu, i za każdym razem udaje mu się ją zabrać i powiększyć w ten sposób swe uzbrojenie. Pin nie wie, czy Skóra mówi prawdę: może Skóra jest tym poszukiwanym wielkim przyjacielem, który wszystko wie o kobietach i o pistoletach, a także o pajęczych gniazdach? A jednak Skóra napawa go lękiem z tymi swymi czerwonawymi, wiecznie przeziębionymi oczkami.

- A jeżeli znajdziesz, przyniesiesz mi go? - pyta Pin.

Skóra w złośliwym uśmiechu odslania całe dziąsła.

- Jeżeli znajdę, zatrzymam go sobie. Trudno jest odebrać broń Skórze. Co dzień

nieomal są o to w oddziale awantury, bowiem Skóra nie jest dobrym kolegą i uważa, że przysługuje mu prawo własności do całego arsenału, w jaki się zaopatrzył. Zanim jeszcze zgłosił się do oddziału, wstąpił do czarnej brygady po to, żeby mieć karabin, i krążył po mieście, po godzinie policyjnej, strzelając do kotów. Później zdezerterował ograbiwszy pół zbrojowni i od tego czasu odbywa stałe kursy do miasta, wytrapiając najdziwniejsze rodzaje broni automatycznej, granaty ręczne i pistolety. Czarna brygada jest częstym tematem jego rozmów. Odmalowuje ją w barwach diabolicznych, lecz nie pozbawionych uroku: „W czarnej brygadzie robią to... mówią tamto...”

- Prosty, więc ja, ma się rozumieć, idę - mówi Skóra zwilżając sobie delikatnie wargi językiem i pociągając nosem.

Nie powinno się pozwalać ludziom chodzić, gdzie im się podoba, lecz wyprawy Skóry udają się zawsze, nigdy nie wraca z próżnymi rękoma.

- Pozwalam ci iść na dwa dni - mówi Prosty - nie więcej, rozumiesz? I nie rób głupstw, żeby cię nie złapali.

Skóra znów zwilża sobie wargi.

- Wezmę ze sobą nowego stena.

- Nie - mówi Prosty - masz starego stena. Ten nowy będzie nam potrzebny.

Zaczyna się zwykła historia.

- Nowy sten jest mój - mówi Skóra - ja go przyniosłem i wezmę go, kiedy mi się spodoba.

Gdy tylko Skóra zaczyna się klócić, oczy mu czerwienieją jeszcze bardziej, jakby od płaczu, a głos staje się nosowy. Prosty, przeciwnie, jest chłodny, nieustępliwy i tylko, zanim otworzy usta, drgają mu nozdrza.

- Więc nie pójdziesz wcale - mówi. Skóra zaczyna narzekać wychwalając wszystkie swoje zasługi i oświadcza, że w takim razie porzuca oddział na zawsze i zabiera ze sobą całą swoją broń. Suchy cios Prostego ląduje na jego policzku.

- Zrobisz, co ci każę, zrozumiano?

Towarzysze spoglądają z uznaniem. Nie szanują Prostego bardziej niż Skóry, lecz są zadowoleni, że dowódca potrafi wzbudzić respekt.

Skóra stoi z czerwonym śladem pięciu palców na pobladłym policzku i pociąga nosem.

- Popamiętasz to - mówi. Odwraca się i wychodzi.

Na zewnątrz jest mgła. Ludzie wzruszają ramionami. Już wiele razy Skóra urządzał podobne sceny, a potem zawsze powracał z nowym łupem. Pin biegnie za nim.

- Powiedz, Skóra, mój pistolet, słuchaj no, ten pistolet... - i sam nie wie, o co ma go prosić. Lecz Skóra już zniknął, a mgła tłumi wołanie. Pin wraca do pozostałych: mają kawałki słomy we włosach i kwaśne miny.

Ażeby ożywić atmosferę i odegrać się za drwiny, z jakimi się spotkał, Pin zaczyna żartować z każdego, kto jest mniej zdolny do obrony i łatwo daje się nabrać. W tej chwili przedmiotem jego kpín są czterej szwagrowie z Kalabrii: Książę, Markiz, Hrabia i Baron. Wszyscy czterej są szwagrami, przybyli ze swych rodzinnych stron, żeby poślubić cztery siostry, swoje współrodaczki, które osiedliły się w tych okolicach. Obecnie tworzą grupę działającą częściowo ma własną rękę, pod wodzą Księcia, który jest najstarszy i potrafi wzbudzić szacunek.

Książę ma okrągłą, futrzaną czapkę, opuszczoną na jedno ucho, i równo przystrzyżone wąsiki na kwadratowej, hardej twarzy. Nosi austriacki pistolet przyczepiony do pasa: wystarczy, że ktoś mu się sprzeciwi, a już wyciąga pistolet z kabury, przykładając go do brzucha, mamrocze jakieś brutalne słowa w tym swoim opętańczym języku, pełnym podwójnych i dziwacznych przedrostków.

- Dla mnie klaszcz w dłonie i tańcz! Pin robi do niego grymas.

- Patrzcie, krajan!

A Książę, który nie zna się na żartach, goni za nim z wymierzonym austriackim pistoletem i wrzeszczy:

- Ja ci palnę w łeb! Ja cię nauczę rozumu!

Ale Pin się nie boi, bo wie, że inni są za nim, obronią go, i że bawi ich, kiedy tak drwi z Kalabryjczyków: z Markiza z gąbczastą twarzą i z czołem przystońniętym włosami, z Hrabiego, chudego i melancholijnego jak Mulat, i z najmłodszego z nich, Barona, w wielkim, czarnym chłopskim kapeluszu, z zezowatym okiem i medalikiem z Matką Boską przyczepianym do dziurki od guzika. Książę był z zawodu rzeźnikiem, trudnił się nielegalnym ubojem, a i teraz w oddziale, kiedy trafi się jakieś zwierzę do zarznięcia, ofiarowuje swoje usługi; tkwi w nim jakiś ponury kult krwi. Często czterej szwagrowie wyruszają doliną ku polom obsianym goździkami, gdzie mieszkają cztery siostry, ich żony. Toczą tam tajemnicze potyczki z ludźmi z czarnej brygady, urządzają zasadzki i krwawe wendety, jakby prowadzili wojnę w swych własnych sprawach, podsycaną starymi rodzinnymi waśniami.

Czasem wieczorem Długi Zena, zwany Drewnianą Czapką, mówi do Pina, żeby był cicho, bo właśnie znalazł piękny fragment w książce i chce go głośno przeczytać. Długi Zena, zwany Drewnianą Czapką, spędza całe dnie nie wychodząc z chaty, wyciągnięty na sianie, i czyta przy blasku oliwnej lampki grubą książkę z napisem na okładce *Superszlager*. Potrafi zabrać z sobą książkę nawet na akcję i czytać, oparłszy ją o karabin maszynowy, w oczekiwaniu na Niemców.

Czyta teraz głośno swym monotonnym głosem z genueńskim akcentem, historie o ludziach, którzy giną w pełnych tajemnic chińskich dzielnicach. Prosty lubi słuchać, gdy ktoś czyta, i nakazuje wszystkim milczenie. W ciągu całego swego życia nigdy nie miał cierpliwości, żeby czytać książki, ale raz, siedząc w więzieniu, spędzał całe godziny słuchając, jak pewien stary więzień czytał na głos *Hrabiego Monte-Cristo*. Podobało mu się to bardzo.

Ale Pin nie rozumie, co to za przyjemność czytać, i nudzi się. Mówi:

- Drewniana Czapko, co powie twoja żona tej nocy?

- Jakiej mocy? - pyta Długi Zena, zwany Drewnianą Czapką, który nie przyzwyczał się jeszcze do kawałów Pina.

- Tej nocy, kiedy pierwszy raz pójdziecie razem do łóżka i ty przez cały czas będziesz dalej czytał książkę.

- Ty świński ryju! - woła do niego Długi Zena.

- Ty wołowa wargo! - odpowiada Pin.

Genueńczyk ma szeroką, bladą twarz z olbrzymimi wargami i mętnymi oczyma pod daszkiem czapeczki ze skóry, która wygląda zupełnie jak z drzewa. Długi Zena jest wściekły i podnosi się.

- Dlaczego wołowa warga? Dlaczego mnie nazywasz wołową wargą?

- Wołowa warga! - krzyczy dalej Pin trzymając się poza zasięgiem jego ogromnych rąk. - Wołowa warga!

Pin się nie boi, bo wie, że genueńczyk nigdy nie zdobędzie się na wysiłek aż tak wielki, żeby go ścigać, i że zawsze w końcu zostawi go w spokoju, pozwalając mu gadać, co tylko zechce, i wróci do czytania swej książki wodząc grubym paluchem po stronicy. Jest to najbardziej leniwy człowiek, jaki się kiedykolwiek trafił w oddziałach. Jest silny jak wół, lecz w czasie marszów zawsze znajduje jakiś wykręt, żeby iść bez obciążenia. Wszystkie oddziały starały się go pozbyć, aż wreszcie przydzielano go do Prostego.

- To jest okrucieństwo - powiada Długi Zena, zwany Drewnianą Czapką - że ludzie muszą całe życie pracować.

Są jednak kraje w Ameryce, gdzie człowiek bogaci się bez nadmiernego trudu. Długi Zena pojedzie tam, jak tylko zaczną kursować statki.

- Prywatna inicjatywa, tajemnicą wszystkiego jest prywatna inicjatywa - mówi prostując długie ramiona, wyciągnięty na sianie w rogu izby, i pomagając sobie palcem oraz poruszając wargami zaczyna znów sylabizować książkę, która opisuje życie w tych wolnych i szczęśliwych krajach.

Nocą, kiedy wszyscy już śpią na słomie, Długi Zena, zwany Drewnianą Czapką lub Wołową Wargą, zagina róg rozpoczętej strony, gasi oliwną lampkę i zasypia z książką pod głową.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Sny partyzantów są krótkie i nie zdarzają się często, są to sny zrodzone z nocy głodu, związane ze sprawą jedzenia, którego jest zawsze mało i które trzeba dzielić między tylu ludzi; sny o kawałkach chleba, które człowiek gryzie, ale później zamyka je ktoś w szufladzie. Bezdomne psy muszą śnić podobnie o obgryzanych kościach zagrzebanych pod ziemią. Tylko wtedy gdy żołądek jest pełny, gdy płonie ognisko i nie łąziło się zbyt -wiele w ciągu dnia, może sobie człowiek pozwolić na sny o nagich kobietach i budzi się rano mokry, lecz z uczuciem ulgi i radości, jakiej doznaje się z chwilą podniesienia kotwicy.

Wówczas ludzie na sianie zaczynają rozmawiać o kobietach, które były i będą w ich życiu, snują marzenia na przyszłość, gdy skończy się wojna, i podają sobie z rąk do rąk pożółkłe fotografie.

Giglia śpi pod ścianą, obok swego małego i łysego męża. Rankiem słucha nabrzmiałych żądzą rozmów mężczyzn i czuje, jak powoli zbliżają się ku niej wszystkie spojrzenia, niczym rój zmij pelzających wśród siana. Wtedy wstaje i idzie się myć do studni. Mężczyźni zostają w mroku izby i myślą o niej, że w tej chwili rozpina koszulę i namydla sobie piersi. Prosty, jak zawsze milczący, wstaje i też idzie się myć. Wszyscy klną Pina, który czyta ich myśli i wyśmiewa je.

Pin czuje się wśród nich jak wśród ludzi z gospody, tylko że jest to świat barwniejszy i dzikszy, z tymi nocami na sianie i zawszonymi brodami. Oprócz śmiesznej żądzą kobiet, właściwej wszystkim dorosłym, jest w nich coś nowego, co pociąga Pina, a zarazem napęnia go lękiem: od czasu do czasu powracają do chaty z jakimś nieznanym bladym człowiekiem, który rozgląda się dookoła i sprawia wrażenie, jakby nie był w stanie otworzyć szeroko oczu ani rozewrzeć szczęk, żeby zapytać o coś, co bardzo mu leży na sercu.

Człowiek idzie z nimi, uległy, ma suche, spowite w mgłę łąki, ciągnące się za lasem, i nikt go tu już więcej nie zobaczy; tylko czasami na innych można dostrzec jego kapelusz, kurtkę lub podkute gwoździami buty. Jest w tym coś tajemniczego i fascynującego i Pin chciałby niekiedy przyłączyć się do małego oddziałku, który wyrusza na łąki, lecz ludzie odpędzają go wśród wymyślali i Pin powraca do swej zabawy przed chatą, drażni sokoła wrzosową miotłą i jednocześnie myśli o tajemniczych obrzędach, które odbywają się mą wilgotnej od mgły trawie.

Którejś nocy, żeby z niego zażartować, Prosty mówi mu, że w trzecim paśmie łąki jest dla niego niespodzianka.

- Cholemy świat, powiedz mi, co, Prosty! - woła Pin, który umiera z ciekawości, lecz odczuwa, lekką obawę przed tymi polanami, szarymi w ciemnościach nocy.

- Idź prosto przez łąkę, to znajdziesz - mówi Prosty i śmieje się ukazując brzydkie zęby.

Więc Pin idzie sam wśród ciemności, ogarnięty strachem, który przenika go do głębi jak wilgoć mgły. Kroczy pasmem łąki po zboczu i oto stracił już z oczu blask ognia w drzwiach chaty. Zatrzymał się w porę: jeszcze chwila, nastąpiłby na to mogą. Przed sobą widzi wielki, biały kształt rozciągnięty w poprzek pasma łąki: ciało ludzkie, już obrzękłe, leżące na wznak w trawie. Pin patrzy jak zaczarowany: widzi czarną rękę, która włazi z ziemi na to ciało, wślizguje się po nim, czepia się jak ręka tonącego. To nie jest ręka: to ropucha, jedna z tych ropuch, które krążą nocą wśród trawy, a teraz skacze na brzuch zmarłego. Pin ze zjezonymi włosami i z sercem w gardle ucieka daleko przez łąki.

Pewnego dnia powraca do oddziału Książę. Był wraz ze swymi trzema szwagrami na jednej z ich tajemniczych

wypraw. Księżę ma na szyi czarny wełniany szalik i trzyma w ręku futrzaną czapkę.

- Koledzy - mówi. - Zabito mojego szwagra Markiza.

Ludzie wychodzą z chaty i widzą, jak zbliżają się Hrabia i Baron, również z czarnymi wełnianymi szalikami dookoła szyi, dźwigając na noszach, sporządzonych z tyczek z winnicy i z oliwnych gałęzi, swego szwagra Markiza. Zabili go na polu goździków ludzie z czarnej brygady.

Szwagrowie umieszczają nosze przed chatą i stają obok z odkrytymi i pochylonymi głowami. W pewnej chwili dostrzegają dwóch jeńców. Są to faszyci wzięci w akcji poprzedniego dnia, którzy siedzą nie opodal obierając kartofle, boso, rozczochrani, w postrzępionych mundurach, i po raz setny tłumaczą każdemu, kto tylko się do nich zbliży, że do zaciągu zostali zmuszeni siłą.

Księżę każe więźniom wziąć oskard i łopatę i zanieść nosze na łąki, gdzie mają pogrzebać szwagra. Kondukt wyrusza w następującym porządku: dwaj faszyci niosą na ramionach nosze ze zmarłym, a za nimi idą trzej szwagrowie; Księżę pośrodku, dwaj pozostali po tokach. *W* lewych dłoniach trzymają czapki, przy piersiach, na wysokości serca: Księżę okrągłą futrzaną czapkę, Hrabia wełniany kaptur, Baron wielki, czarny chłopski kapelusz; w prawej ręce każdy trzyma wymierzony pistolet. Z tyłu, w pewnej odległości, krocą w milczeniu wszyscy inni.

W pewnej chwili Księżę zaczyna odmawiać modlitwy za zmarłych. W jego ustach łacińskie wersety są przepełnione gniewem i brzmią jak przekleństwa, a dwaj szwagrowie wtórują mu, krocząc cały czas z wymierzonymi pistoletami i z czapkami przy piersi. *W* ten sposób żałobny kondukt posuwa się powoli przez łąki. Księżę wydaje faszystom krótkie rozkazy, żeby szli wolno, żeby równo trzymali nosze, żeby skręcali wtedy, kiedy trzeba skręcić; później każe im zatrzymać się i kopać grób.

Ludzie również zatrzymują się w pewnej odległości i patrzą. Tuż obok noszy i dwóch faszystów, którzy kopią, stoją trzej szwagrowie z odkrytymi głowami, z czarnymi wełnianymi szalikami i wymierzonymi pistoletami i odmawiają łacińskie modlitwy. Faszyci pracują w pośpiechu, wykopali już głęboki rów i spoglądają na braci.

- Jeszcze - mówi Księżę.

- Głębszy? - pytają jeńcy.

- Nie - odpowiada Księżę - szerszy. Faszyci kopią dalej, wyrzucając ma górę ziemię. Robią rów dwa, trzy razy szerszy.

- Dosyć - mówi Księżę.

Faszyci układają zwłoki Markiza po środku rowu; następnie wychodzą, żeby zasypać grób.

- Na dół - mówi Księżę. - Przysypcie go ziemią zostając w dole.

Faszyci sypią pełne łopaty ziemi tylko ma zmarłego i pozostają w dwóch oddzielnych rowach; po obu stronach pogrzebanych zwłok. Co pewien czas odwracają się, żeby zobaczyć, czy Księżę pozwoli im wyjść, lecz Księżę chce, żeby dalej sypali ziemię na zmarłego szwagra, choć tworzy ona już wysoką mogiłę nad jego ciałem.

Później otula wszystko mgła i ludzie pozostawiają szwagrów z odkrytymi głowami i wycelowanymi pistoletami i odchodzą; mgła gęsta, która zamazuje postacie i tłumi odgłosy.

Wiadomość o pogrzebie Kalabryczyka dotarła do dowództwa brygady i spotkała się tam z naganą, a komisarz Giacinto znów został wezwany do raportu. Tymczasem jednak ludzie zebrani w izbie wyładowują jakąś szaleńczą potrzebę wesołości słuchając żartów Pina, który oszczędza tego wieczora pogrążonych w żałobie szwagrów, a za to

uwziął się na Długiego Zenę, zwanego Drewnianą Czapką.

Giglia klęczy koło ognia, podając drobne kawałki drzewa mężowi, który pilnuje, żeby nie wygasł płomień. Jednocześnie przysłuchuje się rozmowom, śmieje się i wodzi dokoła swymi zielonymi oczyma. Od czasu do czasu oczy jej spotykają się z przysłoniętymi cieniem rzęs oczyma Prostego, a wówczas również i on śmieje się tym swoim złym i chorobliwym uśmiechem i trwają tak ze skrzyżowanymi spojrzeniami, dopóki ona nie spuści oczu i nie stanie się znów poważna.

- Pin, przestań - mówi Giglia - zaśpiewaj nam lepiej: *Kto stuka do mych drzwi...*

Pin zostawia w spokoju genuńczyka i zaczyna przekomarzać się z Giglią:

- Powiedz mi, Giglia, a ty byś chciała, żeby kto zastukał do twych drzwi, kiedy męża nie ma w domu?

Kucharz podnosi łysą głowę, zaróżowioną z powodu bliskości ognia; uśmiecha się cierpko, jak zawsze kiedy z niego drwią.

- Ja bym chciał, żebyś to ty stukał i żeby cię gonił Książę z wielkim nożem, wołając: „Wypruję mu bebechy!”, i żebym mógł zamknąć ci drzwi przed nosem!

Lecz próba zakpienia z Księcia jest niezręczna i nie chwyta. Pin robi kilka kroków -w stronę Mańkuta i spogląda na niego a ukosa, śmiejąc się szyderczo:

- Ha, ha, słuchaj no, Mańkut, ale to chyba prawda, że wtedy się nie spostrzegłeś?

Mańkut zdołał już się połapać, na czym polegają kawały Pina, i wie, że nie powinien pytać, o jaki wypadek chodzi.

- Ja nie. A ty? - odpowiada, lecz śmieje się cierpko, bowiem wie, że Pin go nie oszczędzi, i widzi, że inni zawiśli z ciekawością na wargach Pina, żeby usłyszeć, co też nowego wymyślił.

- Wtedy kiedy po upływie roku od twego wyjazdu na morze twoja żona urodziła syna, zaniósła go do przytułku, a ty wróciłeś i nie domyśliłeś się niczego.

Ludzie, którzy do tej chwili z ciekawości aż wstrzymali oddech, wybuchają głośnym śmiechem i szydzą z kucharza:

- No, Mańkut, a to piękna historia! Nigdy nam o tym nie opowiadałeś!

Mańkut śmieje się również, kwaśny jak zielona cytryna.

- Czy wiesz o tym stąd - mówi - że spotkałeś się z tym synem, kiedy byłeś w przytułku dla bękartów, i opowiedział ci wszystko?

- Przestańcie - mówi Giglia - czy nie możesz wytrzymać bez tych złośliwości, Pin? Zaśpiewaj lepiej tę piosenkę, jest taka ładna!

- Jak będę chciał - mówi Pin. - Ja na rozkaz nie pracuję.

Prosty wstaje powoli i przeciąga się.

- No, Pin, zaśpiewaj tę piosenkę, o którą ona prosiła, albo idź na wartę.

Pin odgarnia sobie kosmyk włosów znad oczu, żeby spojrzeć na Prostego.

- Aha, miejmy nadzieję, że nie przyjdą Niemcy, dowódca jest dzisiaj w sentymentalnym nastroju.

I robi gest, jakby się chciał zasłonić przed spodziewanym ciosem, lecz Prosty spogląda na Giglię spod ocienionych rzęsami powiek, ponad wielką głową kucharza. Pin prostuje się, wypina pierś do przodu, zadziera w

górną podbródek i zaczyna:

Któż to do drzwi mych puka, czyjaż to szczęka zbroja?

Któż to do drzwi mych puka, czyjaż to szczęka zbroja?

Jest to tajemnicza i posępna pieśń, której nauczył się od pewnej staruszki ze swojej ulicy; być może śpiewali ją niegdyś na jarmarkach wędrowni śpiewacy.

Ja jestem wodzem czarnych, a to drużyna moja!

Ja jestem wodzem czarnych, a to drużyna moja!

- Drzewo - mówi Mańkut i wyciąga rękę ku Giglii. Giglia chce mu podać wiązkę suchych wrzosów, którą jednak chwyta Prosty sięgając ręką ponad głowę kucharza. Pin śpiewa:

Powiedz mi, o Godeo, gdzie syn twój, powiedz, proszę!

Powiedz mi, o Godeo, gdzie syn twój, powiedz, proszę!

Mańkut trzyma jeszcze wyciągniętą rękę, a Prosty dokłada już wrzos do ognia. Potem Giglia podaje nad głowę męża wiązkę chrustu i dłoń jej spotyka się z dłonią Prosteego. Pin czujnie śledzi te zabiegi i (śpiewa dalej:

Mój syn już nie powróci, mój syn na wojnę poszedł.

Mój syn już nie powróci, mój syn na wojnę poszedł.

Prosty ujął dłoń Giglii, a drugą ręką wziął gałązki i wrzucił je do ognia. Teraz puścił dłoń Giglii i oboje spoglądają na siebie.

Chlebem, który spożywa, udławić tam się może,

Chlebem, który spożywa, udławić tam się może.

Pin śledzi każdy ich ruch z żarem w oczach i z każdym dwuwierszem podwaja zapal, wkładając w pieśń całą duszę.

Ta woda, którą pije, zatopi go jak morze.

Ta woda, którą pije, zatopi go jak morze.

Teraz Prosty wymija kucharza i jest tuż obok Giglii. Głos dudni w piersiach Pina, jakby je chciał rozerwać:

Ziemia, po której stąpa, rozstąpić się gotowa.

Ziemia, po której stąpa, rozstąpić się gotowa.

Prosty przykucnął obok Giglii: ona podaje mu drzewo, a on dokłada je do ognia. Ludzie są całkowicie pochłonięci pieśnią, która zbliża się do swego najbardziej dramatycznego momentu.

Jam syn twój, o Godeo, dziwią mnie twoje słowa!

Jam syn twój, o Godeo, dziwią mnie twoje słowa!

Płomień jest już zbyt wysoki. Należałoby raczej ująć drzewa z ognia, a nie ciągle dokładać, jeśli się nie chce, żeby na górnym piętrze zajęło się siano. Lecz ci dwoje nadal podają sobie z rąk do rąk suche gałązki.

Przebacz, jeżeli matka o tobie głupio rzecze!

Przebacz, jeżeli matka o tobie głupio rzecze!

Pin poci się od żaru, duży cały z wysiłku, a ostatni ton wydobywa tak ostry i wysoki, że aż w ciemnościach pod dachem daje się słyszeć łopotanie skrzydeł i ochrypły głos: to obudził się sokół Babeuf.

Obciął matczyną głowę wyjętym z pochwy mieczem.

Obciął matczyną głowę wyjętym z pochwy mieczem.

Mańkut trzyma teraz dłonie na kolanach. Słyszy, że sokół się obudził, więc wstaje, żeby mu dać jeść.

Odbita od podłogi, za drzwi się toczy głowa.

Odbita od podłogi, za drzwi się toczy głowa.

Kucharz ma zawsze przy sobie woreczek, w którym trzyma wnętrzności zabitej zwierzyny. Posadził teraz sokoła na dłoni, a drugą ręką podaje mu kawałki czerwonej od krwi nerki.

Kwiat wyrósł w środku izby, o zbrodni przypomina.

Kwiat wyrósł w środku izby, o zbrodni przypomina.

Pin zaczerpnął oddech przed ostatnim dwuwierszem. Przybliżył się tuż do nich dwojga i krzyczy im niemal w same uszy:

O matce, co zginęła ścięta przez swego syna.

O matce, co zginęła ścięta przez swego syna.

Pin pada na ziemię: jest kompletnie wyczerpany. Zrywa się burza. oklasków, Babeuf bije skrzydłami. W tej samej chwili rozlega się krzyk ludzi, którzy śpią na górze:

- Pożar! Pożar!

Ogień trzeszczy i wybucha wielkim płomieniem, ogarniając siano, które pokrywa rusztowanie z gałęzi.

- Ratuj się, kto może!

Ludzie tłoczą się, chwytają broń, buty, koce, potykają się o tych, którzy jeszcze nie zdążyli wstać.

Prosty poderwał się natychmiast na nogi i odzyskał panowanie nad sobą.

- Wynosić się szybko! Najpierw zabierać automaty, amunicję, potem karabiny. Worki i koce na końcu. Żywność, przedtem jeszcze żywność!

Ludzie, po części już boso i rozebrani, poddali się od razu panice, chwytają, co wpadnie im pod rękę, pchając się ku drzwiom. Pin przeciska się pomiędzy nogami, toruje sobie drogę na zewnątrz i biegnie, żeby znaleźć miejsce, skąd mógłby oglądać pożar: jest to widok naprawdę wspaniały!

Prosty wyjmuje pistolet.

- Nikt nie odejdzie, zanim się wszystkiego nie uratuje. Wynoście rzeczy na zewnątrz i wracajcie; do każdego, kto się będzie oddalał, strzelam!

Płomień dotykają już ścian, lecz ludzie zdołali opanować panikę i wdzierają się w dym i w ogień, żeby ocalić broń i zapasy. Prosty również wchodzi do środka, kaszląc od dymu wydaje rozkazy, wraca na zewnątrz, żeby przywołać pozostałych i przeszkodzić tym, którzy chcieliby uciekać. Znajduje Mańkuta już w krzakach, z sokółkiem na ramieniu i z całym, swoim bagażem, i potężnym kopniakiem odsyła go z powrotem do chaty po kocioł.

- Biada temu, kto nie wróci po resztę rzeczy! - woła.

Giglia przechodzi obok niego zupełnie spokojna i kieruje się ku pożarowi z tym swoim typowym, dziwnym uśmiechem. Szepcze do niej:

- Uciekaj!

Prosty to typ melancholika, ale ma nerw prawdziwego dowódcy. Zdaje sobie teraz sprawę, że pożar wybuchł z jego winy, przez jego brak poczucia odpowiedzialności, który doprowadził go do zaniedbania swych obowiązków;

wie, że z pewnością czekają go poważne przykrości ze strony przełożonych, lecz w tej chwili obudził się w nim dowódca: porusza nozdrzami i kieruje opróżnianiem chaty w samym sercu pożaru, opanowując panikę, jaka ogarnęła zaskoczonych w chwili odpoczynku ludzi, którzy po to, żeby ocalić życie, gotowi byli stracić całe zaopatrzenie.

- Wchodźcie na górę! - krzyczy. - Został tam jeszcze karabin maszynowy i dwa plecaki z amunicją!

- Nie można - odpowiadają mu. - Całe rusztowanie jest w płomieniach!

W pewnej chwili rozlega się okrzyk:

- Załamuje się rusztowanie! Wszyscy na zewnątrz!

Słychać już pierwsze wybuchy: to kilka ręcznych granatów, które pozostały wśród słomy. Prosty rzuca rozkaz:

- Wszyscy na zewnątrz! Trzymać się z daleka od chaty! Przenieść dalej wszystkie rzeczy, zwłaszcza te, które mogą eksplodować!

Ze swego punktu obserwacyjnego, na niewielkim wzniesieniu terenu, Pin ogląda pożar: widzi niespodziewane wybuchy przypominające sztuczne ognie i słyszy wystrzały, prawdziwe nawały pocisków, które padają w płomień i kolejno eksplodują. Z daleka musi to sprawiać wrażenie bitwy. Wysoko na niebie unoszą się iskry, a wierzchołki kasztanów wydają się jakby pozłacane. Jedna z gałęzi staje się ze złocistej rozżarzona do białości. Pożar, który stopniowo obejmuje drzewa, spali być może cały las.

Prosty robi inwentarz brakujących rzeczy: jedna brenda, sześć automatów, dwa karabiny, następnie granaty, naboje i cetnar ryżu. Jego kariera jest skończona: nie będzie już dowódcą, może nawet go rozstrzelają. A jednak nie przestaje poruszać nozdrzami i rozdzielać ocalałych rzeczy pomiędzy ludzi, zupełnie jakby chodziło o zwykłą zmianę miejsca postoju.

- Dokąd idziemy?

- Powiem wam później. Musimy wyjść z lasu. Ruszamy!

Oddział obciążony bronią i bagażami posuwa się gęsiego przez łąki. Mańkut dźwiga na ramionach kocioł, na którym siedzi Babeuf. Pinowi powierzono wszystkie przybory kuchenne. Wśród ludzi krążą paniczne pogłoski:

- Niemcy słyszeli strzały i widzieli pożar, zaraz będziemy ich mieli na karku.

Prosty odwraca się ukazując pobladłą i spokojną twarz.

- Spokój. Ani słowa. Maszerować! Wydaje się, że dowodzi odwrotem, po nieudanym boju.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Za nowe obozowisko służy ciasna szopa na siano, z dziurawym dachem, przez który przecieka deszcz. Rankiem ludzie spragnieni słońca rozpraszają się wśród alpejskich róż rosnących nad urwiskiem, kładą się na oszronionych krzewach i ściągają koszule, żeby szukać wszy.

Pin lubi, kiedy Mańkut posyła go po coś do pobliskich miejsc: aż do *źródła*, żeby napełnić wiadrami kocioł, lub z małą siekierką po drzewo do spalonego lasu, lub nad brzeg potoku, żeby zebrać rzeżuchę, która służy kucharzowi do przyprawiania sałaty. Pin śpiewa i rozgląda się po świecie, patrzy na niebo przeczyste w blasku poranka i na górskie motyle o nieznanym barwach, które unoszą się nad łąkami. Mańkut niecierpliwi się za każdym razem, kiedy Pin długo nie wraca, gdy tymczasem ogień wygasa i rozgotowuje się ryż, i wymyśla mu we wszystkich językach, kiedy przychodzi z ustami umazanymi sokiem poziomek i z oczyma jeszcze pełnymi migoczących motyli. Wtedy Pin staje się znowu piegowatym chłopcem z Carrugio Lungo i wszczyna wrzaski, które trwają bez końca, gromadząc wokół kuchni ludzi rozproszonych wśród alpejskich róż.

Ale krocząc tak rankiem po ścieżkach, Pin zapomina o starych uliczkach, z których nigdy nie znika uryna mułów, o męskim i kobiecym zapachu niezasałanego łóżka jego siostry, o cierpkim smaku dymu, który wydobywa się z otwartego zamka rewolweru, o świcie palących uderzeń w czasie śledztwa. Pin dokonał tu wielu nowych i ciekawych odkryć: znalazł żółte i brązowe grzyby, które, całe wilgotne, ledwie wystają spod ziemi, czerwone pająki na ogromnych, niedostrzegalnych pajęczynach, małe zajączki, składające się niemal tylko z łap i uszu, które nagle pojawiają się na ścieżce i szybko znikają w zygzakowatych skokach.

Wystarczy jednak jakieś jedno nagłe i przelotne wspomnienie, żeby Pina znów ogarnęła pasja przerażającego i niezrozumiałego okrucieństwa: z twarzą pełną piegów, rozbieganymi oczyma śledzi parzące się świerszcze, wbija sosnowe igielki w brodawki na grzbiecie małych ropuch lub siusia na mrowiska, patrząc, jak z porowatej ziemi wyłuskują się, wyłaniają i rozpraszają na wszystkie strony setki czerwonych i czarnych mrówek.

Wtedy Pin czuje, że pociąga go znowu świat mężczyzn, niezrozumiałych mężczyzn o nieprzeniknionym spojrzeniu i ustach wilgotnych od gniewu. Powraca wówczas do Mańkuta, który_x nie potrafi śmiać się inaczej, jak tylko rechocząc szyderczo i coraz to bardziej cierpko, Mańkuta, który nie wychodzi nigdy na akcje i zostaje zawsze przy swoich kotłach, z nieodstępnym sokołem bijącym ze złości podciętymi skrzydłami na jego ramieniu.

Kuzyn jest inny: odnosi się wrażenie, że wciąż narzeka i że tylko on jeden wie, jak uciążliwa jest wojna. A jednak ciągle krąży samotnie ze swym automatem i zjawia się w obozie tylko po to, żeby już po kilku godzinach wyruszyć znowu, jak zawsze niechętnie, zupełnie jakby go ktoś do tego zmuszał.

Kiedy trzeba kogoś gdzieś posłać, Prosty rozgląda się dookoła i pyta:

- Kto chce iść?

Wtedy Kuzyn kiwa. swoją wielką głową, jakby był ofiarą niesprawiedliwego losu, zarzuca karabin na ramię i odchodzi, wzdychając, ze swą łagodną twarzą przypominającą maskarony z fontann.

Prosty leży wyciągnięty pośród rododendronów, z rękami pod głową i karabinem pomiędzy nogami. Z pewnością w dowództwie brygady przygotowują jakieś kroki przeciwko niemu. Ludzie mają zaspane oczy i nastroszone brody. Prosty nie patrzy w ich stronę, bowiem wyczytuje w ich spojrzeniach niemy wyrzut. A jednak

śluchają go jeszcze, jakby na podstawie obopólnego porozumienia, żeby nie wprowadzać anarchii. Tym niemniej Prosty jest czujny, co pewien czas wstaje i wydaje jakiś rozkaz. Chce, żeby ludzie ani na chwilę nie zapominali, że jest ich dowódcą, gdyż byłoby to. równoznaczne z utratą autorytetu.

Pina mało obchodzi, że chata się spaliła. Pożar był cudowny, a nowe obozowisko jest przepięknie położone. Pin boi się trochę zbliżyć do Prostego. Może Prosty zechce zwalić całą winę za pożar na niego, że otumaniał go swoją piosenką?

Ale Prosty wola go:

- Chodź, Pin!

Pin zbliża się do leżącego mężczyzny, lecz nie ośmiela się odezwać w swój zwykły sposób. Wie, że inni nienawidzą Prostego i boją się go, więc zbliżenie w takiej chwili wbija Pina w dumę, czuje się trochę jak jego wspólnik.

- Potrafisz czyścić pistolet? - pyta Prosty.

- Spróbuję - mówi Pin - rozłóż go, a ja wyczyszczę.

Pin jest dzieckiem, którego wszyscy się trochę boją z powodu tych jego konceptów, ale Prosty czuje, że dzisiaj Pin nie poruszy sprawy pożaru ani Giglii, ani innych rzeczy. Dlatego jest jedyną osobą, z którą może obcować.

Rozciąga chusteczkę na ziemi, rzuca na nią części pistoletu, w miarę jak go rozkłada, i uczy Pina jak się to robi. To jest cudowna rzecz rozmawiać tak z Prostym przyciszonym głosem, nie dokuczając sobie wzajemnie. Pin może teraz porównywać pistolet Prostego ze swoim, tym zakopany, i wymienia poszczególne części, które są inne i ładniejsze w jednym, bądź w drugim. A Prosty nie podaje w wątpliwość, jak to zwykle robi, że Pin ma zakopany pistolet. Może to nieprawda, że mu nie wierzyli; mówili tak tylko żeby mu zrobić na złość. W gruncie rzeczy Prosty też jest morowym chłopem, jak się z nim tak rozmawia, a kiedy tłumaczy działanie pistoletu, zapala się i obce mu są wszelkie złe myśli. Również i pistolety, kiedy się o nich rozprawia w ten sposób, badając ich mechanizm, nie są narzędziami służącymi do zabijania, lecz dziwnymi i cudownymi zabawkami.

Inni ludzie, przeciwnie, są szorstcy i obcy, nie zwracają uwagi na Pina, który kręci się dookoła, i nie mają ochoty śpiewać. Źle się dzieje, kiedy zniechęcenie przenika jak wilgoć ziemi do szpiku kości i nie ma się zaufania do dowódców: myślisz, że jesteś już Otoczony przez Niemców z miotaczami ognia rozmieszczonymi na stoku usianym alpejskimi różami, i zdaje ci się, że będziesz musiał uciekać z doliny w dolinę i ginąć jeden po drugim, a wojna nie skończy się chyba nigdy. W pewnej chwili ludzie rozpoczynają rozmowy o wojnie i o tym, kiedy się zaczęła i kto jej chciał, o tym, kiedy się skończy i czy będzie wtedy lepiej, czy gorzej, niż było przedtem.

Pin nie widzi wielkiej różnicy pomiędzy okresem -wojny i okresem, kiedy jej nie było. Wydaje mu się, że odkąd się urodził, zawsze słyszał o wojnie, tylko zaciemnienia i naloty pojawiły się później.

Co pewien czas przelatują nad górami samoloty i można przyglądać się ich brzuchom nie uciekając do piwnic jak w mieście. Potem daje się słyszeć głęboki odgłos bomb zrzuconych daleko, gdzieś nad morzem, i wówczas ludzie myślą o swych domach, być może leżących już w gruzach, i powiadają, że wojna nie skończy się nigdy oraz że nie można pojąć, kto jej właściwie chciał.

- Ja wiem, kto jej chciał! Ja ich widziałem!

- wykrzykuje Karabinier. - To studenci jej chcieli!

Karabinier jest jeszcze bardziej ciemny niż Książę i jeszcze bardziej leniwy niż Długi Zena. Kiedy jego ojciec, chłop, zrozumiał, że niesposób nauczyć go trzymać w garści motykę, powiedział mu: „Zaciągnij się do karabinierów.” Zaciągnął się więc, nosił czarny mundur z białym pasem i pełnił służbę w mieście i na wsi, nigdy nie rozumiejąc tego, co mu kazano robić. Po ósmym września kazano mu aresztować rodziców zbiegłych żołnierzy, aż pewnego dnia, gdy się dowiedział, że mają go wywieźć do Niemiec, gdyż mówiono, że jest za królem, uciekł z wojska. Partyzanci z początku chcieli go zabić za tych aresztowanych rodziców, później jednak, gdy zrozumieli, że jest tylko ograniczonym biedakiem, przydzielili go do oddziału Prostego, dlatego że żaden inny oddział nie chciał go przyjąć.

- W 1940 byłem w Neapolu i wiem dobrze, jak było! - mówi Karabinier. - To studenci jej chcieli! Nieśli sztandary i transparenty, śpiewali o Malcie i o Gibraltarze i wołali, że chcą jadać pięć razy dziennie.

- Siedz cicho, bo sam byłeś karabinierem - mówią mu - trzymałeś ich stronę i nosiłeś czerwone karteczki!

Książę spluwa ze złością, macając austriacki pistolet.

- Karabinierzy łajdaki, bękarty, śwynie! - mówi przez zęby.

W historii jego prowincji były 'długotrwałe walki z karabinierami, długie dzieje karabinierów zabijanych kulami u stóp kapliczek drogi krzyżowej.

Karabinier usiłuje protestować wymachując wielkimi chłopskimi rękami przed swymi maleńkimi oczkami ukrytymi pod niskim czołem.

- My, karabinierzy! My, karabinierzy, poszliśmy przeciwko nim! Tak, panowie, my byliśmy przeciwko wojnie, której chcieli studenci. Pełniliśmy służbę, żeby utrzymać porządek. Ale było nas jeden przeciwko dwudziestu i dlatego wybuchła wojna!

Mańkut stoi nie opodal i denerwuje się: miesza ryż w kotle i jeśli choć na minutę przestanie mieszać, ryż się przypali. Od czasu do czasu dochodzą do niego fragmenty rozmowy prowadzonej przez innych, a on chciałby zawsze znajdować się wśród nich, kiedy mówią o polityce, bo przecież nic nie wiedzą i trzeba, żeby on im wszystko wytłumaczył. Lecz w tej chwili nie może odejść od kotła i załamuje dłonie podskakując z niecierpliwości.

- Kapitalizm! - pokrzykuje od czasu do czasu. - Burżuazyjni wyzyskiwacze! - jakby chciał podszeptać te hasła ludziom, którzy nie chcą go słuchać.

- Tak, panowie, w 1940 w Neapolu - wyjaśnia Karabinier - była wielka bitwa pomiędzy studentami i karabinierami. I gdybyśmy my, karabinierzy, dołożyli im wtedy, nie byłoby wojny! Ale studenci chcieli podpalić magistrat!

Mussolini był zmuszony wypowiedzieć wojnę!

- Biedny Mussolini! - szydzą pozostali.

- Żeby cię diabli wzięli razem z twoim Mussolinim! - woła Książę.

Od strony kuchni dochodzą okrzyki Mańkuta, który wrzeszczy:

- Mussolini! Imperialistyczna burżuazja!

- Magistrat chcieli podpalić, magistrat! A my, karabinierzy, co mieliśmy robić? A przecież, gdyby udało się nam ich uspokoić, Mussolini nie urobiłby wojny!

Mańkut, walcząc pomiędzy obowiązkiem, który go zatrzymuje przy kotle, i ochotą, żeby iść rozprawiać o

rewolucji, wrzeszczał tak długo, aż przyciągnął uwagę Długiego Zena i dał mu znak, żeby się zbliżył. Długi Zena, zwany Drewnianą Czapką, przypuszczając, że chodzi o skosztowanie ryżu, decyduje się na wysiłek powstania z miejsca.

- Imperialistyczna burżuazja - mówi do niego Mańkut - powiedz im, że to burżuazja zrobiła wojnę, żeby podzielić się rynkami zbytu!

- Gówno! - odpowiada Zena i odwraca się plecami.

Rozmowy z Mańkutom nudzą go zawsze: nie rozumie tego, co on mówi, nic nie wie o burżuazji i o komunizmie, nie pociąga go świat, w którym wszyscy muszą pracować, woli taki, gdzie każdy urządza się na swój sposób, pracując w miarę możliwości jak najmniej.

- Prywatna inicjatywa! - ziewa Długi Zena, zwany Drewnianą Czapką, leżąc na brzuchu wśród alpejskich róż i drapiąc się przez dziury w portkach. - Ja tam jestem za prywatną inicjatywą. Żeby każdy mógł swobodnie wzbogacać się własną pracą.

Karabinier przedstawia dalej swoją koncepcję historii. Dwie siły starły się w walce: karabinierzy, biedni ludzie, którzy chcieli utrzymać porządek, i studenci, z gatunku grubych ryb, adwokatów, doktorów, kawalerów, komandorów, tacy, co mają dochody, o jakich biedny karabinier nawet nie marzy, ale im nawet i to nie wystarcza i wysyłają karabinierów na wojnę po to, żeby swoje zyski powiększyć.

- Nic nie rozumiesz - wyrwał się Mańkut, który nie mógł już wytrzymać i zostawił Pina, żeby pilnował kotła. - Przyczyną imperializmu jest nadprodukcja!

- Wracaj gotować! - krzyczą do niego. - Uważaj, żeby znowu ryż się nie przypalił!

Lecz Mańkut stoi pośrodku nich, mały i zanedbany, w tej swojej marynarskiej kurteczce poplamionej na ramionach łajnem sokoła i wymachuje rękami gadając bez końca: o imperializmie, o plutokracji, o handlarzach broni, o rewolucji, która, skoro tylko skończy się wojna, odbędzie się we wszystkich krajach, nawet w Anglii i w Ameryce, o zniesieniu granic w Międzynarodówce pod czerwonym sztandarem.

Ludzie leżą wśród rododendronów, z wychudłymi, zaroiętymi po oczy twarzami, z opadającymi na skronie włosami; noszą najrozmaitsze ubrania, których kolory zlewają się na ogół w jednolitą brudnoszarą barwę: kurtki strażackie, policyjne, niemieckie z odprutymi dystynkcjami. Przywiodły ich tu różne drogi. Jest wśród nich wielu dezertersów z faszystowskiej armii, uwolnionych jeńców, wielu młodych jeszcze chłopców pełnych upartego zapału i przepojonych jednym instynktownym pragnieniem przeciwstawienia się czemukolwiek.

Wszyscy oni uważają, że Mańkut jest antypatyczny, gdyż wyładowuje swą złość w słowach i w rozważaniach, a nie w strzałach; w rozważaniach, które nie zdadzą się na nic, bo mówi im o wrogach, których nie znają, o kapitalistach, o finansistach. Przypomina trochę Mussoliniego, który żądał, żeby nienawidzić Anglików i Abisyńczyków, ludzi, których się nigdy nie widziało, którzy żyją gdzieś za morzami. Więc partyzanci kpią z kucharza, skaczą mu 'okrakiem na krzywe, szczupłe ramiona, klepią go po wielkiej łysej czaszce, podczas gdy Babeuf wścieka się i toczy dokoła żółtymi oczyma.

Wtrąca się Prosty, który stoi w pewnym oddaleniu, huśtając karabin między kolanami:

- Idź gotować, Mańkut!

Prosty też nie lubi dyskutować. To znaczy, że lubi rozmawiać, ale tylko o broni i o akcjach, o tych nowych

automatycznych pistoletach, jakich zaczynają używać faszyci i w które dobrze byłoby się zaopatrzyć. Lecz przede wszystkim lubi wydawać rozkazy, poukrywać ludzi w zasadzce i nagle wyskoczyć strzelając krótkimi seriami.

- Przypala się ryż, idź, bo przypala się ryż, czy nie czujesz? - krzyczą ludzie do Mańkuta i wyrzucają go wśród kuksańców.

Mańkut wzywa na ratunek komisarza:

- Giacinto, komisarzu, i ty nie nie mówisz? Od czego tu jesteś? Mają rację, kiedy mówią, że to jest oddział faszystów! Tu nie można nawet rozmawiać o polityce!

Giacinto wrócił właśnie z dowództwa, lecz nie zdążył jeszcze powiedzieć, czy są jakieś nowiny; skulił się w ramionach i oznajmił tylko, że przed wieczorem przyjdzie na inspekcję komisarz brygady. Ludzie, dowiedziawszy się o tym, znów porozkładali się wśród krzaków róż alpejskich. Przyjdzie teraz komisarz brygady i wszystko doprowadzi do porządku, więc nie warto się nad niczym zastanawiać. Prosty też uważa, że nie ma po co rozmyślać i że komisarz brygady sam zakomunikuje mu, jaki go czeka los, więc również i on, mimo iż dręczą go pewne obawy, rozciągnął się wśród rododendronów łamiąc w palcach gałązki krzewów.

W tej chwili Mańkut skarży się przed Giacinto, że nikt w oddziale nie mówi nigdy ludziom, o co walczą i co to jest komunizm. Giacinto ma mnóstwo wszy, które gnieźdzą mu się na głowie przy korzonkach włosów i wśród owłosienia podbrzusza. Do każdego włosa przyklepione są maleńkie białe jajeczka i Giacinto gestem, który stał się już u niego mechaniczny, bez przerwy rozgniata insekty i ich jajeczka pomiędzy paznokciami kciuków, czemu towarzyszy delikatny trzask.

- Chłopcy - zaczyna pełen rezygnacji, jakby nie chciał nikogo urazić, nawet Mańkuta - każdy z was wie, dlaczego został partyzantem. Ja byłem blacharzem i łąziłem po wsiach, mój głos słyhać było z daleka i kobiety wynosiły dziurawe garnki, żeby mi je dać do reperacji. Chodziłem po domach, przekomarzałem się ze służącymi i czasami dawano mi jajka, szklanek wina. Siadałem na łące i lutowałem naczynia, a dokoła mnie *zawsze* gromadziły się dzieci, które przyglądały się mojej robocie. Teraz nie mogę już krążyć po wsiach, bo zaaresztowano by mnie, a poza tym są naloty, które niszczą wszystko. Właśnie dlatego jesteśmy partyzantami: żeby móc znowu być blacharzem, żeby było tanie wino i jajka, żeby nie była już aresztowań i alarmów. Poza tym chcemy też komunizmu. Komunizm jest wtedy, kiedy nie ma już domów, w których zamykają ci drzwi przed nosem, a ty, żeby spędzić noc, musisz włączyć do kurników. Komunizm polega na tym, że kiedy wchodzisz do domu i akurat jedzą zupę, dają ci zupę, nawet jeżeli jesteś blacharzem; a kiedy na Boże Narodzenie jedzą słodkie ciasto a rodzynkami, dają ci słodkie ciasto z rodzynkami. Oto, czym jest komunizm. Na przykład: jesteśmy tu wszyscy pełni wszy, tak że wiercimy się nawet przez sen, bo one wszędzie się za nami wloką. A ja poszedłem do dowództwa brygady i zobaczyłem, że mieli tam proszek przeciwko insektom. Więc powiedziałem im: „Jesteście dobrymi komunistami, a nie rozsyłacie tego do oddziałów.” A oni odpowiedzieli, że przysłał nam proszek przeciwko insektom. Oto, czym jest komunizm.

Ludzie słuchają uważnie i potakują. To są słowa, które wszyscy dobrze rozumieją. I ten, kto właśnie palił, oddaje niedopałek towarzyszowi, a ten, który miał iść na wartę, postanawia sobie, że nie będzie oszukiwał, jeśli chodzi o kolejkę, i będzie stał dokładnie tyle, ile się należy, nie domagając się zmiany. Teraz rozmawiają o proszku przeciwko owadom, który mają im przysłać: czy zabija również jajka, czy tylko wszy? A może oszaleł je tylko chwilowo, tak że po godzinie gryzą jeszcze bardziej niż przedtem?

I nikomu nie przyszłoby nawet na myśl, żeby znów rozprawiać o wojnie, gdyby nie odezwał się Kuzyn:

- Mówcie, co chcecie, ale według mnie wojny chciały kobiety.

Kuzyn jest jeszcze bardziej nudny niż kucharz, kiedy zaczyna gadać swoje o kobietach, ale przynajmniej nie pragnie nikogo przekonywać i, jak się zdaje, uważa się w swoim własnym imieniu.

- Byłem w Albanii, byłem w Grecji, byłem we Francji, byłem w Afryce - mówi - służyłem przez osiemdziesiąt trzy miesiące w strzelcach alpejskich. I we wszystkich tych krajach widziałem burdele pełne kobiet, do których żołnierze ustawiali się w kolejkach, burdele dla podoficerów i burdele dla oficerów. I widziałem też kobiety nie z burdeli, które chodziły z żołnierzami na łąki albo prowadziły ich do domu. Wszystkie wyczekiwały na żołnierzy, którzy wychodzili na przepustki, i im bardziej byliśmy śmierdzący i zawszeni, tym bardziej były zadowolone. Pewnego razu dałem się namówić, a jedynym dobrodziejstwem, jakie z tego wyniosłem, było to, że zaraziłem się i przez trzy miesiące musiałem czepiać się ściany, żeby się wysuszyć. Jak ktoś znajdzie się w dalekich stronach i nie widzi dookoła siebie innych kobiet tylko właśnie takie, znajduje jedyną pociechę w rozmyśleniu o swoim domu, o swojej żonie, jeśli jest żonaty, lub o narzeczonej i powiada sobie: „Przynajmniej ta moja ocalała. „ Ale potem wraca i dowiaduje się, że kiedy go nie było, jego żona korzystała z pomocy innych, tak, panowie, i sypiała z niejednym. Mówię w tej chwili o jednostce, choć mam na myśli wszystkich, bo przytrafiało się to wszystkim, ktokolwiek miał do czynienia z tą plugawą rasą, jaką są kobiety.

Towarzysze dobrze wiedzą, że taka jest właśnie historia Kuzyna, którego żona podczas jego nieobecności zdradzała ze wszystkimi i rodziła dzieci nie wiedząc nawet, z kim je ma.

- Ale to jeszcze nie wszystko - ciągnie dalej Kuzyn. - Czy wiecie, dlaczego faszyci nieustannie aresztują naszych? Dlatego, że jest pełno kobiet, które zajmują się szpiegostwem, pełno żon, które wydają własnych mężów. W tej chwili, kiedy do was mówię, wszystkie nasze kobiety siedzą na kolanach faszystów i czyszczą im broń, która ma służyć po to, żeby nas zabijać.

Teraz ludzie mają już dosyć i zaczynają protestować: więc dobrze, wiemy, że Kuzyn jest nieszczęśliwy, że jego żona zadenuncjowała go przed Niemcami, zmuszając go w ten sposób do pójścia do lasu, ale to nie jest dostateczny powód, żeby obrażać żony innych.

- Kobiety, kobiety, mówię wam - upiera się Kuzyn - one są przyczyną wszystkiego. Pomysł wojny podsunęły Mussoliniemu siostry Petacci.

Ludzie robią złośliwe uwagi i podkpiwają z Kuzyna: na pewno nie siostry Petacci kazały Mussoliniemu wypowiedzieć wojnę!

- Patrzcie tylko - mówi Kuzyn - wystarczy, że przyjdzie gdzieś kobieta i... zaraz wam wyjaśnię...

Teraz ludzie już nie przeszkadzają, bo zrozumieli aluzję i chcieliby usłyszeć, jak daleko się posunie.

- ... przyjdzie gdzieś kobieta i zaraz się znajdzie jakiś głupiec, który traci dla niej głowę - mówi Kuzyn.

Kuzyn jest typem, który woli być w przyjaźni ze wszystkimi, ale ma niewyparzony język i kiedy ma coś do powiedzenia, mówi to nawet dowódcom.

- Mniejsza z tym, kiedy ten głupiec jest byle kim, ale jeżeli jest to głupiec, który ponosi odpowiedzialność...

Ludzie spoglądają na Prosteego: siedzi w pewnym oddaleniu, lecz na pewno słucha. Trochę się obawiają, że Kuzyn zabrnął zbyt daleko i wyniknie skandal.

- ... kończy się na tym, że przez kobietę podpala dom...

„A więc powiedział - myślą ludzie. - Teraz coś się stanie. Może to i lepiej - powiadają sobie - prędzej czy później musiało to przecież nastąpić.”

Lecz w tej chwili daje się słyszeć głuchy pomruk i niebo pokrywa się samolotami. Odwraca to ogólną uwagę. Nadciąga wielka formacja bombowców; może po jej przelocie jakieś miasto zamieni się w ruiny i zgliszcza, podczas gdy samoloty znikną za chmurami. Pin czuje drżenie ziemi i grozę tonowych bomb, które przesuwiają się nad jego głową. W tej chwili Stare Miasto wyludnia się i biedni ludzie uciekają do zabloconych piwnic. W stronie południowej słychać głuche wybuchy.

Pin widzi, jak Prosty wchodzi na niewielkie wzniesienie i patrzy przez lornetkę w wylot doliny. Zbliży się do niego. Prosty uśmiecha się swoim złym i smutnym uśmiechem, obracając śrubki soczewek.

- Dasz mi później popatrzeć, Prosty? - pyta Pin.

- Masz - mówi Prosty i podaje mu lornetkę.

W barwnym kalejdoskopie soczewek zwolna ukazują się szczyty gór najbliższych od strony morza i wznoszący się wielki, białawy dym. A tam nowe wybuchy: bombardowanie trwa.

- Patrz, zrzuca wszystko! - woła Prosty uderzając pięścią w dłoń. - Najpierw w mój dom! Zrzuca wszystko! Najpierw w mój dom!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pod wieczór przybył komendant Ferriera i komisarz Kim. Na dworze wznoszą się nieustannie ciężkie opary mgły, a w izbie ludzie skupiają się wokół ognia i dwóch przybyszów z brygady. Nowoprzybyli puszczają w obieg wśród ludzi paczkę papierosów, dopóki się całkowicie nie opróżni. Obaj są małowówni. Ferriera jest krępy, ma jasną bródkę, alpejski kapelusz, wielkie, jasne i zimne oczy, które zawsze podnosi jedynie do połowy, spoglądając spode łba. Kim jest chudy, z długą, czerwonałą twarzą i wciąż przygryza wąsy.

Ferriera, robotnik, urodzony w górach, jest zawsze chłodny i opanowany, słucha wszystkich z lekkim, zachęcającym uśmiechem, choć już uprzednio powziął samodzielną decyzję: w jakim szyku ustawić brygadę, jak rozmieścić cekaemy, kiedy wprowadzić do akcji moździerz. Wojna partyzancka jest dla niego czymś doskonałym i precyzyjnym jak maszyna, jest rewolucyjnym dążeniem dojrzałym w fabrykach, a przeniesionym na teren jego gór, gdzie Ferriera zna każdy najmniejszy zakątek i gdzie może wygrywać śmiałością i podstępem.

Natomiast Kim jest studentem. Czuje nieodpartą potrzebę logiki, pewności przyczyn i skutków, a jednak jego umysł wypełniony jest ustawicznie nie rozwiązanymi pytaniami. Tkwi w nim ogromna ciekawość człowieka i dlatego studiuje medycynę, gdyż wie, że wyjaśnienie wszystkich spraw leży w tym skupisku żywych komórek, nie zaś w kategoriach filozoficznych. Będzie lekarzem mózgów: psychiatrą. Ludziom nie wydaje się sympatyczny: wpatruje się im zawsze nieruchomo w oczy, jakby chciał odgadnąć najskrytsze myśli, i nagle wyskakuje z natarczywymi pytaniami, pytaniami, które właściwie nie mają żadnego związku i dotyczą osobistego życia człowieka lub jego dzieciństwa. Następnie, oprócz ludzi, interesuje go wielka machina kolejności wydarzeń, machina pobudzana małymi codziennymi sprawami, machina, w której wszystkie inne sprawy spalają się bez śladu: historia. W historii, podobnie jak w głowie człowieka, wszystko musi być logiczne, wszystko musi być zrozumiałe; istnieje jednak pomiędzy nimi przepaść, jakaś ciemna strefa, w której przyczyny zbiorowe stają się przyczynami indywidualnymi z potwornymi odchyleniami i nieprzewidzianymi powiązaniem. I komisarz Kim krąży co dzień od oddziału do oddziału ze starym stnem zawieszonym na szyi, dyskutuje z komisarzami, z dowódcami, studiuje charaktery, analizuje stosunek człowieka do człowieka, rozkłada każde zagadnienie na poszczególne elementy: a, b, c. Wszystko musi być jasne, zupełnie jasne w innych, podobnie jak w nim samym.

W tej chwili ludzie skupili się wokół Ferriery i Kima i pytają o wiadomości z wojny: tej odległej, wojny wojskowych frontów, i tej bliskiej i groźnej, która jest ich wojną. Ferriera wymienia miejsca na południu, gdzie Anglicy tkwią nieruchomo, od miesięcy, i ludzie wymyślają na Anglików, którzy są zdolni tylko do tego, żeby bombardować ich domy, a nie są w stanie posuwać się naprzód ani nawet zdobyć się na zrzuty. Ferriera wyjaśnia, że nie trzeba niczego oczekiwać od Anglików, że sami także potrafią stawić czoło wrogom. Następnie podaje wielką nowinę dnia: niemiecka kolumna posuwa się w kierunku doliny, żeby przetrząsnąć wszystkie okoliczne góry. Znają miejsca partyzanckich obozowisk i będą podpalać domy i osiedla. Ale o świcie cała brygada obsadzi szczyty gór, przyjdą również posiłki z innych brygad, i ciągnący drogą Niemcy znajdą się nagle pod nawałą żelaza i ognia i będą musieli zarządzić odwrót.

Wśród ludzi rozpoczyna się ogólne poruszenie: potrząsają głowami, wzruszają ramionami, wymachują rękoma i wykrzykują słowa przez zaciśnięte zęby. Bitwa już się w nich rozpoczęła: mają twarze bojowe, twarde i pełne napięcia, szukają dokoła broni, chcą czuć w dłoni zimne żelazo.

- Zobaczyli pożar i przychodzą, spodziewaliśmy się tego - mówi któryś z nich.

Prosty stoi w pewnym oddaleniu, blask światła pada na jego opuszczone powieki.

- Pożar, pewnie, również i pożar. Ale jest jeszcze coś innego - mówi Kim i powoli wypuszcza kłęby dymu. Ludzie milkną, nawet Prosty podnosi oczy.

- Jeden z naszych zdradził - mówi Kim.

Atmosfera staje się od razu napięta, jakby powiał wiatr, który przenika do kości, zimna i wilgotna atmosfera zdrady, jak wiatr znad moczarów, który odczuwa się za każdym razem, kiedy do oddziału dotrze podobna wiadomość.

- Kto?

- Skóra. Zgłosił się do czarnej brygady. Tak po prostu, z własnej woli, nie będąc aresztowanym. Przyczynił się już do rozstrzelania czterech naszych, którzy siedzieli w więzieniu. Bierze udział w przesłuchaniach każdego, kto tylko zostanie aresztowany, i sypie wszystkich.

Jest to jedna z tych wiadomości, które wlewają w krew głuchą rozpacz i przeszkadzają myśleć. Zaledwie kilka dni temu Skóra był jeszcze tutaj razem z nimi i mówił: „Słuchajcie, przygotujemy takie uderzenie, jak ja wam mówię!” Wydaje się niemal dziwne, że nie słycać tuż obok jego chorobliwego oddechu, gdy zabiera się do oliwienia karabinu maszynowego na jutrzejszą akcję. Ale teraz Skóra jest tam, w zakazanym mieście, z wielką trupią czaszką na czarnym berecie, ma nowiutką i wspaniałą broń, nie boi się już aresztowań, jest pełen zawziętości, którą od razu można poznać, bo mruga wtedy zaczerwienionymi od przeziębienia oczkami i oblizuje spieczone wargi, pełen zawziętości na nich, jego wczorajszych towarzyszy, zawziętości bez gniewu bądź urazy, zupełnie jak w grze w gronie kolegów, w grze, której stawką jest śmierć.

Pin przypomina sobie nagle o swoim pistolecie. Może Skóra, który zna wszystkie ścieżki wokół fosy, bo chodził tam ze swoimi dziewczynami, znalazł jego pistolet i nosi go teraz przy mundurze czarnej brygady, cały lśniący i naoliwiony, tak jak to on zwykł utrzymywać broń? A może to była nieprawda, że znał on miejsce, gdzie są pajęczce gniazda, po prostu bajeczka wymyślona, żeby pójść do miasta, zdradzić towarzyszy i mieć jako wyposażenie nową niemiecką broń, która strzela prawie bezgłośnie?

- Teraz trzeba go zabić - mówią towarzysze.

Mówią to, jakby godzili się z fatalnością, i być może w głębi duszy woleliby, żeby wrócił do nich jutro, obładowany nową bronią, walczył to razem z nimi, to znów (przeciwko nim, prowadząc tę swoją ponurą grę.

- Czerwony Wilk poszedł już do miasta,
żeby zorganizować na niego Gap - mówi Ferriera.

- Ja bym też poszedł - padają z różnych stron głosy. Lecz Ferriera mówi, że trzeba raczej pomyśleć o przygotowaniach do jutrzejszej bitwy, która będzie bitwą decydującą, więc ludzie rozchodzą się, żeby przejrzeć broń i rozdzielić zadania w pododdziałach.

Ferriera i Kim odwołują na bok Prostego.

- Otrzymaliśmy raport o pożarze - mówią.

- Tak było - odpowiada Prosty. - Nie mam zamiaru się usprawiedliwiać. Teraz róbcie, co chcecie.

- Czy są ludzie, którzy ponoszą odpowiedzialność za pożar? - pyta Kim.

Prosty odpowiada:

- Wina spada tylko na mnie.

Obaj przybysze spoglądają na niego poważnie. Prostemu przychodzi na myśl, że byłoby dobrze porzucić oddział i ukryć się w pewnym znanym mu miejscu, oczekując tam końca wojny.

- Czy masz coś na swoje usprawiedliwienie? - pytają go znowu z cierpliwością, która aż denerwuje.

- Nie. Tak właśnie było.

Teraz powiedzą: „Wynoś się” lub: „Rozstrzelamy cię.” Tymczasem Ferriera oznajmia:

- Dobrze. Będziemy mieli czas pomówić o tym innego dnia. Teraz będzie bitwa. Czujesz się dobrze, Prosty?

Prosty wbił żółte oczy w ziemię.

- Jestem chory - mówi.

- Chodzi o to - odpowiada Kim - żebyś spróbował się wyleczyć na jutro. Jutrzejsza bitwa będzie dla ciebie bardzo ważna. Bardzo, bardzo ważna. Pomyśl o tym.

Nie spuszcza z niego oczu i Prosty coraz bardziej czuje ochotę całkowitego wyłączenia się z biegu wydarzeń.

- Jestem chory. Jestem bardzo chory - powtarza.

- A więc - mówi Ferriera - jutro będziecie musieli utrzymać szczyt Pellegrino od przełęczy aż do, drugiego wąwozu, rozumiesz mnie? Później nastąpi zmiana pozycji, przyjdą nowe rozkazy. Musisz dobrze rozlokować plutony i drużyny, karabiny maszynowe z pełną obsługą i wyborowych strzelców, tak żeby można było w miarę potrzeby zmienić ich stanowiska. Wszyscy ludzie muszą wziąć udział w akcji, bez żadnych wyjątków, nawet kwatermistrz, nawet kucharz.

Prosty słucha wyjaśnień, lekko przytakując.

- Bez żadnych wyjątków - powtarza - nawet kucharz? - i staje się uważny.

- Wszyscy skoro świt na szczycie góry, zrozumiałeś? - Kim patrzy na niego przygryzając wąsy. - Uważaj, Prosty, żebyś dobrze zrozumiał.

Wydaje się, że w jego głosie zabrzmiała jakaś cieplejsza nuta, lecz może jest to po prostu przekonywający ton, ze względu na znaczenie bitwy.

- Jestem bardzo chory - powtarza Prosty - bardzo chory.

Teraz komisarz Kim i komendant Ferriera idą sami przez pogrążone w mroku góry, kierując się do innego oddziału.

- Czy przekonałeś się, że to był błąd? - pyta Ferriera.

Kim potrząsa przecząco głową.

- To nie był błąd.

- Ależ tak - upiera się komendant. - Twój pomysł utworzenia oddziału całkowicie złożonego z niepewnych ludzi z jeszcze mniej pewnym dowódcą był błędem. Widzisz, jakie są rezultaty. Gdybyśmy rozdzielili ich po trochu pomiędzy dobre oddziały, wywiązywaliby się lepiej z powierzonych im zadań.

Kim nie przestaje przygryzać wąsów.

- Jeżeli o mnie chodzi, to jest oddział, z którego jestem najbardziej zadowolony.

Mało brakuje, żeby Ferriera utracił swój spokój. Podnosi zimne oczy i drapie się w czoło.

- Ależ, Kim, kiedy ty wreszcie zrozumiesz, że jesteśmy brygadą szturmową, a nie laboratorium doświadczalnym? Rozumiem, że miałbyś naukową satysfakcję badać reakcje tych ludzi, wszystkich ustawionych w należytym porządku, tak, jak chciałbyś to zrobić: proletariat po jednej stronie, chłopci po drugiej, dalej lumpenproletariat, jak ty to nazywasz. Wydaje mi się, że praca polityczna, którą musisz wykonywać, powinna polegać na zmieszaniu ich wszystkich, wpojeniu świadomości klasowej tym, którzy jej nie mają, i na osiągnięciu tej błogosławionej jedności. Nie mówiąc o sprawności wojskowej...

Kim ma trudności w wysławianiu się, potrząsa głową.

- Bajki - mówi - bajki. Wszyscy ludzie walczą przepojeni tym samym zapalem; to jest nie tym samym, każdy ma swój własny zapal, lecz teraz walczą wszyscy razem, wszyscy jednakowo, zjednoczeni. Poza tym jest Prosty, jest Skóra... Nie rozumiesz, ile ich kosztuje... Otóż nawet oni, ten sam zapal... Wystarczy błahostka, żeby ich ocalić albo żeby ich stracić... To właśnie jest praca polityczna. Wpój w nich przekonanie...

Kiedy Kim dyskutuje z ludźmi, kiedy analizuje sytuację, jest zadziwiająco jasny, dialektyczny. Lecz kiedy rozmawia tak z nimi w cztery oczy, chcąc przedstawić im swoje myśli, przyprawia ich o zawrót głowy.

Ferriera widzi rzeczy w sposób bardziej uproszczony.

- Dobrze, wpojmy w nich to przekonanie, ogładzimy ich nieco, jak to ja zwykle mawiam.

Kim przygląda wężowi.

- Widzisz, to nie jest wojsko, żeby im można było mówić: „To jest wasz obowiązek.” Tutaj nie możesz mówić o obowiązku, nie możesz mówić o ideałach: o ojczyźnie, wolności, komunizmie. Oni nie chcą słuchać o ideałach; wszystkie ideały można posiadać, również i druga strona ma swoje ideały. Widzisz, co się dzieje, kiedy ten kucharz ekstremista zaczyna swoje kazania? Sprzeciwiają mu się, biją go. Nie potrzebują ideałów, mitów, okrzyków: Niech żyje! Tu walczą się i umiera tak po prostu, bez okrzyków: Niech żyje!

- Więc dlaczego?

Ferriera wie, dlaczego on walczą, w nim wszystko jest doskonale jasne.

- Widzisz - mówi Kim - w tej chwili oddziały zaczynają wychodzić w milczeniu na pozycje. Jutro będą zabici i ranni. Oni o tym wiedzą. Powiedz mi, co ich skłania do takiego życia, co ich popycha do walki? Widzisz, są tutaj chłopci, mieszkańcy tych gór, z nimi już jest łatwiej. Niemcy palą wsie, uprowadzają bydło. Ich wojna jest przede wszystkim wojną ludzką, obroną ojczyzny. Chłopci mają ojczyznę. Dlatego widzisz ich wśród nas, widzisz ich starych i młodych, w tych swoich barchanowych myśliwskich kurtkach, uzbrojonych w stare strzelby, widzisz całe wsie, które chwytają za broń. My bronimy ich ojczyzny, więc oni są z nami. I ojczyzna staje się naprawdę ich ideałem, porzywa ich, jest sprawą, o którą walczą. Poświęcają nawet domy, nawet krowy, aby tylko dalej walczą. Tymczasem dla innych chłopów ojczyzna pozostaje czymś egoistycznym: dom, krowy, zbiory. I żeby zachować wszystko, stają się szpiclami, faszystami, całe wsie to nieraz nasi wrogowie... Następnie robotnicy. Robotnicy mają swoją historię płac, strajków, pracy i uporczywej walki. Robotnicy stanowią klasę. Wiedzą, że w życiu jest coś lepszego, i o to lepsze walczą.

Oni również mają ojczyznę, ojczyznę, którą trzeba dopiero zdobyć, i walczą tu o to, żeby ją zdobyć. Tam, w miastach, są fabryki, które będą ich. Widzą już czerwone napisy na murach fabryk i wznoszące się nad kominami sztandary. Ale nie ma w nich sentymentalizmu. Rozumieją rzeczywistość i znają sposób, żeby ją zmienić. Dalej jest

tu i ówdzie niewielu inteligentów albo studentów, z głowami pełnymi niejasnych i często opacznych myśli. Mają ojczyznę opartą o słowa lub co najwyżej o jakąś książkę. Ale walcząc rozumieją, że słowa nie mają już żadnego znaczenia, i odkrywają w walce nowe rzeczy i dlatego będą walczyć nie pytając o nic, dopóki nie poszukają sobie nowych słów i nie odnajdą starych, lecz zmienionych, o nieoczekiwanym znaczeniu. Któż jeszcze jest? Cudzoziemscy jeńcy, którzy uciekli z obozów i poszli z nami. Ci walczą o ojczyznę prawdziwą i własną, o daleką ojczyznę, do której chcą powrócić i 'która jest ojczyzną właśnie dlatego, że jest daleka. Ale czy rozumiesz, że cała ta walka jest walką symboliczną, że ktoś, kto zabija Niemca, musi myśleć nie o tym Niemcu, lecz o innym, bawiąc się aż do szaleństwa w jakieś przedstawienia, w wyniku czego każda rzecz lub każda osoba staje się chińskim cieniem, mitem?

Ferriera skubie jasną bródkę; on nie dostrzega tego wszystkiego.

- Nie jest tak - mówi.

- Nie jest tak - kontynuuje Kim - ja też o tym wiem. Nie jest tak. Gdyż jest coś innego, coś, co wspólne jest wszystkim: zawziętość. Weź oddział Prostego: złodziejzki, karabinierzy, żołnierze, czarnogieldziarze, włóczędzy. Ludzie, którzy przystosowują się do plag społecznych, urządzają się wśród różnych wypaczeń, nie mają nic do stracenia i niczego nie pragną zmieniać. Albo upośledzeni fizycznie, albo zwariowani, albo fanatycy. Tak są związani z kołem, które ich przygniata, że rewolucyjna myśl nie może się wśród nich zrodzić- Lub też zrodzi się wypaczona, jako dziecko wściekłości i upokorzenia, zupełnie jak w bredniach tego kucharza ekstremisty, przypominających wrzaski jego sokoła uwięzowanego na łańcuchu. Więc dlaczego walczą? Nie mają żadnej ojczyzny, ani prawdziwej, ani wymyślonej. A przecież wiesz, że również w nich jest odwaga i nienawiść. Jest zadawniona zawziętość, która wlecze się za nimi od dzieciństwa, płonąca lub przygaszona. Jest zniewaga całego ich życia, ciemność ich drogi, brud ich mieszkań, plugawe słowa, które znają od dzieciństwa, trud, jakiego wymaga konieczność, żeby być złym. I wszystko to składa się na nienawiść, nienawiść anonimową, bezprzedmiotową, ślepa, która znajduje tutaj wyładowanie, staje się karabinowym strzałem, wykopaną mogiłą, gorzką żądzą wroga. I wystarczy błahostka, jeden fałszywy krok, jedno zbyteczne uniesienie, żeby się znaleźć jak Skóra po drugiej stronie, w czarnej brygadzie, i strzelać z tą samą zawziętością, z tą samą nienawiścią do jednych co do drugich, wszystko jedno.

Ferriera mruczy w brodę:

- Więc duch naszych... i duch czarnej brygady... to zupełnie to samo?...

- To samo, zrozum, co chcę powiedzieć, to samo... - Kim zatrzymał się i wskazuje palcem, zupełnie jakby czytając zaznaczał miejsce, w którym przerwał. - To samo, a jednak zupełnie co innego. Bo tu jest się na słusznej drodze, podczas kiedy tam się błądzi. Tutaj coś się rozwiązuje, a tam zacieśnia się kajdany. Ten ciężar zła, który przytłacza ludzi Prostego, ten ciężar, który przytłacza nas wszystkich, mnie, ciebie, ta zadawniona zawziętość, która tkwi w każdym z nas i wyładowuje się w strzałach, w zabitych wrogach, jest tą samą zawziętością, która każe strzelać faszystom, która zmusza ich do zabijania z tą samą nadzieją oczyszczenia i odkupienia. Ale przecież jest historia. My w historii jesteśmy po stronie odkupienia, oni są po stronie przeciwnej. U nas nic nie jest stracone, żaden czyn, żaden wystrzał, choć taki sam jak ich, rozumiesz mnie? Żaden wystrzał, choć łąki sam jak ich, nie jest stracony, wszystko będzie służyć jeśli nie do uwolnienia nas samych, to do uwolnienia naszych dzieci, do stworzenia ludzkości już bez gniewu, pogodnej, w której wreszcie można będzie nie być złym. Druga strona jest stroną

daremnej wściekłości, chybionych czynów, daremnych i chybionych, nawet jeśli zwycięży, nie tworzy bowiem historii, nie służy do uwolnienia, od tej zawziętości i tej nienawiści, lecz do ich wzmocnienia i utrwalenia, aż do chwili kiedy po upływie dalszych dwudziestu, stu lub tysiąca lat znów się spotkamy, my i oni, żeby walczyć z tym samym błyskiem nienawiści w oczach, walczyć jak zawsze, może nawet o tym nie wiedząc, my, żeby odzyskać wolność, oni, żeby pozostać niewolnikami. Takie jest prawdziwe znaczenie walki, znaczenie prawdziwe, całkowite, niezależne od wszelkich znaczeń oficjalnych. Pobudka ludzkiego, elementarnego, bezmiennego uwolnienia od wszystkich naszych upokorzeń: dla robotnika od wyzysku, dla chłopca od ciemnoty, dla drobnomieszczanina od najrozmaitszych zakazów, dla pariasów od zepsucia. Uważam, że nasza praca polityczna powinna polegać na wykorzystaniu nawet naszej nędzy ludzkiej, na wykorzystaniu jej przeciwko sobie samej, dla naszego wybawienia, podobnie jak faszyci wykorzystują nędzę dla utrwalenia nędzy i jak wykorzystują człowieka przeciwko człowiekowi.

Pośród ciemności widać jedynie błękit oczu Ferriery i jego jasną brodę. Potrząsa głową. On nie wie, co to jest zawziętość: jest dokładny jak mechanik i praktyczny jak góral, walka jest dla niego precyzyjną maszyną, maszyną, której działanie i cel, są znane.

- Wydaje się czymś niemożliwym - mówi - wydaje się czymś niemożliwym, że z takim chaosem w głowie potrafisz być dobrym komisarzem i z taką jasnością rozmawiać z ludźmi.

Kimowi nie jest przykro, że Ferriera nie rozumie: do takich ludzi jak Ferriera należy mówić używając terminów ścisłych, powinno się im mówić: a, b, c; albo są rzeczy pewne, albo są „bujdy”, nie ma dla nich zagadnień wątpliwych i niejasnych. Ale Kim nie myśli tak dlatego, żeby miał uważać się za coś lepszego od Ferriery; dąży do tego, aby móc rozumować jak Ferriera, nie mieć innej rzeczywistości poza rzeczywistością Ferriery, gdyż wszystko inne jest bezużyteczne.

- Więc dobrze. Do widzenia.

Doszli do miejsca, w którym ich drogi rozchodziły się. Teraz Ferriera pójdzie do Nogi, a Kim do Błyskawicy. Muszą dokonać inspekcji wszystkich oddziałów jeszcze tej macy, zanim rozpocznie się bitwa, więc trzeba, żeby się rozstali.

Wszystko inne jest bezużyteczne. Kim idzie sam ścieżkami, z zawieszoną na ramieniu nędzną bronią, która przypomina złamaną kulę: sten. Wszystko inne jest bezużyteczne. W ciemnościach nocy pnie drzew mają dziwne, ludzkie kształty. Człowiek dźwiga w sobie swoje dziecinne obawy przez całe życie. „Może - myśli Kim - gdybym nie był komisarzem brygady, bałbym się. Ostatecznym celem człowieka. jest dojść do tego, żeby nigdy nie odczuwać strachu.”

Kim jest logiczny, kiedy analizuje z komisarzami sytuacje, w jakich znajdują się oddziały, lecz kiedy rozmyśla krocząc samotnie ścieżkami, rzeczy stają się znów tajemnicze i magiczne, a życie ludzkie pełne cudów. „Ciągle jeszcze mamy głowę wypełnioną cudami i czarami” - myśli Kim. Niekiedy wydaje mu się, że idzie przez świat symboli, jak mały Kim w sercu Indii, w książce Kiplinga tyle razy czytanej w dzieciństwie.

„Kim... Kim... Kto to jest Kim?... „ Dlaczego tej nocy idzie przez góry, przygotowuje bitwę, bierze odpowiedzialność za życie i śmierć, mając za sobą melancholijne dzieciństwo dziecka bogatych rodziców i wyblakłą młodość nieśmiałego chłopca? Czasami wydaje mu się, że padł ofiarą zaburzeń umysłowych, że działa pod

wpływem hysterii. Ale nie, myśli jego są logiczne, może analizować każdą rzecz z doskonałą jasnością. A jednak nie jest człowiekiem pogodnym. Pogodni byli jego rodzice, jego mieszczańscy dziadkowie, którzy tworzyli bogactwo. Pogodni są proletariusze, którzy wiedzą, czego chcą, chłopci, którzy w tej chwili czuwają na posterunkach w swoich wsiach, pogodni są ludzie radzieccy, którzy zdecydowali już o wszystkim i teraz prowadzą wojnę zapamiętałe i metodycznie, nie dlatego, żeby to było piękne, lecz dlatego, że trzeba. Czy on, Kim, nigdy nie będzie pogodny? Może. przyjdzie dzień, w którym wreszcie wszyscy będziemy pogodni i nie będziemy już rozumieli wielu rzeczy, ponieważ zrozumiemy wszystko. Obecnie przywiązujemy jeszcze wielkie znaczenie do spraw, które nie istnieją.

Bolszewicy! Związek Radziecki jest już może krajem pogodnym. Może nie ma już tam nędzy ludzkiej. Tutaj ludzie mają jeszcze posępne spojrzenia i złe twarze. Ale Kim jest przywiązany do tych ludzi. Pulsuje w nich wybawienie. Ten chłopczyk w oddziale Prostego, jakże się on nazywa? Pin? Z tą wściekłą pasją na piegowej twarzy, nawet wtedy kiedy się uśmiecha... Mówią, że jest podobno bratem prostytutki. O co walczy? Sam o tym nie wie, że walczy o to, żeby nie być więcej bratem prostytutki. A tych czterech. szwagrów, „chamów” walczy o to, żeby nie być już „chamami”, biednymi emigrantami, na których patrzą jak na obcych. A ten Karabinier walczy, żeby nie czuć się już karabinierem, siepaczem żyjącym kosztem bliźnich. Następnie Kuzyn, olbrzymi, dobry i bezlitosny Kuzyn... Mówią, że nienawidzi kobiet i że zawsze chce wykonywać wyroki na tych, które uprawiają szpiegostwo... Wszyscy mają ukryte rany i walczą, żeby się od nich wybawić. Czyżby również Ferriera? Być może także i Ferriera: 'wściekłość, że nie może pchnąć świata na takie tory, na jakie pragnie. Czerwony Wilk nie. Dla Czerwonego Wilka wszystko, czego zapragnie, jest możliwe. Trzeba sprawić, żeby chciał rzeczy słusznych. Jest to praca polityczna, praca komisarza. I nauczyć go, że słuszne jest to, czego pragnie. To również jest praca polityczna, praca komisarza. „Może pewnego dnia nie będę już pojmował tych wszystkich spraw - myśli Kim - wszystko we mnie będzie jasne i zacznę rozumieć ludzi w inny sposób, być może słuszniejszy. Dlaczego: może? Więc dobrze, nie będę już mówił: może, słowo to przestanie we mnie istnieć. Każę rozstrzelać Prostego. W tej chwili jestem za bardzo związany z nimi i ze wszystkimi ich wypaczeniami. Także z Prostym. Ja wiem, że Prosty musi straszliwie cierpieć z tą swoją manią robienia z siebie za wszelką cenę ścierwa. Nie ma nic bardziej bolesnego na świecie niż być złym. Kiedyś, będąc dzieckiem, zamknąłem się na dwa dni w pokoju, bez jedzenia. Cierpiałem straszliwie, lecz nie otwierałem, i żeby mnie stamtąd zabrać, musieli wchodzić po drabinie przez okno. Ogromnie pragnąłem, żeby mnie żałowano. Prosty postępuje tak samo. Ale wie, że go rozstrzelamy. Chce, żeby go (rozstrzelać. Jest to pragnienie, które czasami nawiedza ludzi. A Skóra? Go w tej chwili robi Skóra?”

Kim idzie przez modrzewiowy las i myśli o Skórze, który tam, w mieście, z trupa czaszką na bierze, krąży z patrolem po godzinie policyjnej. Skóra musi być sam ze swą bezimienną, chybioną nienawiścią, sam ze swą zdradą, która go toczy od wewnątrz i każe mu być jeszcze bardziej złym, żeby szukać usprawiedliwienia. Będzie z wściekłością strzelał po godzinie policyjnej do kotów, a mieszczanie zadrzą w swych łóżkach, budząc się na odgłos strzałów.

Kim myśli o kolumnie Niemców i faszystów, myśli, że przed świtem, który przyniesie śmierć, posuwają się już być może doliną i że trzeba będzie runąć na nich jak lawina ze szczytów gór. Jest to kolumna straconych złudzeń: w tej chwili jakiś żołnierz, budząc się od nagłego wstrząsu działa, myśli: „Kocham cię, Kate. „ Za sześć lub siedem godzin umrze, zabijemy go. Nawet gdyby nie myślał: „Kocham cię, Kate”, stałoby się to samo, bowiem wszystko,

cokolwiek czyni i myśli, jest stracone, przekreślone przez historię.

„A tymczasem ja - myśli dalej Kim - idę przez modrzewiowy las i każdy mój krok jest historią. Myślę: «Kocham cię, Adriano», i to jest historia, ma wielkie konsekwencje, jutro wezmę udział w boju jako człowiek, który myślał tej nocy: «Kocham cię, Adriano». Może nie dokonam wielkich rzeczy, lecz historia tworzy się z małych, bezimiennych czynów; może jutro zginę, pierwiej niż ten Niemiec, lecz wszystko, co uczynię, zanim umrę, i sama moja śmierć będzie strzępem historii, a wszystkie myśli, które mnie teraz nurtują, wpłyną na moją jutrzejszą historię, na jutrzejszą historię rodzaju ludzkiego.

Zamiast snuć jak za dziecięcych lat fantastyczne myśli, mógłbym oczywiście studiować w pamięci szczegóły ataku, rozmieszczenie broni i oddziałów. Ale tak bardzo lubię rozmyślać o tych ludziach, badać ich charaktery i czynić na ich temat spostrzeżenia. Na przykład: co będą robić potem? Czy odnajdą w powojennych Włoszech coś, czego dokonali sami? Czy zrozumieją metodę, jaką trzeba będzie wówczas zastosować, żeby kontynuować naszą walkę, długą, ciągle zmieniającą się walkę o ludzkie wybawienie? Czerwony Wilk zrozumie na pewno; kto wie, jak zastosuje ją w. praktyce, on, tak rozmiłowany w przygodach i tak przedsiębiorczy, nie mając już możliwości robienia wypadów i ucieczek? Powinni by wszyscy być tacy jak Czerwony Wilk. Powinni byśmy wszyscy być tacy jak Czerwony Wilk. Ale znajdują się tacy, którzy ze swą bezimienną pasją będą nadal wspierać wielką machinę bezowocnej wściekłości. Znowu staną się indywidualistami, a tym samym wysiłki ich okażą się bezpłodne. Stacza się w objęcia zbrodni i zapomną, że pewnego dnia historia przetoczyła się obok nich. Dawni faszyci powiedzą: «To partyzanci! Mówiliśmy wam! Zrozumieliśmy to od razu!» A przecież nie rozumieli nic, ani przedtem, ani potem.”

Nadejście dzień, w którym Kim stanie się pogodny. Już teraz wszystko jest w nim jasne: Prosty, Pin, kalabryjscy szwagrowie. Wie, jak należy postępować z jednym czy z drugim, bez strachu i bez litości. Czasami, kiedy idzie tak nocą, mgły dusz zagęszczają się wokół niego jak prawdziwa mgła, lecz on jest człowiekiem, który analizuje, jest bolszewikiem, powie komisarzom: a, b, c, jest człowiekiem, który panuje nad sytuacją. „Kocham cię, Adriano.”

Cała dolina wypełniona jest mgłą, a Kim idzie po kamienistym urwisku jak nad brzegiem jeziora. Modrzewie wynurzają się z chmur niczym słupy służące do przywiązywania łodzi. „Kim... Kim... Kto to jest Kim?” Komisarz brygady czuje się jak bohater czytanej w dzieciństwie powieści: Kim, dziecko pół - angielskie, pół - hinduskie, które podróżuje po Indiach ze starym Czerwonym Lamą, żeby odnaleźć rzekę oczyszczenia.

Przed dwiema godzinami rozmawiał z tym łajdakiem Prostym i z braciszkiem prostytutki, a teraz przybywa do najlepszego w całej brygadzie oddziału Błyskawicy. U Błyskawicy jest grupa Rosjan, byłych jeńców, którzy uciekli z robót fortyfikacyjnych na granicy.

- Kto idzie!

To wartownik: Rosjanin. Kim mówi swoje imię.

- Przynieść wiadomości, komisarz?

Jest to Aleksiej, syn muzyka, student inżynierii.

- Jutro będzie bitwa, Aleksiej.

- Bitwa? Sto faszystów kaput?

- Nie wiem, ilu kaput, Aleksiej. Nie wiem nawet dokładnie, ilu żywych.

- Sól i tytoń, komisarzu.

„Sól i tytoń” to włoskie wyrazy, które zrobiły największe wrażenie na Aleksieju, powtarza je przy każdej okazji jako pozdrowienie.

- Sól i tytoń, Aleksiej.

Jutro będzie wielka bitwa. Kim jest pogodny. Powie swoje a, b, c. I znów powraca do myśli: „Kocham cię, Adriano.” To, nic innego tylko to jest historią.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jeszcze przed świtem ludzie Prostego rozpoczynają przygotowania do wymarszu, krzątając się w milczeniu dokoła chaty. Otulają sobie plecy kocami: na kamienistych szczytach będzie zimno, zanim nadejdzie świt. Zamiast myśleć o sobie ludzie myślą o losie tych kocy, które biorą ze sobą; może zgubią je w ucieczce, może koce zbroszą się krwią, gdy oni będą umierać, może zabierze je jakiś faszysta i pokaże w mieście jako zdobycz. Ale. cóż znaczy koc?

Powyżej, jakby ponad chmurami, słyszą ruchy nieprzyjacielskiej kolumny. Wielkie koła, które toczą się po zakurzonej drodze, przy zgaszonych latarniach, kroki zmęczonych już żołnierzy, którzy pytają swych dowódców: czy jeszcze daleko? Ludzie Prostego rozmawiają półgłosem, jakby kolumna przechodziła tuż za ścianą chaty.

W tej chwili słychać charakterystyczne postukiwanie łyżek o miski z gotowanymi kasztanami: nie wiadomo, kiedy będą znowu jedli. Tym razem nawet kucharz pójdzie na akcję; teraz rozdziela kasztany, przeklinając półgłosem, z oczami zapuchniętymi od niewyspania. Giglia również wstała, krąży wśród przygotowujących się do wymarszu mężczyzn i daremnie usiłuje być użyteczną. Mańkut zatrzymuje się od czasu do czasu i spogląda na nią.

- Giglia - mówi - byłoby nieostrożnie, gdybyś została tu w obozie sama. Nigdy nic nie wiadomo.

- A gdzie chcesz, żebym szła? - pyta Giglia.

- Włóż spódnicę i idź do wsi, kobietom nic nie zrobią. Prosty, powiedz jej, żeby sobie poszła, że nie może zostać tutaj sama.

Prosty nie jadł kasztanów i z podniesionym kołnierzem, prawie bez słów, kieruje przygotowaniami ludzi. Nie podnosi głowy i nie odpowiada od razu.

- Nie - mówi. - Lepiej, żeby tu została. Giglia spogląda na męża, jakby chciała powiedzieć: „A widzisz?”

Później ludzie odsuwają ją na bok, mówiąc: - Nie kręć się pod nogami - więc w rezultacie wraca spać.

Pin również kręci się wśród ludzi, niczym myśliwski pies na widok przygotowań swego pana.

„Bitwa - myśli usiłując się podniecić. - Teraz będzie bitwa. „

- Więc który mam wziąć? - mówi do Giacinta.

Komisarz ledwie zwraca na niego uwagę.

- Co?

- Który karabin mam wziąć? - pyta Pin.

- Ty? - mówi Giacinto. - Ty nie idziesz.

- Ale przecież ja idę!

- Odczep się. To nie jest okazja, żeby zabierać z sobą dzieci. Prosty nie chce. Odczep się.

Pin jest teraz wściekły. Pójdzie za nimi bez broni, dokuczając im tak długo, dopóki nie zaczną do niego strzelać.

- Prosty, Prosty, powiedz, czy to prawda, że nie chcesz, żebym z wami poszedł?

Prosty nie odpowiada, zaciągając się co chwila niedopałkiem papierosa, zupełnie jakby go gryzł.

- No, właśnie! - woła Pin. - Cholerny świat, powiedział, że nieprawda.

„Teraz walnie minie w kark” - myśli. Lecz Prosty nic nie mówi.

- Czy mogę iść na akcję, Prosty? - pyta Pin.

Prosty pali dalej.

- Prosty powiedział, że mogę iść, słyszałeś, Giacinto? - mówi Pin.

Teraz Prosty powie na pewno: „Nie nudź! Zostaniesz na miejscu!” Ale nie mówi nic, dlaczego? Pin woła bardzo głośno:

- Więc idę!

I powoli, pogwizdując i chcąc zwrócić na siebie uwagę, zmierza ku miejscu, gdzie leży wolna broń. Wybiera najbliższy karabin.

- Więc biorę ten - mówi głośno. - Czy on jest czyjś, ten?

Nikt mu nie odpowiada. Pin wraca powoli, kołysząc karabin na pasie do przodu i do tyłu. Siada na ziemi, tuz naprzeciwko Prosteego, i zaczyna sprawdzać zamek, celownik, spust.

Nuci:

- Ja mam karabin! Ja mam karabin! Ktoś mówi:

- Cicho bądź! Zwariowałeś?

Ludzie zaczynają ustawiać się w dwuszereg, pluton obok plutonu, drużyna obok drużyny. Amunicyjni rozdzielają między sobą zmiany służby.

- A więc zrozumieliście - mówi Prosty. - Oddział zajmie pozycję na Pellegrino, pomiędzy przełęczą i drugim wąwozem. Kuzyn obejmie dowództwo. Otrzymacie tam rozkazy z batalionu. Wszystkie oczy kierują się ku niemu, oczy zaspane i posępne, przysłonięte kosmykami włosów.

- A ty? - pytają go.

Na opuszczonych rzęsach Prosteego widać krople ropy.

- Ja jestem chory - mówi. - Nie mogę iść. Teraz niech się dzieje, co chce. Ludzie nic jeszcze nie mówią. „Jestem człowiekiem skończonym” - myśli Prosty. Teraz niech się dzieje, co chce. Straszne jest, że ludzie nic nie mówią, nie protestują. To znaczy, że wydali już na niego wyrok, są zadowoleni, że odrzucił ostatnią próbę, być może spodziewali się tego po nim. A jednak nie rozumieją, co skłoniło go do tej decyzji; zresztą i on sam, Prosty, nie zdaje sobie dokładnie sprawy z przyczyn swego postępowania. Ale teraz niech się już dzieje, co chce, nie pozostaje nic innego, jak pozwolić unieść się prądowi.

Pin, w przeciwieństwie do innych, rozumie wszystko: jest niezwykle czujny, wysunął język spomiędzy zębów, policzki mu pałają. Tam, na wpół zagrzebana w sianie, leży kobieta z gorącą piersią pod męską koszulą. Gorąco jej nocą w sianie i bez przerwy przewraca. się z boku na bok. W pewnej chwili, gdy wszyscy spali, wstała, zdjęła spodnie i nago wsunęła się pod koce. Pin to widział. Podczas kiedy w dolinie rozszaleje bój, w chacie będą się dziać dziwne rzeczy, o wiele bardziej podniecające niż bitwa. I dlatego Prosty pozwala, żeby Pin poszedł na akcję. Pin położył karabin tu stóp i siedzi niesłychanie uważnie każde poruszenie. Ludzie formują kolumny, nikt nie wzywa Pina, żeby stanął w szeregu.

W pewnej chwili sokół, który siedzi na szczycie dachu, zaczyna rozpaczliwie bić podciętymi skrzydłami.

- Babeuf! Muszę nakarmić Babeufa! - woła Mańkut i biegnie po woreczek z pokarmem dla ptaka. Wtedy wszyscy zaczynają wymyślać na kucharza i na sokoła, jakby chcieli skupić cały swój gniew na czymś określonym.

- Żebyś zdechł ty i ten twój sokół! Złowrózbnie ptaszysko! Zawsze, kiedy się drze, zdarza się jakieś

nieszczęście. Ukręć mu łeb!

Mańkut stoi naprzeciwko nich z sokołem uczepionym pazurami jego ramienia i karmi go kawałkiem mięsa patrząc z nienawiścią na towarzyszy.

- Sokół jest mój i nie macie tu nic do gadania, jak będę chciał, wezmę go ze sobą na akcję, rozumiecie?

- Ukręć mu łeb! -. krzyczy Długi Zena, zwany Drewnianą Czapką. - Nie czas teraz myśleć o sokołach. Ukręć mu łeb, a jak nie, to zrobimy to sami!

I robi ruch, jakby chciał złapać ptaka. Lecz potężne uderzenie dzioba spada na grzbiet jego dłoni, z rany sączy się krew. Sokół stroszy pióra, rozwiera skrzydła i nie przestaje wrzeszczeć, tocząc dookoła żółtymi oczyma.

- Widzisz! Widzisz! Wiedziałem, kogo biorę! - mówi kucharz. Wszyscy ludzie skupili się wokół niego z najeżonymi gniewem brodami, wznosząc ku górze pięści.

- Ucisz go! Ucisz go! Przynosi nieszczęście! Sprowadzi nam na kark Niemców!

Długi Zena, zwany Drewnianą Czapką, wysysa krew z rany.

- Zabijcie go! - woła.

Książę, z automatem przewieszonym przez ramię, wyciąga zza pasa pistolet.

- Ja go zastrzelę! Ja go zastrzelę! - wrzeszczy.

Sokół nie daje się uspokoić, przeciwnie, wpada w coraz większy szal.

- Dobrze - decyduje się Mańkut. - Dobrze. Patrzcie, co mu zrobię. To wy chcieliście tego.

Chwyta ptaka oburącz za szyję i dusi trzymając go między kolanami, z głową zwróconą ku ziemi. Ludzie stoją w pełnym milczeniu.

- Dobrze. Teraz jesteście zadowoleni. Wszyscy teraz jesteście zadowoleni. Dobrze.

Sokół już się nie rusza, bezwładnie zwisają podcięte skrzydła, sypią się zjeżone pióra. Mańkut rzuca go na krzak jeżyny i Babeuf zawisa na skrzydłach z opuszczoną w dół głową. Jeszcze wstrząsa nim dreszcz, potem zdycha.

- Do szeregu! Wszyscy do szeregu i ruszamy! - woła Kuzyn. - Obsługa karabinów maszynowych naprzód, za nimi amunicyjni. Następnie strzelcy. Ruszamy!

Pin pozostał na boku. Nie przyłączy się do szeregów. Prosty odwraca się i wchodzi do chaty. Ludzie oddalają się w milczeniu drogą, która prowadzi w góry. Na końcu Mańkut w swej marynarskiej kurteczce z ramionami poplamionymi łajnem sokoła.

Ciemności chaty pachną sianem. Kobieta i mężczyzna śpią otuleni kocami w dwóch przeciwległych kątach. Nie poruszają się. Pin mógłby przysiąc, że nie zamkną już oczu do świtu. Również i on się położył, lecz oczy ma nadal otwarte. Tych dwoje nawet się nie chrapie, oddychają po cichu. A jednak nie śpią, Pin wie o tym dobrze i powoli, powoli zasypia.

Kiedy się obudził, był już dzień. Jest sam wśród zgniecionego siana. Zwolna przypomina sobie wszystko. Dziś jest dzień bitwy! Dlaczego nie słyhać strzałów? Dziś jest dzień, w którym Prosty wyprawi bal żonie kucharza! Pin wstaje i wychodzi. Dzień jest niebieski jak wszystkie inne, aż ogarnia strach, gdy się go widzi tak niebieskim, dzień pełen śpiewu ptaków, aż ogarnia strach, gdy się w ten śpiew wsłuchiwać.

Kuchnia znajduje się w ruinach starego domu. W środku jest Giglia. Rozpaliła niewielki ogień pod garnkiem z

kasztanami. Jest blada, ma podkrążone oczy.

- Pin! Chcesz trochę kasztanów? - mówi z fałszywą macierzyńską tkliwością, jakby chciała mu się przypodobać.

Pin nienawidzi macierzyńskiej tkliwości u kobiet: wie, że kryje się za tym jakiś podstęp, że nie lubią go, jak jego siostra, i tylko boją się go trochę. Nienawidzi jej.

Czy stało się już? A gdzie jest Prosty? Postanawia ją o to zapytać.

- No co: wszystko załatwione? - mówi.

- Co takiego? - pyta Giglia.

Pin nie odpowiada, patrzy na nią spode łba z dziwnym grymasem.

- Dopiero teraz wstałam - mówi Giglia z anielską niewinnością.

„Zrozumiała - myśli Pin - krowa. Zrozumiała.”

Wydaje mu się jednak, że nie zaszło nic poważnego. Kobieta jest pełna napięcia, wygląda, jakby powstrzymywała oddech.

Zbliża się Prosty. Chodził się myć, na szyi ma przewieszony wypłowiały, kolorowy ręcznik. Ma twarz człowieka dojrzałego, na której widnieją zmarszczki i cienie.

- Jeszcze nie strzelają - mówi.

- Cholerny świat, Prosty - mówi Pin. - Czyżby wszyscy zasnęli?

Prosty nie śmieje się, ssie zęby.

- Cała brygada zasnęła w górach, wyobrażasz sobie? - mówi Pin. - A tu Niemcy zbliżają się na paluszkach.

Raus! Raus! Oglądamy się i oto oni.

Pin wskazuje na coś i Prosty odwraca się. Ale po chwili. znudzony wzrusza ramionami. Siada obok ognia.

- Jestem chory - mówi.

- Chcesz trochę kasztanów? - pyta Giglia.

Prosty spluwa na popiół.

___Pali mnie w żołądku - mówi.

- Wypij sam rosół.

- Pali mnie w żołądku.

Później zastanawia się przez chwilę i mówi:

- Daj.

Przykłada brzegi brudnej miski do warg i pije. Potem odstawia miskę.

- Za to ja zjem - mówi Pin.

I zaczyna zajadać odgrzane kasztany.

Prosty podnosi oczy na Giglię. Jego górne powieki mają długie i twarde rzęsy, dolne są nagie.

- Prosty - mówi kobieta.

- No?

- Dlaczego nie poszedłeś?

Pin trzyma usta wewnątrz miski i spogląda od dołu ku górze, ponad krawędzią.

- Nie poszedłem gdzie?

- Co za pytanie! Na akcję.

- A gdzie chcesz, żebym szedł, gdzie chcesz, żebym szedł, jeżeli ja sam nie wiem, dlaczego tu zostałem?

- Co tobie jest, Prosty?

- Co mi jest, bo ja wiem, co mi jest? Dowództwo brygady chce mnie zniszczyć, już od dawna igrają ze mną jak kot z myszą. Za każdym razem: Prosty źle, Prosty pomówimy o tym później, teraz uważaj, Prosty, zastanów się, bądź czujny, prędzej czy później zemszczą się wszystkie twoje błędy. Do diabła! Nie mogę już wytrzymać. Jeżeli mają mi coś do powiedzenia, to niech mówią. A ja mam ochotę robić to, co mi się podoba.

Giglia siedzi nieco wyżej niż on. Patrzy na niego długo, wzdychając.

- Mam ochotę robić to, co mi się podoba - powtarza Prosty z przygasłymi oczyma. Położył dłoń na jej kolanie.

Słychać głośne mlaskanie Pina wylizującego pustą już miskę.

- Prosty, a jak ci zrobią jakiś brzydki kawał? - mówi Giglia.

Prosty zbliżył się do niej, a teraz położył się u jej stóp.

- Mało mnie obchodzi, czy umrę - mówi. Lecz drżą mu wargi jak wargi chorego dziecka. - Mało mnie obchodzi, czy umrę. Ale przedtem chciałbym... Przedtem...

Odwraca głowę i spogląda od dołu ku górze na siedzącą wyżej Giglię.

Pin rzuca na ziemię próżną miskę z łyżką w środku. Dzyń! stuknęła łyżka.

Prosty odwrócił ku niemu głowę. Teraz patrzy na niego, przygryzając wargę.

- No? - zaczyna Pin. Prosty porusza się.

- Nie strzelają - mówi.

- Nie strzelają - powtarza Pin. Prosty wstał. Nerwowo chodzi dookoła.

- Pin, idź po wodę.

- Zaraz - mówi Pin i schyla się, żeby zawiązać buty.

- Jesteś blada, Giglio - mówi Prosty. Stoi tuż za nią, dotykając kolanami jej pleców.

- Może jestem chora - mówi Giglia wzdychając.

Pin intonuje jeden ze swych monotonnych przyśpiewów, które nie kończą się nigdy:

- Jest blada!... Jest blada!... Jest blada!... Jest blada!... Jest blada!...

Mężczyzna przyłożył dłonie do jej policzków, a potem do czoła:

- Chora tak jak ja? Powiedz, chora jak ja?

- Jest blada... Jest blada... - nuci Pin. Prosty odwraca w jego stronę twarz, na której maluje się dwojakie uczucie.

- Idziesz wreszcie po tę wodę?

- Zaraz, zaczekaj - mówi Pin - zawiążę drugi.

I dalej grzebie w butach. - Nie wiem, na co ty jesteś chory - mówi Giglia. - Na co jesteś chory? Mężczyzna odpowiada bardzo cicho:

- Jestem tak chory, że nie mogę sobie znaleźć miejsca, że nie mogę już wytrzymać.

Teraz, ciągle stojąc z tyłu, ujął ją za ramiona i trzyma ją tak, wsunąwszy dłonie pod pachy.

- Jest błada... Jest błada...

- No więc? Pin!

- Dobrze. Idę. Już idę. Daj mi butelkę. Potem zatrzymuje się, jakby nasłuchując.

Prosty również zamiera w bezruchu, spoglądając w próżnię.

- Nie strzelają - mówi.

- Prawda? Wcale nie strzelają... - mówi Pin.

Milczą.

- Pin!

- Idę.

Pin odchodzi wymachując butelką i pogwizdując tę samą melodię co przedtem. Dzisiaj będzie miał znakomitą zabawę. Będzie bezlitosny. Nie boi się Prostego, Prosty nie jest już wcale dowódcą. Nie chciał pójść na akcję i wcale już tu nie rządzi. Z kuchni nie będzie słycać gwizdania. Pin milknie, zatrzymuje się i na palcach wraca z powrotem. Będą teraz na ziemi, jedno na drugim, gryząc sobie gardła jak psy! Pin jest już w kuchni, pośród ruin. Okazuje się jednak, że ani jeszcze ciągle są na tym samym miejscu. Prosty trzyma dłonie pod włosami kobiety, na karku, a ona przeciąga się jak kotka, jakby chciała mu się wymknąć. Słyszac go odwracają się natychmiast.

- No? - mówi mężczyzna.

- Przyszedłem wziąć inną butelkę - odpowiada Pin. - Ta nie ma słomy.

Prosty dotyka dłonią skroni.

- Masz.

Kobieta siada w pobliżu worka z kartoflami.

- Obierzemy trochę kartofli, będziemy przynajmniej coś robić.

Ustawia worek na ziemi i przygotowuje kartofle do obierania oraz dwa noże.

- Masz nóż, Prosty, tutaj są kartofle - mówi.

Pin uważa, że jest głupia i obłudna.

Prosty nie przestaje dotykać dłonią skroni.

- Dotychczas nie strzelają - mówi. - Kto wie, co się tam dzieje.

Pin odchodzi. Teraz naprawdę pójdzie po wodę. Trzeba im dać trochę czasu, bo w przeciwnym razie nigdy nic nie nastąpi. W pobliżu źródła jest miejsce pełne jeżyn. Pin zabiera się do jedzenia. Lubi jeżyny, lecz w tej chwili nie smakują mu wcale; wypełnia sobie nimi usta, lecz nie czuje smaku. Tak, teraz zjadł ich już dosyć i może wracać. Ale może jeszcze jest za wcześnie. Będzie lepiej, jeśli najpierw się załatwi. Przykucnął wśród krzaków. Jak to przyjemnie wysilać się, myśląc jednocześnie o Prostym i o Giglii, jak gonią się wśród ruin kuchni, lub o nagich, pobladłych i szczękających zębami ludziach, których prowadzą o zachodzie słońca, żeby zmusić ich do klękania w rowach, o wszystkich tych rzeczach niepojętych i złych, nie pozbawionych jednak dziwnego uroku, jak własne odchody.

Podciera się liśćmi. Jest gotów, idzie.

W kuchni kartofle porzucane na ziemi. Giglia stoi w kącie, po drugiej stronie worków i kotła, i trzyma w ręku nóż. Jej męska koszula jest rozpięta, widać białe, ciepłe piersi.

Prosty znajduje się po drugiej stronie bariery i grozi jej nożem. Mają wobec siebie wyraźnie wrogie zamiary, może za chwilę zranią się w walce.

Tymczasem jednak, przeciwnie, śmieją się; śmieją się oboje: po prostu żartowali. Śmieją się złym śmiechem, ich żarty wzbudzają litość, a jednak śmieją się. Pin stawia butelkę.

- Woda - mówi głośno.

Teraz odkładają noże i idą pić. Prosty podnosi butelkę i podaje ją Giglii. Giglia przyłgnęła wargami do butelki i pije. Prosty patrzy na jej usta.

Potem mówi:

- Jeszcze nie strzelają. - Zwraca się do Pina: - Jeszcze nie strzelają - powtarza. - Co się tam stało?

Pin lubi, gdy ktoś zwraca się do niego z takimi pytaniami, jak równy do równego.

- Powiedz, Prosty, co się tam stało? - pyta.

Prosty pije ze smakiem, powoli opróżnia butelkę, wydaje się, że nigdy nie skończy. Wyciera sobie usta.

- Masz, Giglia, pij jeszcze, jeżeli chcesz. Pij, jeżeli masz pragnienie, później pošlemy po drugą.

- Jak chcecie - mówi cierpko Pin - przyniosę wam całe wiadro.

Prosty i Giglia spoglądają na siebie i śmieją się. Ale Pin rozumie, że nie śmieją się z tego, co on powiedział, rozumie, iż jest to śmiech wyłącznie ich dwojga, sekretny, bez przyczyny.

- Jak chcecie - mówi Pin - przyniosę wam tyle wody, że będziecie mogli zrobić sobie kąpiel.

Tych dwoje nie przestaje patrzeć na siebie i śmiać się.

- Kąpiel - powtarza mężczyzna i nie można już odróżnić, czy śmieje się, czy szczęka zębami. - Kąpiel, Giglia, kąpiel.

Ujął ją za ramiona. Lecz nagle twarz jego ciemnieje i puszcza ją.

- Tam. Patrz tam - mówi.

O kilka kroków od nich z krzaku jeżymy zwisa na skrzydłach trup sokoła.

- Precz! Precz z tym ściernem! - wola Prosty. - Nie chcę go więcej widzieć!

Chwyta sokoła za skrzydła i ciągnie za sobą daleko, między rododendrony. Babeuf szybuje, jak może nie zdarzyło mu się nigdy w życiu. Giglia próbuje protestować:

- Nie, biedny Babeuf!

- Precz! - Prosty jest błądzący z gniewu. - Nie chcę go więcej widzieć! Idź go zakopać, Pin, idź go zakopać. Weź łopatę i zakop go, Pin!

Pin patrzy na martwego ptaka leżącego pośród rododendronów: a jeżeli podniesie się, tak jak jest, nieżywy, i dziobnie go między oczy?

- Nie pójdę - mówi.

Prosty porusza nozdrzami, dotyka ręką pistoletu.

- Pin, bierz łopatę i idź!

Więc Pin podnosi sokoła za łapę: ma pazury zakrzywione i twarde jak haki. Pin rusza, przerzuciwszy sobie przez ramię martwego ptaka, którego głowa kołysze się na wszystkie strony.

Przechodzi przez zbocze pełne róż alpejskich, przez las i wkracza na łąki. Pod łąkami, które łagodnymi stokami

wznoszą się ku górze, leżą pogrzebani wszyscy umarli, z oczyma pełnymi ziemi, umarli wrogowie i umarli towarzysze. Teraz spocznie tam również i sokół.

Pin idzie przez łąki, klucząc. Lęka się, że kopiąc dół dla ptaka odkryje łopatą twarz człowieka. Nie chce nawet deptać po zmarłych, boi się ich. A jednak jakby to było ładnie wygrzebać z ziemi zmarłego, nagiego, z odsłoniętymi zębami i pustymi oczodołami.

Pin nie widzi wokół siebie nic, tylko góry, ogromne doliny, których dna nie można odgadnąć, łańcuchy gór ciągnące się jeden za drugim w nieskończoność. Pin jest sam na ziemi. Pod ziemią umarli. Inni ludzie, gdzieś za lasami i górami, trą się na ziemi, samce z samicami, i napadają na siebie, żeby się mordować. Martwy sokół leży u jego stóp. Ponad nim, na wietrznym niebie, przeciągają ogromne chmury. Pin kopie dół dla zabitego ptaka. Wystarczy mały rów, sokół nie jest człowiekiem. Pin bierze sokoła na ręce: ma zamknięte oczy, powieki białe i nagie, niemal ludzkie. Kiedy próbuje się je odemknąć, widać pod nimi okrągłe żółte oko. Chciałby rzucić sokoła w powietrze, ponad dolinę, i ujrzeć, jak otwiera skrzydła, wzbija się do lotu, zatacza krąg nad jego głową, a potem odlatuje ku odległym stronom. I żeby on, jak w bajkach dobrych wróżek, poszedł za nim przez góry i doliny do zaczarowanego kraju, gdzie wszyscy są dobrzy. Tymczasem jednak Pin układa sokoła w rowie i zasypuje go ziemią.

W tej chwili wybucha grzmot i wypełnia hukiem całą dolinę: strzały, ogień karabinowy, głuche wybuchy wzmocnione echem. Bitwa. Pin ogarnięty strachem rzuca się do ucieczki. Straszliwe huki rozdzierają powietrze. Blisko, są blisko niego, nie może pojąć gdzie. Za chwilę dosięgną go ogniste pociski. Za chwilę z zarośli wyskoczą uzbrojeni w automaty Niemcy i runą na niego.

- Prosty!

Pin ucieka. Zostawił łopatę wbitą w ziemię obok rowu. Biegnie, aż wiatr szumi mu w uszach.

- Prosty! Giglia!

Teraz biegnie przez las. Karabin maszynowy, ta-pum, ręczne granaty, wystrzały z moździerza; bitwa wybuchła nagle ze swego uspienia i nie można zrozumieć, gdzie się toczy: może o kilkanaście kroków od niego, może aa tym zakrętem ścieżki ujrzy migotanie karabinowego ognia i martwe ciała rozciągnięte wśród krzaków.

- Prosty! Giglia! Ratunku!

Już jest na zboczach pokrytych rododendronami. Pod gołym niebem wystrzały napawają go jeszcze większym lękiem.

- Prosty! Giglia!

W kuchni - żywej duszy. Uciekli! Zostawili go samego!

- Prosty! Strzelają! Strzelają!

Pin, zanosząc się płaczem, biegnie przed siebie wzdłuż zbocza. Tam, pośród krzaków koc, koc i owinięte weń ludzkie ciało, które się porusza. Ciało, nie, dwa ciała, wystają dwie pary nóg, splecionych i drgających.

- Bitwa! Prosty! Strzelają! Bitwa!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Po długich godzinach marszu brygada przybywa do wąwozu Mezzaluna. Wieje zimny nocny wiatr, przenikający do szpiku kości, ludzie są zbyt zmęczeni, żeby spać, i dowódcy każą się zatrzymać koło skalistego progu na krótki odpoczynek. W mroku pochmurnej nocy wąwóz wygląda jak wklęsła łąka o zatartych konturach, wśród dwóch skalistych wyniosłości spowitych mgłą. W oddali ciągną się doliny i płaszczyzny nie zajęte jeszcze przez nieprzyjaciół. Od chwili wymarszu na bój ludzie nie zaznali wytchnienia. Lecz mimo długotrwałego wysiłku nie upadają ma ducha. Nie wygasł jeszcze entuzjazm walki. Bitwa była krwawa i zakończyła się odwrotem; nie była jednak bitwą przegraną. Niemcy, idąc wąwozem, ujrzeni nagle grzbiety gór gęsto obsadzone krzyczącymi ludźmi i obłoczki wystrzałów wznoszące się ze szczytów; wielu z nich stoczyło się do przydrożnych rowów, kilka samochodów stanęło w płomieniach i po chwili pozostały z nich jedynie czarne zgliszcza. Później nadeszły posiłki, nie mogły jednak wiele zdziałać: zlikwidowały kilku partyzantów, którzy wbrew rozkazom pozostali na drodze lub w zamieszaniu odłączyli się od oddziału. Dowództwo partyzantów, w porę uprzedzone, że nadciąga nowa kolumna samochodów, nakazało zwinąć szyki i wycofać się w góry, żeby uniknąć okrążenia. Niemcy nie są ludźmi, którzy by nie zniechęcili po pierwszym niepowodzeniu, więc Ferriera powziął decyzję, żeby brygada opuściła dotychczasowe pozycje, na których groziło jej osaczenie, i przeniosła się w inne doliny, nie obsadzone dotąd przez partyzantów i łatwiejsze do obrony. Odwrót odbywa się po cichu i w porządku, pod osłoną nocy, górską ścieżką, która prowadzi do wąwozu Mezzaluna. Zamyka go karawana mułów z żywnością i amunicją oraz ranni.

Ludzie Prostego szcękają teraz z zimna zębami tuż obok kamiennego progu. Na głowy i na ramiona mają ponarzuć koce, niczym arabskie burnusy. Oddział ma jednego zabitego: komisarza Giacinto, blacharza. Poległ na łące od wystrzału niemieckiego miotacza ognia i wszystkie jego barwne sny o włóczędze opuściły go wraz ze wszystkimi insektami, których żaden owadobójczy środek nie był w stanie wytępić. Prócz tego Hrabia, jeden z kalabryjskich szwagrów, został lekko ranny w rękę.

Wraz ze swymi ludźmi jest Prosty, z pobladłą twarzą i kocem narzuconym na ramiona, co sprawia wrażenie, że jest naprawdę chory. Obserwuje w milczeniu ludzi, jednego po drugim, poruszając nozdrzami. Co pewien czas odnosi się wrażenie, że chce wydać jakiś rozkaz, ale potem milczy. Do tej pory ludzie nie odezwali się do niego ani słowem. Gdyby wydał jakiś rozkaz lub gdyby któryś z towarzyszy zaczął z nim rozmawiać, na pewno wszyscy powstałoby przeciwko niemu, padłyby gwałtowne słowa. Ale nie jest ku temu odpowiednia chwila. Rozumieją to wszyscy, zarówno on, jak i pozostali, jakby na mocy milczącego układu, i w dalszym ciągu on nie wydaje żadnych rozkazów ani nie zwraca nikomu uwagi, 'oni zaś postępują tak, jakby tych rozkazów i uwag nie potrzebowali. Tak więc oddział maszeruje zdyscyplinowany, nie rozpraszając się, bez żadnych sporów, nikt by nie powiedział, że bez dowódcy. Zresztą Prosty jest jeszcze faktycznie dowódcą. Wystarczy jedno jego spojrzenie, a już ludzie wypełniają swoją powinność. Prosty jest wspaniałym dowódcą, jest wspaniałym typem dowódcy.

Pin, otulony w płaszcz z kapturem, spogląda na Prostego, na Giglię, a potem na Mańkuta. Twarze mają takie jak co dzień, tyle tylko, że zmarznięte i wyczerpane trudem. Na twarzy żadnego z nich nie jest wypisana rola, jaką odegrał w dziejach poprzedniego poranka. Nadciągają inne oddziały, zatrzymują się nie opodal lub idą w dalszą drogę.

- Gian Szofer! Gian!

W jednym z oddziałów, który się właśnie zatrzymał, Pin rozpoznał swego starego przyjaciela z gospody. Ubrany jest jak partyzanci i uzbrojony po zęby. Gian z początku nie rozumie, kto go woła, a po chwili dziwi się i on. także:

- Och... Pin!

Witają się bez zbytej wylewności, jak ludzie, (którzy nie są przyzwyczajeni do okazywania swych uczuć. Gian Szofer zmienił się; od tygodnia, to jest od chwili kiedy znalazł się w oddziale, nie ma już tych swoich oczu jaskiniowego zwierzęcia, zażawionych od dymu i alkoholu, oczu człowieka z gospody. Jest zarośnięty i wygląda tak, jakby chciał sobie zapuścić brodę. Jest w batalionie Szpady.

- Kiedy zgłosiłem się do brygady, Kim chciał mnie przydzielić do waszego oddziału - mówi.

Pin myśli: „On nie wie, co to znaczy, ale może to ten nieznajomy z komitetu, który był tego wieczoru w gospodzie, złożył na nich wszystkich raport?”

- Do diabła, Gian, bylibyśmy razem! - mówi Pin. - Dlaczego cię do nas nie przydzielili?

- Powiedzieli mi później, że nie warto, wasz oddział zostanie wkrótce rozwiązany!

„No, proszę - myśli Pin - zaledwie przyszedł i już zna wszystkie nowiny o nas.” Tymczasem Pin nic nie wie, co się dzieje w mieście.

- Szofer! - mówi. - Go nowego słyhać na waszej ulicy? I w gospodzie?

Gian rzuca ponure spojrzenie.

- Nic nie wiesz? - pyta.

- Nic - mówi Pin. - Co się stało? Bersagliera urodziła syna?

Gian spluwa.

- Nie chcę już nic słyszeć o tych ludziach - mówi. - Wstyd mi, że się wśród nich urodziłem. Od wielu lat miałem już dosyć ich, gospody, smrodu ulicznych szczytn... A jednak łam tkwiłem... Teraz musiałem uciekać i dziękuję nieomal temu draniowi, który mnie wsypał...

- Michel Francuz? - pyta Pin.

- Francuz to jeden. Ale to nie on jest tym łotrem. Michel prowadzi podwójną grę, lawiruje pomiędzy czarną brygadą i Gapem, dotychczas nie zdecydował się ostatecznie ani na jedno, ani na drugie...

- A inni?

- Niemcy zrobili oblawę. Wzięli wszystkich, zaraz jak tylko postanowiliśmy, że wstępujemy do Gapu. Żyrafę rozwalili... Inni w Niemczech... Ulica prawie całkiem opustoszała... Koło ogrodzenia piekarni spadła bomba. Wszyscy się rozpierzchli albo mieszkają po piwnicach... Tutaj jest inne życie. Wydaje mi się, że wróciłem do Kroacji, tyle tylko, że teraz, ma miły Bóg, jestem po drugiej stronie...

- W Kroacji, cholerny świat, Szofer, kim ty byłeś w Kroacji, kochankiem? A moja siostra, powiedz, czy ona też uciekła?

Gian gładzi ledwie widoczną bródkę.

- Twoja siostra? - mówi. - Ta świnią innych zmusiła do ucieczki.

- Wy tłumaczysz mi później, o co chodzi - mówi Pin nadrabiając miną - wiesz, że mnie to obraża.

- Ty durniu! Twoja siostra jest w SS, ma jedwabne suknie i rozbija się samochodem z oficerami! A kiedy przyszli Niemcy na naszą ulicę, właśnie ona prowadziła ich od domu do domu, pod rękę z niemieckim kapitanem!

- Z kapitanem, Gian! Cholerny świat, co za kariera!

- Rozmawiacie o kobietach, które spią? - wtrąca się Kuzyn pochylając ku nim szeroką, płaskonosą twarz z wielkimi wąsami.

- To moja siostra jest taka mała - mówi Pin. - Już od dziecka zawsze szpiclowała. Można się było tego po niej spodziewać.

- Można się było tego spodziewać - powtarza Kuzyn i spogląda w dal spod wełnianej czapeczki z tą swoją wiecznie zatroskaną miną.

- Po Michelu Francuzie też można się było tego spodziewać - mówi Gian. - Ale Michel nie jest zły, to tylko wielki nicpoń.

- A Skóra, znasz tego nowego z czarnej brygady?

- Skóra - mówi Gian Szofer - jest najgorszy ze wszystkich.

- Był najgorszy - odzywa się jakiś głos za ich plecami.

Odwrócili się: to Czerwony Wilk, który zbliża się, cały objuczony bronią i pasmami naboju do cekaemu, odebranych Niemcom. Witają się z nim radośnie: wszyscy się cieszą na widok Czerwonego Wilka.

- No, co się stało ze Skórą? Jak poszło?

- Była akcja Gapu - mówi Czerwony Wilk i zaczyna opowiadać.

Skóra czasami nie nocował w koszarach, tylko u siebie w domu. Mieszkał sam, na poddaszu czynszowej kamienicy, i trzymał tam cały arsenał broni, którą zdołał zgromadzić, bo w koszarach musiałby się nią podzielić z kolegami. Pewnego wieczora Skóra wraca do domu, uzbrojony jak zawsze. Za nim idzie ktoś ubrany po cywilnemu, w nieprzemakalnym płaszczu, z rękami w kieszeniach. Skóra czuje, że znalazł się w zasięgu ognia. „Lepiej udawać, że nic nie spostrzegłem” - myśli i idzie dalej. Na przeciwległym chodniku jest jakiś drugi nieznajomy w nieprzemakalnym płaszczu, który kroczy z rękami w kieszeniach. Skóra skręca, ci dwaj skręcają również. „Teraz muszę iść szybko do domu - myśli - jak tylko wejść do bramy, skoczę natychmiast do mieszkania i zacznę strzelać zza drzwi, tak że nikt nie będzie mógł się zbliżyć.” Lecz na chodniku, we wnęce bramy, jest jeszcze jeden człowiek w nieprzemakalnym płaszczu, który zmierza ku niemu. „Lepiej go przepuścić” - myśli Skóra. Zatrzymuje się i zatrzymują się wszyscy trzej w nieprzemakalnych płaszczach. Nie pozostaje nic innego, jak tylko natychmiast wejść do bramy. Na klatce schodowej, w głębi, tkwią nieruchomo oparci o poręcz schodów dwaj inni w nieprzemakalnych płaszczach, z rękami w kieszeniach. Skóra już wszedł. „Teraz jestem w potrzasku - myśli - zaraz powiedzą: ręce do góry!” Ale wydaje się, że na niego nie patrzą. Skóra mija ich i zaczyna wchodzić po schodach. „Jeżeli pójda za mną dalej - myśli - zatrzymani się na stopniach i zaczną do nich strzelać.” Mijając pierwsze półpiętro spogląda w dół. Idą za nim i Skóra ciągle znajduje się w zasięgu ich niewidzialnej broni ukrytej w kieszeniach nieprzemakalnych płaszczy. Następne półpiętro. Skóra zerka nieznacznie w dół. Pod nim, przy każdym załamaniu poręczy schodów, wchodzi pod górę jeden człowiek. Skóra idzie dalej tuż obok ściany, lecz niezależnie od tego, w którym miejscu schodów się znajdzie, zawsze widzi o jedno, dwa, trzy lub cztery półpiętra niżej człowieka z Gapu, który idzie pod górę tuż obok ściany, trzymając go w zasięgu wystrzału. Szóste piętro, siódme piętro. W półmroku zaciemnienia

klatka schodowa wydaje się igraszką zwierciadeł z tym człowiekiem w nieprzemakalnym płaszczu powtarzającym się nieskończoną ilość razy na każdym półpiętrze, który idzie powoli, wijącymi się dokoła schodami. „Jeżeli nie strzelą do mnie, zanim dojdę do poddasza - myśli Skóra - ocalałem: zabarykaduję się wewnątrz, a w mieszkaniu mam tyle broni i granatów, że będę mógł wytrzymać, dopóki nie . przybędzie cała czarna brygada.” Jest już na ostatnim piętrze, tuż. pod sufitem. Biegnie wzdłuż poręczy, otwiera drzwi, wchodzi, zatrząskuje je za sobą. „Ocalałem” - myśli. Lecz za oknem izby, na dachu, jest człowiek w nieprzemakalnym płaszczu, który bierze go na cel. Skóra podnosi ręce do góry, za jego plecami otwierają się drzwi. Wszyscy ludzie w nieprzemakalnych płaszczach, których widział przy poręczy na półpiętrach, biorą go teraz na cel. I jeden z nich, nie wiadomo który, strzela.

Towarzysze, którzy zatrzymali się w wąwozie Mezzaluna, zgromadzili się wokół Czerwonego Wilka, słuchając z zapartym tchem opowiadania. Czerwony Wilk czasami przesadza w swych opowieściach, lecz opowiada bardzo dobrze.

Teraz jeden z towarzyszy pyta:

- Czerwony Wilku, a ty byłeś którym z tych? Czerwony Wilk uśmiecha się, poprawia czapkę z daszkiem na ostrzyżonej w więzieniu głowie i mówi:

- Tym na dachu.

Potem Czerwony Wilk wylicza wszystką broń, jaką zgromadził u siebie Skóra: karabin maszynowy, sten, automaty, mas, ręczne granaty, pistolety wszelkiego typu i kalibru. Czerwony Wilk mówi, że był tam nawet moździerz.

- Patrzcie - powiada pokazując pistolet i specjalne ręczne granaty. - Wziąłem sobie tylko to. Członkowie Gapu są gorzej od nas uzbrojeni i potrzebują broni.

Pin przypomina sobie nagle o swoim pistolecie: jeżeli Skóra znał to miejsce i poszedł go zabrać, pistolet musiał znajdować się wśród innych broni. Przecież należy do niego, nie mogą mu go odebrać.

- Czerwony Wilku, słuchaj, Czerwony Wilku - mówi ciągnąc go za połę kurtki. - Czy wśród pistoletów Skóry był też P38?

- P38? - odpowiada Czerwony Wilk. - Nie, nie było tam P38. Miał wszystkie typy, ale P38 brakowało w jego kolekcji.

I Czerwony Wilk opisuje dalej różnorodne i rzadkie rodzaje broni zebranej przez opętanego manią chłopaka.

- Czy jesteś zupełnie pewny, że nie było tam P38? - pyta Pin. - Czy nie wziął go ktoś z Gapu?

- Ależ nie, myślisz, że nie zauważyłbym P38? Dzieliłiśmy broń wszyscy razem.

„A więc pistolet jest jeszcze zakopany w pobliżu gniazd - myśli Pin - jest tylko mój.” To była nieprawda, że Skóra znał miejsce; nikt go nie zna, jest to miejsce, które należy tylko do Pina, miejsce zaczarowane. Dodaje mu to otuchy. Cokolwiek by się wydarzyło, pozostają pajęczne gniazda i zakopany pistolet.

Zbliża się świt. Brygada ma jeszcze przed sobą wiele godzin marszu, lecz dowódca, uważając, że po wschodzie słońca lak wielkie zgrupowanie ludzi na odsłoniętych drogach zdradziłoby natychmiast swoje miejsce pobytu, postanawiają czekać nadejścia następnej nocy, żeby kontynuować marsz z zachowaniem wszelkich środków ostrożności.

Znajdują się w pasie przygranicznym, gdzie przez długie lata włoscy generałowie udawali, że przygotowują się do wojny, lecz w rezultacie okazało się, że wcale nie są do niej przygotowani. Góry usiane są długimi i niskimi budynkami koszar. Ferriera 'wydaje rozkaz oddziałom, żeby ulokowały się w koszarach i nie opuszczały ich przez cały dzień, dopóki nie będzie dostatecznie ciemno i mglisto, żeby można podjąć marsz.

Następuje rozlokowanie poszczególnych oddziałów. Oddział Prostego ma się zakwaterować w osobno położonym, małym, cementowym budynku, z umocowanymi w ścianach obręczami. Musiała to być niegdyś stajnia. Ludzie rozciągają się na lichej słomie, gnijącej na podłodze, i zamykają zmęczone oczy, pełne scen niedawnej bitwy.

Rankiem nudno jest tkwić tu w tłoku i jedynie pojedynczo wychodzić, żeby zrobić siusiu pod murem. Ale w każdym razie można wypocząć. Nie wolno jednak śpiewać ani rozniecić ognia dla ugotowania strawy: w głębi dolin są wsie pełne szpiclów z wycelowanymi lornetkami i z nastawionymi uszami. Jedzenie gotuje się po kolei w wojskowej kuchni zaopatrzonej w długą rurę, która ciągnie się pod ziemią, a otwór jej wychodzi daleko.

Pin nie wie, co robić. Usiadł na słońcu we framudze drzwi, ściągnął dziurawe buty i skarpetki, które nie miały już pięt. Ogląda w słońcu swoje stopy, dotyka ran i wydłubuje sobie brud spomiędzy palców. Potem zaczyna szukać wszy: trzeba codziennie urządzać na nie obławy, bo w przeciwnym razie będzie z nim tak jak z Giacinto, z biednym Giacinto. Lecz cóż pomoże łapanie wszy, jeśli później, pewnego dnia, umrze się tak jak Giacinto? Może Giacinto nie łapał ich, bo wiedział, że i tak będzie musiał umrzeć? Pin jest smutny. Pierwszy raz w życiu wylapywał wszy z koszuli Pietromagro w więzieniu. Pin chciałby być z Pietromagro, znów w dawnym warsztacie na swej ulicy. Ale jego ulica opustoszała, wszyscy pouciekali lub siedzą w więzieniu, albo pomarli, a ta małpa, jego siostra, włóczy się z niemieckimi kapitanami. Niebawem Pin znajdzie się w nie znanym sobie świecie, opuszczony przez wszystkich, nie wiedząc, dokąd się udać. Towarzysze z oddziału to ludzie niezrozumiali i obcy, tak jak przyjaciele z gospody; są stokroć bardziej zachwycający i stokroć bardziej niezrozumiali niż ludzie z gospody, z tym ich szaleństwem zabijania w oczach i z tym ich zwierzęcym parzeniem się wśród rododendronów. Jedyne, z którym można się dogadać, to Kuzyn, wielki, łagodny i bezlitosny Kuzyn; ale teraz go nie ma. Rankiem, kiedy Pin się obudził, nie zobaczył go już: co pewien czas wyrusza ze swym automatem, w swojej wełnianej czapeczce, i nie wiadomo, dokąd się udaje. I oddział ma być rozwiązany. Powiedział o tym Kim Gianowi Szoferowi. Koledzy jeszcze nic nie wiedzą. Pin spogląda na nich, stłoczonych na lichej słomie w cementowym budynku.

- Cholerny świat, gdybym ja wam nie przynosił wiadomości, to nie wiedzielibyście nawet, że żyjecie.

- Co nowego? Gadaj! - wołają.

- Nasz oddział zostanie rozwiązany - mówi Pin. - Jak tylko przyjdziemy na nowe miejsce.

- Ale, idź! Kto ci to powiedział?

- Kim. Słowo daję.

Prosty nie daje nic po sobie poznać, choć wie, co to oznacza.

- Nie bujaj, Pin. A nas gdzie pošlą?

Zaczynają rozprawiać o oddziałach, do których mogą być przydzieleni poszczególni ludzie; o tym, gdzie woleliby pójść.

- Ale czy nie wiecie, że zrobią dla każdego specjalny oddział? - mówi Pin. - Wszyscy zostaną dowódcami. Drewniana Czapka będzie dowódcą partyzantów na fotelach. Murowane, będzie oddział partyzantów, którzy robią

akcję na siedząco. Czyż nie ma żołnierzy na koniach? Teraz będą partyzanci w fotelach na kółkach.

- Zaczekaj, aż skończę czytać - mówi Długi Zena, zwany Drewnianą Czapką, zaznaczając palcem na stronie *Superszlageru* miejsce, w którym przerwał - potem ci odpowiem. Zaczynam właśnie rozumieć, kto jest mordercą.

- Mordercą wołu? - pyta Pin.

Długi Zena już nic nie pojmuje ani z tego, co czyta, ani z rozmowy.

- Jakiego wołu?

Pin wybucha głośnym śmiechem, bo Zena dał się nabrać:

- Wołu, który ci sprzedał swoją wargę! Wołowa Warga! Wołowa Warga!

Drewniana Czapka opiera się na jednej ze swych ogromnych dłoni, żeby powstać nie odrywając ani ma chwilę palca od miejsca, w którym przestał czytać, a drugą ręką wymachuje w powietrzu, chcąc dosięgnąć Pina. Wkrótce jednak dochodzi do wniosku, że wymaga to zbyt wiele trudu, i wraca do przerwanej lektury.

Wszyscy śmieją się z kawałów Pina i cieszy ich to widowisko; kiedy Pin zacznie drwić, nie przestaje, dopóki nie wyczerpie całego swojego repertuaru.

Pin śmieje się aż do łez, wesoly i podniecony: teraz czuje się w swoim żywiole, w gronie dorosłych, ludzi wrogich zarazem i przyjaznych, ludzi, z którymi może wspólnie żartować aż do wyładowania tej nienawiści, jaką dla nich żywi. Jest bezlitosny, będzie ich ranił bez miłosierdzia.

Giglia także się śmieje, ale Pin wie, że śmieje się fałszywie: boi się. Co pewien czas Pin rzuca na nią okiem: Giglia nie spuszcza wzroku, lecz uśmiech drży na jej wargach. „Poczekaj - myśli Pin - już niedługo będziesz się śmiała.”

- Karabinier! - woła Pin. Na każde nowe imię, będące kolejnym przedmiotem drwin, ludzie uśmiechają się szyderczo, ciesząc się już z góry na to, co Pin wywlecze.

- Karabinierowi dadzą oddział specjalny - mówi Pin.

- Służby porządkowej - dodaje Karabinier, żeby uprzedzić cios.

- Nie, mój śliczny, oddział do aresztowania rodziców.

Za każdym razem na samo wspomnienie o sprawie rodziców Karabinier wpada w furję.

- To nieprawda! Ja nigdy nie aresztowałem rodziców!

Pin mówi ze zjadliwą ironią, tonem pełnym skruchy, inni mu wtórują:

- Nie denerwuj się, mój kochamy, nie denerwuj się. Oddział do aresztowania rodziców. Tak świetnie nadajesz się do aresztowania rodziców...

Karabinier wścieka się, potem jednak dochodzi do wniosku, że lepiej pozwolić mu gadać, dopóki się nie zmęczy i nie przejdzie do następnej ofiary.

- Teraz przejdziemy do... - Pin toczy dookoła oczyma usianymi ze (wszystkich stron piegami, po czym zamiera w bezruchu z tym swoim uśmiechem odsłaniającym dziąsła. Ludzie rozumieją już, o kogo chodzi, i powstrzymują się od śmiechu. Wobec szyderstw Pina Książę, z prostą linią wąsików i z zaciśniętymi szczękami, pozostaje jakby zahipnotyzowany.

- Ja wam połamię nogi, ja wam przedziurawię tyłki... - mówi przez zęby.

- Dla Księcia każemy stworzyć oddział morderców królików. Cholerny świat, ty tyle gadasz, Książę, ale nigdy

nie widziałem, żebyś robił cokolwiek innego poza duszeniem kur i ściąganiem skóry z królików.

Książę kładzie dłoń na austriackim pistolecie i wygląda tak, jakby chciał zadać Pinowi cios głową odzianą w futrzaną czapkę.

- Wypruję ci bebechy! - wrzeszczy.

I właśnie wtedy Mańkut robi fałszywy krok. Mówi:

- A Pin, jakim oddziałem będzie dowodził Pin?

Pin spogląda ma niego tak, jakby dopiero teraz zauważył jego obecność.

- Och, Mańkut, wróciłeś wreszcie.... tak długo nie było cię w domu... Podczas twojej nieobecności zdarzyło się wiele pięknych rzeczy...

Odwraca się z wolna: Prosty siedzi w kącie poważny, Giglia w pobliżu drzwi z tym swoim obłudnym uśmiechem przylepionym do warg.

- Zgadnij, Mańkut, jakim oddziałem będziesz dowodził?

Mańkut śmieje się cierpko, chce go uprzedzić.

- Oddziałem kotłów... - mówi i zanosi się śmiechem, jakby powiedział najzabawniejszą rzecz na świecie.

Pin z powagą potrząsa przecząco głową. Mańkut mruga oczyma.

- Oddziałem sokołów... - powiada i znów usiłuje się śmiać, lecz zamiast tego wydaje dziwne, gardłowe odgłosy.

Pin jest poważny, robi przeczący gest.

- Oddziałem marynarki - mówi kucharz tym razem z nieruchomą twarzą, ma lzy w oczach.

Pin przybiera ten swój błazeńsko-obłudny wyraz twarzy, mówi powoli, z namaszczeniem:

- Widzisz, twój oddział będzie oddziałem prawie takim samym jak inne. Tylko tyle, że będzie mógł maszerować jedynie przez łąki, po szerokich drogach, po terenach pokrytych niskimi zaroślami...

Mańkut znów zaczyna się śmiać, najpierw po cichu, potem coraz głośniej: nie rozumie jeszcze, do czego chłopak zmierza, ale i tak się śmieje. Ludzie zawisli na wargach Pina, któryś z nich zrozumiał już i wybucha śmiechem.

- Będzie mógł chodzić wszędzie, z wyjątkiem lasów... z wyjątkiem miejsc, gdzie są gałęzie... gdzie są gałęzie...

- Lasy... Cha, cha, cha... Gałęzie - rechocze Mańkut - a dlaczego?...

- Zaplątałyby się... twój oddział... oddział rogaczy!

Ludzie zanoszą się od śmiechu, który zdaje się wyciem. Kucharz podnosi się zły, z zaciśniętymi wargami. Śmiech nieco przygasa. Rozgląda się dookoła, po czym sam zaczyna się śmiać, z zapuchniętymi oczyma, wykrzywionymi ustami, śmiechem wymuszonym, sztucznym; uderza się dłońmi po kolanach i wskazuje palcem na Pina, jakby chciał rzec: „Ale powiedział jeden ze swych lepszych kawałów.”

- Pin... spójrzcie na niego... - mówi zanosząc się fałszywym śmiechem - Pin... jemu damy oddział wychodków, jemu damy...

Prosty wstał również. Robi kilka kroków.

- Skończcie z tymi kawałami - mówi oschle. - Czy nie rozminiecie, że nie można hałasować?

Jest to pierwszy wypadek po bitwie, że wydaje rozkaz. Wykorzystuje hałas, którego nie powinno się robić, jako

pretekst, zamiast powiedzieć wprost: przestańcie, bo te kawały nie podobają mi się.

Ludzie spoglądają na niego krzywo: nie jest już ich dowódcą.

Daje się słyszeć głos Giglii:

- Pin, dlaczego zamiast się wygłupiać nie zaśpiewasz nam jakiejś piosenki? Zaśpiewaj nam tę...

- Oddział wychodków... - kracze Mańkut - z nocnikiem na głowie... Cha, cha, cha... Wyobraźcie sobie Pina z nocnikiem na głowie...

- Co chcesz, żebym ci zaśpiewał, Giglia? - pyta Pin. - To, co wtedy?

- Cicho bądźcie... - mówi Prosty. - Czy nie słyszeliście rozkazu? Nie wiecie, że znajdujemy się w niebezpiecznej strefie?

- Zaśpiewaj nam tę piosenkę - mówi Giglia - wiesz, tę, którą tak dobrze śpiewasz... jak ona idzie? Ojli, ojla...

- Z nocnikiem na głowie - kucharz nie przestaje zanosić się od śmiechu i uderzać dłońmi w kolana, w kącikach oczu ma łzy wściekłości. - I lewatywy zamiast automatów... Pin będzie strzelał z lewatywy...

- Ojli, ojla? Giglia, jesteś pewna? - mówi Pin. - Nie znam żadnej piosenki z ojli, ojla, nie ma takiej...

- Salwy z lewatywy... Pin... spójrzcie na niego... - kracze kucharz.

- Ojli, ojla - zaczyna improwizować Pin - mąż idzie, bo wojna, ojli, ojla w domu czeka żona.

- Ojli, ojlon, Pin jest alfons! - wrzeszczy Mańkut usiłując zagłuszyć głos Pina.

Po raz pierwszy Prosty widzi, że nikt go nie słucha. Chwyta Pina za ramię i wykręca je.

- Cicho bądź, cicho bądź, rozumiesz?

Pin czuje ból, lecz wytrzymuje i śpiewa dalej:

- Ojli, ojla, żona i dowódca, ojli, ojli, co ona robi.

Kucharz wyłazi ze skóry, żeby mu dotrzymać kroku: - Ojli, ojlat, kurwy brat.

Teraz Prosty wykręca obie dłonie Pina, czuje pod palcami jego kruche kosteczki.

- Milcz, ty bękarcie, milcz!

Pin ma oczy pełne łez, zagryza wargi.

- Ojli, ojla, w krzaki idą, ojli, ojli, jak dwa psy!

Prosty puścił jego jedną rękę i zatyka mu usta dłonią. Jest to głupi i niebezpieczny chwyt: Pin wpija się zębami w jego palec i z całej siły zaciska szczękę. Prosty wydaje przeraźliwy okrzyk. Pin odrywa się od palca i spogląda dookoła. Wszystkie spojrzenia kierują się ku niemu, spojrzenia dorosłych, należących do tego niepojętego i zwierzęcego świata: Prostego, który ssie zakrwawiony palec, Mańkuta, co wciąż jeszcze śmieje się jak w transie, poblądłej Giglii i innych, wszystkich innych, którzy a błyskiem w oczach śledzą tę scenę, powstrzymując oddech.

- Świnie! - krzyczy Pin wybuchając płaczem. - Bogacze! Suki!

Teraz nie pozostaje mu nic innego, jak tylko odejść stąd. Pójść sobie precz. Pin ucieka. Pozostaje mu już jedynie samotność. Prosty woła za nim:

- Nie wolno oddalać się od oddziału! Wracaj z powrotem! Wracaj z powrotem, Pin! - i rusza za nim w pościg.

Lecz w drzwiach natyka się na dwóch uzbrojonych ludzi.

- Prosty. Szukamy cię.

Prosty poznaje ich. Są to gońcy z dowództwa brygady.

- Wzywa cię Ferrrier i Kim. Do raportu. Chodź z nami.

Prosty zawraca ze spokojem.

- Idziemy - mówi i zarzuca na ramię automat.

- Powiedzieli, żeby bez broni - tłumaczą przybyli.

Prosty bez zmrużenia powiek ściąga pas z ramienia.

- Chodźmy - mówi.

- Pistolet także - zwracają mu uwagę. Prosty odpina pas i upuszcza go na ziemię.

- Chodźmy - mówi.

Jest już pośrodku, pomiędzy tymi dwoma ludźmi.

Odwraca się.

- O drugiej jest nasza kolej na gotowanie jedzenia, zaczynajcie już przygotowania. O wpół do czwartej dwóch naszych ludzi musi iść na wartę, obowiązują turnusy z ubiegłej nocy, które nie zostały wykonane.

Odwraca się i znika między dwoma uzbrojonymi ludźmi.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Pin siedzi samotnie na szczycie góry. U jego stóp biegną w dół pionowe skały kosmate od krzewów i rozciągają się doliny, w których głębi majaczą czarne dymy. Ciężkie chmury wzbijają się ponad stoki gór i zacierają widok zagubionych wsi i drzew. Stało się coś nieodwracalnego, jak wówczas kiedy Pin ukradł pistolet marynarzowi, jak wówczas kiedy opuścił ludzi z gospody, jak wówczas kiedy uciekł z więzienia. Nie będzie już mógł wrócić do ludzi z oddziału, nigdy nie będzie mógł walczyć u ich boku.

Smutno być tak jak on dzieckiem w świecie dorosłych, być zawsze dzieckiem, traktowanym przez dorosłych jak coś zabawnego i uprzykrzonego zarazem; nie móc używać tych ich tajemniczych i podniecających rzeczy, broni i kobiet, nigdy nie móc uczestniczyć w ich grach. Ale kiedyś Pin stanie się także dorosłym i wtedy będzie mógł być zły dla wszystkich, będzie mógł zemścić się na tych, którzy nie byli dla niego dobrzy. Pin chciałby już zaraz być dorosłym lub raczej nie dorosłym, lecz, będąc takim, jakim jest teraz, wzbudzać podziw i napawać lękiem, być dzieckiem, a zarazem wodzem dorosłych w jakiejś cudownej przygodzie.

Tak, Pin pójdzie teraz daleko od tych nieznanymi miejsc, po których swobodnie hula wicher, do swego królestwa, do fosy, do czarodziejskiego miejsca, gdzie robią gniazda pająki. Tam zakopany jest jego pistolet o tajemniczej nazwie: pe trzydzieści osiem. Pin będzie uprawiał partyzantkę na własną rękę, uzbrojony w swój (pistolet, i nikt nie będzie wykręcał mu dłoni niemal aż do złamania kości, żaden samiec z samica, chcąc tarzać się wśród rododendronów, nie będą go posyłać, żeby grzebał sokoły. Pin dokona cudownych rzeczy, zawsze sam, zabije oficera, kapitana: kapitana jego siostry, tej suki i szpicla. Wtedy wszyscy ludzie będą go szanować i zgodzą się, żeby poszedł z nimi razem bić się, może nauczą go strzelać z karabinu maszynowego. Zaś Giglia nie powie mu już nigdy: „Zaśpiewaj no jakąś piosenkę, Pin” - żeby móc się uściskać z kochankiem; Giglia nie będzie miała więcej kochanków i pewnego dnia pozwoli Pinowi dotknąć swej piersi, różowej i gorącej piersi pod męską koszulą.

Pin szybkim krokiem idzie ścieżkami, które schodzą w dół z wąwozu Mezzaluna; ma przed sobą długą drogę. I w miarę jak kroczy, spostrzega, że entuzjazm jego planów jest fałszywy, sztuczny; nabiera pewności, że jego marzenia nie spełnią się nigdy i że będzie musiał włączyć się dalej po świecie, on, dziecko biedne i zagubione.

Pin idzie już cały dzień. Po drodze spotyka miejsca jakby stworzone po to, by urządzać wspaniałe zabawy: białe głazy, na które mocna by wskakiwać, pochyłe drzewa, na które można by się wspinać. Widzi wiewiórki na szczytach sosen, wijące się wśród krzaków jeżyny żmije, które stanowiłyby znakomity cel, gdyby tak rzucać w nie kamieniami. Lecz Pin nie ma ochoty na zabawy i idzie dalej aż do utraty tchu, ogarnięty smutkiem, który go chwyta za gardło.

Zatrzymuje się, żeby poprosić o jedzenie w jakimś domu. Mieszka w nim samotnie dwoje staruszków, są małżeństwem, a jedyny ich dobytek stanowią kozy. Staruszkowie przyjmują Pina, częstują go kasztanami i mlekiem, opowiadają o siwych synach, którzy wszyscy są w dalekiej niewoli, a potem siadają przy ogniu, żeby odmówić różaniec, i namawiają Pina, żeby pomodlił się razem z nimi.

Ale Pin nie jest przyzwyczajony do obcowania z dobrymi ludźmi i czuje się jakoś niepewnie, nie ma również zwyczaju odmawiać różańca. Więc podczas gdy staruszkowie pogrążają się z zamkniętymi oczyma w modlitwie, cichutko wstaje ze stołka i odchodzi.

Spędza noc w dziurze wygrzebanej w stogu, a rankiem rusza w dalszą drogę, przez okolice bardziej już

niebezpieczne, bo nawiedzane przez Niemców. Lecz Pin wie, że niekiedy wygodnie jest być dzieckiem i że nawet gdyby powiedział, że jest partyzantem, nikt by mu nie uwierzył.

W pewnej chwili zagradza mu drogę punkt kontrolny. Niemcy przyglądają mu się z daleka, spod hełmów. Pin nie zbity z trapu idzie naprzód.

- Owca - mówi - czy nie widzieliście mojej owcy?

- *Was?*

- Nie rozumieją.

- Owcy. Ow-cy. Beeeeee... Beee... Niemcy śmieją się. Zrozumieli. Z tą czupryną i z podkasanymi spodniami Pin mógłby być z powodzeniem małym pastuchem.

- Zgubiłem owcę - popłakuje - przechodziła tędy na pewno. Dokąd ona poszła? - I Pin rozgląda się dookoła, a potem odchodzi wołając: - Beee... Beee...

Udało się tym razem.

Morze, które wczoraj było mglistą, chmurną głębią na krawędziach nieba, staje się zrazu coraz to ciemniejszą smugą, a potem wielkim osłepiającym lazurem. rozciągniętym poza szeregami wzgórz i domostw.

Pin jest już przy swoim potoku. Tego wieczora żab jest niedużo, tylko woda w kałużach drga od czarnych kijanek. Ścieżka pajęczych gniazd wznosi się pod górę od tego miejsca za trzcinami. Jest to tajemnicze miejsce, znane tylko Pinowi. Pin będzie tam mógł robić cudowne czary, stać się królem, bogiem. Idzie ścieżką ze ściśniętym sercem. Oto gniazda. Lecz ziemia jest wszędzie zryta, jakby dotknęła jej czyjaś ręka, wrywając trawę, poruszając kamienie, niszcząc nory, łamiąc powłokę z przeżutej trawy: a więc był tu Skóra! Skóra znał to miejsce; był tutaj z pianą na drżących gniewem wargach, grzebał paznokciami w ziemi, powtykał suche gałązki do tuneli, pozabijał po kolei wszystkie pająki, żeby znaleźć pistolet pe trzydzieści osiem! Ale czy go Znalazł? Pin nie poznaje już miejsca: brak kamieni, które położył, powyrywane kępy trawy. Powinien być tutaj, jest jeszcze wnęka, którą wykopał, lecz pełna ziemi i kamyków.

Pin z twarzą ukrytą w dłoniach płacze. Nikt już mu nie odda pistoletu. Skóra nie żyje i nie miał go w swym arsenale, kto wie, gdzie go ukrył, komu go oddał. To była ostatnia rzecz na świecie, jaka Pinowi pozostała. Co- teraz, zrobi? Nie może już wrócić do oddziału, za bardzo dał się wszystkim we znaki: Mańkutowi, Giglii, Księciu, Długiemu Zenie, zwanemu Drewnianą Czapką. W gospodzie była oblawa i wszyscy zostali wywiezieni lub zabici, został tylko Michel Francuz w czarnej brygadzie, ale Pin nie chce skończyć tak jak Skóra: wchodzić po długich schodach oczekując wystrzału. Jest sam na ziemi Pin.

Czarna z Carrugio Lungo przymierzała właśnie nowy niebieski szlafrok, kiedy usłyszała stukanie. Nasłuchuje: ostatnio boi się otwierać nieznanym, gdy jest w swoim starym mieszkaniu. Znowu stukanie.

- Kto tam?

- Otwórz, Rina, to ja, twój brat, Pin. Czarna otwiera i wchodzi jej brat, odziany w dziwaczny strój, z rozwichrzonymi włosami sięgającymi niżej ramion, brudny, obdarty, z pościnanymi obcasami, z policzkami umazanymi kurzem i łzami.

- Pin! Skąd przychodzisz? Gdzie byłeś przez ten cały czas?

Pin idzie naprzód, prawie na nią nie patrząc, i mówi ochryłym głosem:

- Nie nudź mnie. Byłem, gdzie mi się podobało. Masz coś do jedzenia?

Czarna udaje macierzyńską troskliwość.

- Poczekaj, zaraz ci przygotuję. Siadaj. Musisz być bardzo zmęczony, biedny Pin. Masz szczęście, że zastałeś mnie w domu. Nie przychodzę tu prawie nigdy. Mieszkam teraz w hotelu.

Pin zaczyna jeść chleb i niemiecką czekoladę z orzechami.

- Widzę, że powodzi ci się dobrze.

- Pin, strasznie się o ciebie niepokoiłam. Co robiłeś przez cały ten czas? Włączyłeś się, byłeś w partyzantce?

- A ty? - pyta Pin.

Czarna smaruje kromki chleba niemiecką marmoladą na słodzie i podaje mu.

- A teraz, Pin, co masz zamiar zrobić?

- Nie wiem. Daj mi spokojnie zjeść.

- Słuchaj, Pin, powinieneś się dobrze zastanowić: w tym miejscu, gdzie ja pracuję, potrzebują sprytnych chłopaków, tak jak ty, i dają im dobre warunki. Nie ma tam nic do roboty, wystarczy łązić od rana do wieczora i patrzeć, co robią ludzie.

- Powiedz mi, Rina, czy ty masz broń?

- Ja?

- Tak, ty.

- Mam pistolet. Trzymam go, bo w tych czasach nigdy nic nie wiadomo. Dał mi go jeden z czarnej brygady.

Pin podnosi oczy i przelityka ostatni kęs.

- Pokażesz mi go, Rina? Czarna wstaje.

- Co cię tak obchodzą pistolety? Czy nie wystarczy ci tamten, który ukradłeś Frycowi? Ten jest bardzo podobny do pistoletu Fryca. Masz, obejrzyj go. Biedny Fryc, wysłali go na Atlanty.

Pin wpatruje się w pistolet jak urzeczony: P38, jego P38.

- Kto ci go dał?

- Mówiłam ci. Żołnierz z czarnej brygady, blondyn. Był bardzo przeziębiony. Miał przy sobie, nie przesadzam, siedem rozmaitych pistoletów. „Po co ci tyle? - zapytałam go. - Daj mi jeden. „ Ale nie chciał nawet słyszeć. Miał prawdziwą manię na punkcie pistoletów. Wreszcie ofiarował mi ten, bo był najbardziej zniszczony. Ale działa dobrze. „Co ty mi dajesz - powiedziałam mu - armatę?” A on mi na to: „W ten sposób zostanie w rodzinie.” Kto wie, co chciał przez to powiedzieć?

Pin już nawet nie słucha. Maca pistolet w dłoniach. Podnosi oczy na siostrę przyciskając go do piersi, jakby to była lalka.

- Słuchaj, Rina - mówi ochrypłym głosem - ten pistolet jest mój!

Czarna patrzy na niego ze złością.

- Co ci się stało, zostałeś bandytą? Pin rzuca stołek o ziemię.

- Małpa! - krzyczy z całych sił. - Suka! Szpicel!

Wkłada pistolet do kieszeni i wychodzi trzaskając drzwiami.

Na dworze już noc. Uliczka tak samo pusta, jak w chwili gdy przyszedł. Żaluzje w sklepach opuszczone. Obok

murów zbudowano z płyt i worków z piaskiem specjalne urządzenia chroniące przed odłamkami.

Pin idzie wzdłuż potoku. Wydaje mu się, że wróciła noc, w której ukradł pistolet. Pin ma pistolet i wszystko znowu jest tak samo: jest sam na świecie, coraz to bardziej sam. I podobnie jak tamtej nocy serce Pina wypełnia jedno tylko pytanie: co robić?

Pin idzie płacząc obok ściekowego rowu. Najpierw płacze po cichu, a potem wybucha głośnym szlochem. Czy nikt nie wyjdzie mu teraz naprzeciw? Nikt? Wielki cień mężczyzny zarysowuje się na zakręcie ściekowego rowu.

- Kuzyn!

- Pin!

Są to magiczne miejsca, gdzie zawsze zdarzają się jakieś czary. Pistolet też jest magiczny, jest jakby czarodziejską różdżką. I Kuzyn także jest wielkim czarodziejem z automatem i w wełnianej czapeczce, czarodziejem, który kładzie teraz swą dłoń na jego głowie i pyta:

- Co robisz w tych stronach, Pin?

- Przyszedłem tu, żeby zabrać mój pistolet. Popatrz. Niemiecki marynarski pistolet.

Kuzyn przygląda mu się z bliska.

- Piękny. P38. Szanuj go!

- A ty co tu robisz, Kuzynie?

Kuzyn wzdycha z tą swoją wiecznie żalowaną miną, zupełnie jakby ciągle odbywał jakąś karę.

- Idę do kogoś z wizytą - mówi.

- To są moje miejsca - mówi Pin. - Miejsca zaczarowane. Tutaj pająki robią gniazda.

- Pająki robią gniazda? - pyta Kuzyn.

- Robią gniazda tylko w tym miejscu na całym świecie - wyjaśnia Pin. - Ja jeden je znałem. Potem przyszedł ten faszysta Skóra i wszystko zniszczył. Czy chcesz, żebym ci je pokazał?

- Pokaż mi je, Pin. Pajęczne gniazda, proszę, proszę.

Pin prowadzi go za rękę, za tę wielką rękę, miękką i ciepłą jak chleb.

- Widzisz, tu były wszystkie drzwi prowadzące do tuneli. Ten faszystowski bękart wszystko połamał. Ale jedne są jeszcze całe, widzisz?

Kuzyn przykucnął obok i utkwiał oczy w ciemność.

- Patrzcie, patrzcie! Drzwiczki, które otwierają się i zamykają. A w środku tunel. Głęboko sięga?

- Bardzo głęboko - wyjaśnia Pin. - I cały jest wyłożony przezutą trawą. A w głębi siedzi pająk.

- Poświecimy tam zapalką - mówi Kuzyn.

I obaj, przykucnąwszy obok siebie, patrzą, jaki efekt wywoła światło zapalki u wylotu podziemnego chodnika.

- Wrzuć zapalkę do środka - mówi Pin - zobaczymy, czy pająk wyjdzie.

- Po co? Biedne stworzenia! - mówi Kuzyn. - Czy nie widzisz, ile już poniosły szkód?

- Powiedz, Kuzynie, czy myślisz, że odbudują swoje gniazda?

- Jeżeli zostawimy je w spokoju, przypuszczam, że tak - mówi Kuzyn.

- Czy wrócimy tu kiedyś je zobaczyć?

- Tak, Pin, będziemy tu przychodzić co miesiąc, żeby popatrzeć.

Jak to dobrze, że spotkał Kuzyna, którego interesują pajęczne gniazda!

- Wiesz, Pin...

- Co chcesz, Kuzynie?

- Wiesz, Pin, muszę ci powiedzieć jedną rzecz. Wiem, że ty te sprawy rozumiesz. Widzisz, minęło już wiele miesięcy, jak nie miałem do czynienia z kobietami. Ty rozumiesz te rzeczy, Pin. Więc słuchaj, podobno twoja siostra...

Na usta Pina powrócił uśmiech. Jest przyjacielem dorosłych, rozumie te sprawy, jest dumny, że kiedy trzeba, może oddać przyjaciółom takie przysługi.

- Cholerny świat, Kuzynie, dobrze trafiłeś, jeżeli chodzi o moją siostrę. Wyłumaczę ci drogę. Znasz Carrugio Lungo? Więc pierwsze drzwi za zdunem, na poddaszu. Idź spokojnie przez ulicę, nie spotkasz nikogo. Z nią bądź raczej ostrożny. Nie mów jej, kim jesteś ani że ja cię przysłałem. Powiedz jej, że pracuje w „Todt” i że jesteś w mieście przejazdem. Ach, Kuzynie, poza tym ty tak źle mówisz o kobietach. Ale idź tam, moja siostra jest czarnulą, która się bardzo podoba.

Na wielkiej, stroskanej twarzy Kuzyna pojawia się ledwie widoczny uśmiech.

- Dziękuję, Pin. Jesteś prawdziwym przyjacielem. Idę i zaraz wracam.

- Cholerny świat, Kuzynie, idziesz z automatem?

Kuzyn przygląda wąsy.

- Widzisz, boję się chodzić bez broni. Pina śmieszy widok mężczyzny tak zmieszanego, jeśli chodzi o te sprawy.

- Weź mój pistolet. I zostaw mi automat, a ja się nim zaopiekuję.

Kuzyn odkłada automat, chowa do kieszeni pistolet, zdejmuje wełnianą czapeczkę i kładzie ją również do kieszeni. Teraz usiłuje przyglądać włosy poślinionymi palcami.

- Robisz się na bóstwo, Kuzynie, żeby zrobić furorę. Idź szybko, jeżeli chcesz zastać ją w domu.

- Do widzenia, Pin - mówi Kuzyn i odchodzi.

Teraz Pin jest sam w ciemnościach, przy pajęcznych gniazdach, mając pod ręką leżący na ziemi automat. Lecz nie jest już pogrążony w rozpacz. Spotkał Kuzyna, a Kuzyn jest tym tak poszukiwanym prawdziwym przyjacielem, który interesuje się pajęcznymi gniazdami. Ale Kuzyn jest taki jak wszyscy inni dorośli, z tą tajemniczą żądzą kobiet, i teraz poszedł do jego siostry, Czarnej, i ściska się z nią na, niezasłanym łóżku. Właściwie byłoby lepiej, gdyby Kuzynowi nie przyszła do głowy ta myśl, gdyby przez jakiś czas przyglądali się razem gniazdom i gdyby potem Kuzyn wygłosił te swoje oskarżenia przeciwko kobietom, oskarżenia, które Pin tak dobrze rozumie i z którymi całkowicie się zgadza. Ale Kuzyn jest taki sam jak wszyscy inni dorośli i nie ma na to rady: Pin dobrze rozumie te sprawy.

Tam, na Starym Mieście, rozlegają się strzały. Go to może być? Może patrol, które krążą po ulicach? Gdy słyszy się strzały nocą, zawsze ogarnia nas uczucie lęku. Pewnie, że to było nieostrożnie, że Kuzyn dla kobiety poszedł sam w te faszystowskie miejsca. Pin boi się, że wpadł w ręce patroli, że natknął się na Niemców w mieszkaniu jego siostry i że został aresztowany. Lecz w gruncie rzeczy dobrze mu tak i Pin byłby z tego zadowolony: co to za przyjemność zadawać się z taką owłosioną żabą jak jego siostra?

Ale gdyby Kuzyna aresztowano, Pin pozostałby sam z tym automatem, który wzbudza lęk, i nie wiadomo, jak się nim posługiwać. Pin pragnie, żeby Kuzyn ocalał, pragnie tego ze wszystkich swych sił, ale nie dlatego, że Kuzyn jest prawdziwym przyjacielem, bo nie jest już nim, jest człowiekiem jak wszyscy inni, lecz dlatego, że Kuzyn jest ostatnią osobą, która mu pozostała na świecie.

A jednak trzeba jeszcze długo czekać, zanim będzie można zacząć myśleć, że powinno się okazać niepokój. Ale oto zbliża się jakiś cień - to już on.

- Co tak szybko, Kuzynie? Załatwiłeś już wszystko?

Kuzyn potrząsa głową z tą swoją strapioną miną.

- Wiesz, ogarnął mnie taki wstręt, że nic nie zrobiłem i poszedłem sobie.

- Cholerny świat, Kuzynie, ogarnął cię wstręt!

Pin jest bardzo zadowolony. Kuzyn jest naprawdę wielkim przyjacielem, rozumie wszystko, nawet to, że kobiety to ohydne stworzenia.

Kuzyn zarzuca automat na ramię i zwraca Pinowi pistolet. Idą teraz przez pola i Pin trzyma rękę w miękkiej i spokojnej dłoni Kuzyna, w tej wielkiej dłoni przypominającej chleb.

W ciemnościach świeci mnóstwo małych, błyszczących punkcików: to roje robaczek świętojańskich krążą wokół płotów.

- Ohydne stworzenia kobiety - mówi Pin.

- Wszystkie... - zgadza się Kuzyn. - Ale nie zawsze tak było: moja matka...

- Pamiętasz swoją matkę? - pyta Pin.

- Tak, umarła, jak miałem piętnaście lat - mówi Kuzyn.

- Dobra była?

- Tak - odpowiada Kuzyn - była dobra.

- Moja też była dobra - mówi Pin.

- Pełno robaczek świętojańskich - zauważa Kuzyn.

- Jak się im przyjrzeć z bliska - mówi Pin - to one także są ohydnyimi czerwonymi stworzeniami.

- Tak - potwierdza Kuzyn - ale z daleka wydają się ładne.

I idą dalej, nocą, pośród robaczek świętojańskich, trzymając się za ręce, wielki mężczyzna i dziecko.